600757 I

ZIARENKA

ZBIÓR WIERSZYKÓW

NAPISANYCH

PRZEZ

LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO



WARSZAWA 1882.

600757
I

ZIARENKA.

* BIBLIOTEKA * K. SINKÓWNEJ *

ZIARENKA

ZBIÓR WIERSZYKÓW

NAPISANYCH

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Nakładem Redakcyi Przyjaciela Dzieci.

Wydanie drugie.

Cena rs. 1.

BIBLIOTEKA
L. ....
K. SINKÓWNEJ

WARSZAWA.
W DRUKARNI EMILA SKIWSKIEGO
ulica Chmielna Nr. 1520 (20 nowy).

1881

Дозволено Цензурою.
Варшава, дня 27 Ноября 1880 г.

600757

I

Bibl. Jagiell.
1967 D 1165/879

Moim Ukochaném Dzieciom

Emilij, Janinie, Stefanowi i Ludwikowi,

POŚWIĘCAM TĘ KSIĄŻECZKĘ

NA PAMIĄTKĘ CHWILI POWITANIA

PO DŁUGIEM ROZŁĄCZENIU.

OJCZE NASZ.

Ojcze nasz któryś jest w niebie
Bądź święte imie Twe,
I przyjdź królestwo dla ciebie
I świat niech wielbi Cię!
I wola z rozkazy Twemi
Niech wieki przetrwa lat,
Niech będzie w niebie, na ziemi,
Niech cały napełnia świat.
O Boże świętej miłości
W dobroci swej wiecznie trwaj,
Nie odmów dla nas litości,
I chleba, chleba nam daj!
Ojcze nasz któryś jest w niebie
Grzech niecnych przepuść nam win,
Jak my błądzącym dla ciebie
Podstępny darujem czyn.
By nas nie wiodło kuszenie
Boże dobrocią twą spraw;
Wlej w nas twej łaski nasienie
I ode złego nas zbaw.

CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

I.

Dzień z życia dziatek.

I.

PRZY PRZEBUDZENIU SIĘ.

Na wschodzie za laskiem, świt pierwszym
[dnia brzaskiem
Ozłocił na niebie chmureczki,
Ożywcza i młoda, budzi się przyroda
Spią jeszcze snem smacznym dziateczki,
Już słońce różowe wychyla swą głowę
Powoli na cudny nasz światek:
Przez szyby przejrzyste, promienie złociste,
Wbiegają do śpiących wciąż dziatek.
Wśród słońca promienia, zbudzony z uśpienia
Już brzęczy wesoło rój muszek:
W powietrzu zawiśnie, lub dzieciom się ciśnie
Do noska, do oczków, do uszek,

Przed temi muszkami, dziateczki rączkami
Bronią się jak mogą choć we śnie,
Lecz muszki wołają: „niech dzieci już wstają!"
— O czemuż nas budzić tak wcześnie?
Dajcie spać troszeczkę, choć małą chwileczkę,
Nie brzęczcie nad uszkiem tak gwarnie!
— Nie można me dziecię, już wszystko na świecie
Do życia, do pracy się garnie.
Już rolnik troskliwy, wyjechał na niwy
I składa w pokosy swe zboże;
Już pasterz gromadką, wypędza swe stadko,
A każdy się trudzi jak może.
Czyliż wam spoczywać, wywczasu używać
Gdy praca udziałem jest ludzi?
Tak mówi rój muszek, brzęczeniem do uszek,
A dziatwa powoli się budzi.
Helenka ziewnęła, powieką mrugnęła
I znowu ją zmruża nieznacznie;
Kołderki połowę, nasuwa na głowę,
Zakryta od światła śpi smacznie.
Jaś sięgnął do oczek, lecz zaraz na boczek
Na drugi przewraca się we śnie,
A mała zaś Frania, rączkami odgania,
Psotnice co budzą tak wcześnie.
Choć nie ma ochoty, lecz słońca blask złoty,
Wciąż jaśniej i jaśniej promieni;
Na świecie wciąż gwarniej. i cieplej i parniej,
A wszyscy już dawno zbudzeni.

Choć jeszcze u oczek sklejonych tkwi mroczek,
Choć miła i miękka poduszka,
Choć dziatki ziewają, i chętkę spać mają,
Już pora opuścić swe łóżka.

2.

PRZY UBIERANIU.

Czaś wstawać wam dzieci, o patrzcie jak świeci
Słoneczko rozkosznie na niebie,
Jak ptaszki w około śpiewają wesoło
Jak wiosna woń życia tchnie z siebie.
No, mówcie pacierze: Ojcze nasz i wierzę,
I zdrowaś, to święte czci słowo,
A teraz hyc z łóżka, do wody dzbanuszka,
Brrrr zimna! — Nie szkodzi: to zdrowo.
Choć z razu dreszcz chwyta, buch w wodę
[i kwita,
Zmyć główki odważnie i śmiele,
A zaraz w tej chwili jakbyście odżyli,
Tak raźno wam będzie na ciele.
Wyczeszcie główeczki: ot grzebyk, szczo-
[teczki...
— Ah mamo, nie mogę, to boli!...
— Bo Józia zbyt żywa, włoski swe wyrywa:
Ot widzisz tak trzeba — powoli.

No córki me złote, warkoczki wam splotę...
Splecione. To dobrze, jam rada,
Najmilej dla matki, gdy czyste jej dziatki:
Niechlujstwo najbrzydsza jest wada.
I cóż tam Helenko, majstrujesz z sukienką?
Patrz, wszystkie ubrane siostrzyczki.
— Bo nie ma tu Frani, a trudno bez niani
Zapinać u sukni guziczki.
— Toć takie frasunki! czyż trzeba piastunki
Dla panny co siódmy ma roczek?
Ubieraj się sama, tak każe ci Mama
I zapnij jak umiesz szlafroczek.
A teraz dwa słowa: czy dziatwa gotowa?
— My wszystkie ubrane mateczko.
— Więc za mną pójdziecie, za stołem siądziecie
I kawę pić będziem z bułeczką.

3.

PRZY ŚNIADANIU.

„Siadajcie!" — „My siedli. — No, będziem już [jedli
Sniadanie, bo wszystko gotowe:
Tu kawka w imbryczku, tu grzanki przy [mleczku
Tu pulchne bułeczki montowe.

Powoli, powoli, aż Mama pozwoli,
Nie sięgaj że rączką tak sama:
Gorące garnuszki, poparzysz paluszki,
Poczekaj aż poda ci Mama.
„To mleczko!" Cóż z tego?—„Nie lubię ja jego
Ja kawki mateczko bym chciała."
„Nie zdrowo"—„Stefanek, dostał jej dwie szkla-
[nek".
„On starszy, tyś jeszcze zbyt mała."
Za czem znów Dorotko, wciąż czekasz? „Nie
[słodko!"..
„Pomięszaj od spodu łyżeczką.
Tam cukier jest na dnie, trza mięszać gdy
[spadnie:
A teraz pij kawę z bułeczką.
A ty zaś Marcinek, nie róbże tych minek."
„Gorące — aż buzia mnie boli!"
„Bo trzeba mnie słuchać, gdy parzy to dmuchać.
I zawsze pić z szklanki powoli."
„Już ja wiem jak zrobię, przeleję ją sobie
Na spodek; wszak można tak Mamo?"
„Nie można"—„Cóż szkodzi?"—„O obrus mi
[chodzi:
Ja nie chcę by obrus był z plamą.
Któż ci dał garnuszek?" „Ja lubię kożuszek"
Bo on jest tak miękki, tak biały"....
„Choć lubi co dziecię, nie można brać przecie
Samemu: poczekaj mój mały.

Jużeście skończyli?" „Ah zaraz w tej chwili
Tylko tę dokończę bułeczkę."
„Już dosyć, nie trzeba zbyt wiele jeść chleba."
„Ah mamo, choć jeszcze troszeczkę!"
„Wstawajcie, czas leci; do nauk wam dzieci
Wyjmujcie książeczki z szufladek,
Godzina już prawie jak siedzim przy kawie:
Sniadanie to nie jest obiadek.

4.

PRZY NAUCE.

Uwaga dziateczki, rozłóżcie książeczki
Zaczyna się lekcyja czytania:
'No, naprzód Walery, wymawiaj litery
A potem łącz słowa i zdania;
Gdy skończysz już czytać, to będę się pytać
O czem to tam piszą w książeczce;
I musisz dokładnie, wyraźnie i ładnie,
Powiedzieć co było w bajeczce.
Wam czekać spokojnie, cichutko, przystojnie
Gdyż jeszcze zaczynać nie pora,
A ty zaś Stefanie, zrób swoje zadanie
Lecz tylko bez myłek jak wczora,

Ty znowu Henryczku, siądź przy tem stoliczku
Weź kajet z szuflady Stefana;
Pisz kreski, kółeczka — a każda laseczka
Niech będzie prościutko stawiana.
Lecz cóż to jest Zosi?...a, uczyć się prosi:
Poczekaj wnet zajmę się tobą;
Będziemy czytali, literki składali
B, a, ba — b, e, be — b, o, bo.
No, wszyscy przy pracy, i tylko Ignacy
Wygląda na lekcyję zadaną,
To dobrze mój mały—masz tu rząd liczb cały,
Pomnóż je przez liczbę wskazaną.
Aż w sercu wesoło, gdy widzę jak w koło
Tak wszystkich zajmuje nauka:
Ten pisze, ten czyta, ten o sens się pyta
Ów liczby w rachunkach swych szuka.
Jakże to jest ładnie, jak chlubnie, przykładnie
Gdy chętne do nauk są dziatki,
Bo z czasem wzrośniecie, a wtedy będziecie
Pociechą dla ojca i matki.
Więc zawsze, więc społem, nie gardźcie mozołem,
Ni pracą choć sprawia przykrości;
A kiedyś wy sami, wdzięcznemi słowami,
Wspomnicie o trudach młodości.

5.

NA PRZEJAŻDCE.

Jan zaprzągł koniki, do kocza i bryki
Pojadą na spacer me dziatki,
Czy wszystkie gotowe? Weź Zosiu na głowę
Twój szalik jedwabny, ten w kratki;
A ty zaś Stefanie, zmień swoje ubranie
Na polu jest chłodno czasami...
Gdzie pniesz się me dziecię?" — „Siądę
[przy stangrecie."
„Nie można, wysoko: siądź z nami.
O! jedziem już drogą, jak miło, jak błogo
Oddychać łąk wonią przeczystą,
I patrzeć na gaje, na niwy ruczaje,
Na wstęgę tej rzeki srebrzystą!"
„Ah patrzaj no matko, na dzieci przed chatką
Dla czego w koszulkach są jednych?"
„Bo kmiotkom nie stanie, dać ciepłe ubranie
Dla synków swych nagich i biednych."
„Gdy tylko wrócimy, zaraz się złożemy
Potrzebne im sprawim sukienki:
Mam złote i grosze, zbierze się potrosze
Od Jasia, Stefanka, Helenki.
Dla czego to mamo nie jedziem tak samo
Lecz stangret koniki wstrzymuje?.."

„Bo blizko młyn stoi, a konik się boi
Gdy mostek pod nóżką uczuje."
„Ah! mamo ah. Tato—spojrzyjcie się na to
Jak woda wre, szumi i płynie;
Jak koło z tą belką, obraca się wielką,
I coś wciąż tam huczy we młynie."
„To mąka mój synku, miele się w tem młynku
Tam sypią pod kamień ziareczka
Zmielą je młynarze, upieką piekarze
I będzie dla dzieci bułeczka."
„Ot lasek przed nami, a może czasami
Tam zbójcy ukryci za krzakiem?"
„Napróżno się boisz, o zbójcach złych roisz,
O niczem nie słychać tu takiem..."
„A krzyżyk nad drogą? Zabili tu kogo
A potem głęboko zaryli..."
„Gdzież znowu! te godła, pobożność zawiodła
By ludzie się częściej modlili.
Więc grzeczne dziateczki, zdjąć winny cza-
[peczki
Gdy ujrzą to święte czci znamię
Przeżegnać się ładnie, pomodlić przykładnie:
Szczęść Boże nam, Tacie i Mamie!"
„Ah! cośmy to przecie widzieli na świecie
Różności; aż w główkach się kręci,
Gdy wrócim do domu to będzie je komu
Za świeżej powiedzieć pamięci.

6.

PRZY STOLE.

„Hej dzieci! hej społem! siadajcie za stołem
Będziemy spożywać dar nieba,
Lecz za nim siądziecie, chleb w usta weźmiecie
Pobożnie przeżegnać się trzeba.
Tak dobrze, gotowi? więc jedzcie mi zdrowi
Lecz cóż to ja w kącie tam widzę?
Jaś łyżkę położył, i buzię otworzył..."
„Bo zupką mój tato się brzydzę!"
„Kto siedzi za stołem nie gardzi rosołem
Bo rosół do zdrowia pomoże:
Jedz chłopcze wesoło, a rozmarszcz mi czoło,
Wszak wszystko to dary są Boże,
Aj Zosiu, ty miła, czegoś się zgarbiła
We czworo jak stara babina?
Któż widział tak siedzieć, panienka trza wiedzieć
Powinna być prostą jak trzcina.
Jakubek to majster, zmiął bułkę na klajster
I lepi coś z bułki w swej dłoni:
Ośródkę rzuć chleba, tak igrać nie trzeba
Bo Tata tych zabaw ci broni.
Co słyszę, o Boże!... czyliż to być może?
Ktoś płacze.—„To Stasio mój tato.
„I czegoż tam szlochasz? Czy już mnie nie kochasz;
No Stasiu, odpowiedz mi na to?"

„Na talerz do jadła wraz muszka mi wpadła
I siedzi w sosiku aż na dnie..."
„Weź w rękę łyżeczkę, wydobądź muszeczkę
I nie płacz, bo płakać nie ładnie.
Przestrzegam też Rózię, że pełną ma buzię
A jeszcze na talerz nakłada:
Jedz dziecię powoli, bo brzuszek zaboli;
Obżarstwo szkodliwa jest wada.
W ogóle potrzeba pożywać dar nieba
Przystojnie, poważnie i ładnie
Nie brząkać szklankami, nie igrać z nożami
Nie chwytać co w rączkę popadnie;
Nie rzucać też gałek, nie robić furgałek,
Być skromnym, nie gadać zbyt wiele,
Gdyż nasi Ojcowie, mieli to przysłowie:
Przy stole, bądź tak jak w kościele.
Skończyły się wety — no, zwińcie serwety
Nie będzie już żadnej potrawy;
A teraz możecie, pobiegać gdy chcecie,
Lecz tylko bez krzyków i wrzawy.

7.

W CZASIE ZABAWY.

Jak to jest w około, rozkosznie, wesoło
Gdy dzieci się bawią po pracy:

Jaś skacze i bryka udając konika
Ustawia żołnierzy Ignacy,
Ustawia ich w roty: konnicy piechoty,
Na straszny bój wojska swe wiedzie,
Rzędami w plutonach, sierżanci na stronach
A dziarski oficer na przedzie;
Armatką nie prochem nabitą lecz grochem
Wystrzeli, już trupy na ziemi,
Nie stracą na zdrowiu, bo oni z ołowiu
Więc płakać nie trzeba nad niemi.
Zosia swe laleczki, na brzegu sofeczki
Oparła o krawędź nad łóżkiem:
Przestrogi im daje, wychwala lub łaje
I czasem pogrozi paluszkiem.
Wciąż gada im gada, a bardzo jest rada
Że one z uwagą słuchają;
Bo lalki są grzeczne, nie krnąbrne, nie sprze-
[czne
I żadnych grymasów nie znają.
Dla tego Stefanek wyskoczył na ganek
I przyniósł garść całą deseczek,
Pod piecem majstruje, coś zrzyna, piłuje:
On robi dla lalek wózeczek.
Wózeczek nie lada, boć przecie wypada
By lalki na spacer jechały;
Jak Zosia kontenta, jak klaszcze w rączęta:
Daj buzi braciszku mój mały!

Starsza znów siostrzyczka, około stoliczka
Z książkami zasiadła swojemi;
Obrazki w niej liczne, a takie prześliczne,
Nacieszyć nie może się niemi.
Są w książce królowie, wojskowi, panowie,
I domy, i miasta, i chatki;
Wspaniałe okręta, zamorskie zwierzęta
I góry, i drzewka i kwiatki.
Jak rada Janinka że każda rycinka
Przy pięknej jest wszyta bajeczce,
Więc może przeczytać, nie trzeba się pytać
Co znaczą obrazki w książeczce.
Tak bawią się dzieci, lecz szybko czas leci
Obliczyć nie można go prawie;
Im chwila nie długa, a jedna i druga
Przeszła już godzina w zabawie.

8.

U BABUNI.

Babunia nas woła — o chwilo wesoła!
Babunia tak kocha wnuczęta:
Cukierki nam daje, i nigdy nie łaje,
O wszystkiem co lubim pamięta;
Przebacza przywary, wyprasza od kary
Gdy kto co robi nie ładnie,

Ma kieszeń szeroką, ogromną, głęboką,
I zawsze w kieszeni coś na dnie.
Wejdziemy cichutko, przystojnie, skrom-
[niutko
Bez figlów, hałasu, swawoli,
Gdyż babcia w swej ciszy, gdy krzyki usłyszy
To zaraz ją główka zaboli.
Bardzo też nie rada, gdy które z nas wkłada
Jej szkiełka na nosek figlami,
Lub rusza choć troszka tabakę co z rożka
Babunia zażywa czasami.
Po prawdzie bywało, że które się bało
Z nas w późnej zachodzić tam porze;
Tak razem, gromadką — to raźniej i gładko
Samemu wieczorem: broń Boże!
Choć ona nas kocha, jak nie bać się trocha
Gdy ujrzysz te groźne postacie?
Portrety nie żywe, lecz bardzo straszliwe
I patrzą oczami wprost na cię.
A zegar ów stary — o takie zegary
Są straszne. Gdy przyjdzie mu dzwonić
Śmierć z kosą szczerbata, ze środka wylata
By wszystkim się w koło pokłonić.
Wiem że to maszyna, z kluczykiem sprężyna
I różne mosiężne kółeczka,
Że to jest stal, drewno, a jednak na pewno
Nie pójdę gdy ciemno troszeczka.

U babci kochanej, są piękne dywany,
Komoda grająca kuranty,
Obrazy, konsole, figurki na stole
Rozliczne przedmioty i fanty;
Przy ścianie pokoi, szafeczka zaś stoi
A w szawce konfitur słoiki;
Gdy babcia czasami, zabrzęknie kluczami
Aż ślinkę łykają chłopczyki.
Byliśmy więc u niej. Od drogiej babuni
Wychodzim: rozkoszne to chwile,
Pieściła, głaskała — cukierków nam dała
O mamy w kieszeniach ich tyle!
Dniem stare obrazy, weselsze sto razy,
Nie straszą tak bardzo swym wzrokiem;
Śmierć nawet, ta z kosą, nie patrzy tak koso
Przy słońca promieniach, jak mrokiem.

9.

PRZY GOŚCIACH.

Jakież to bieganie, i z biczów trzaskanie,
I pojazd się toczy od bramy;
A Maciej i Janek, wypadli na ganek,
To goście zjechali do Mamy.
Poczekaj, zobaczym — przez okno cichaczem:
Ah patrzcie jak strojnie ubrani!

Pan jakiś dość młody, już wchodzi na schody
A za nim wysiada i pani,
I jeszcze z landary wyłazi pan stary:
Pocieszny! nie śmiać się czyż sposób?
„Cicho bądź Brygitko, to bardzo jest brzydko
Z dorosłych wyśmiewać się osób.
Ot na was wołają, bo goście żądają
Zobaczyć dziateczki na sali;
No chodźcie!" — „Idziemy, ale się wstydziemy"
„Cóż znowu — winniście być śmiali.
Kto zrobi co złego ten wstydzi się tego,
On radby wleść zaraz do kątka;
Lecz przykro dla matki, gdy grzeczne jej dziatki
Kryją się jak dzikie zwierzątka.
Jużeśmy w salonie, więc w pięknym pokłonie
Przywitać się z gośćmi wypada;
A gdy kto zagadnie, to odrzec mu ładnie
Na każde pytanie co zada;
Chłopcy się skłonili, panienki w tej chwili
Dygnięciem się winny przywitać,
I czekać w cichości, bo może kto z gości
Zapragnie się o co zapytać.
Co widzę mój Boże, czyli to być może
By syn mój był taki ciołuszek!
Jaś usta otworzył i palec w nie włożył:
Fe Jasiu — wyjm z buzi paluszek.
Nie trzeba jak stadko stać w kącie gromadką,
Lecz usiąść około swej matki

Odważnie i śmiało, aby się nie zdało
Że ludzi lękają się dziatki.
Ten pan ma karmelki, przyjaciel to wielki
Chłopczyków co grzeczni i mili;
Ot daje ci dziecie: podziękuj mu przecie,
Za dar trza dziękować w tej chwili.
A teraz, z siostrami podziel się cukrami,
Tak dobrze — lecz pora wyjść może;
Ja z gośćmi zostanę, wam dziatki kochane
Pozwalam pobiegać po dworze.

10.
W OGRODZIE.

Jak miło w ogrodzie, wieczorem o chłodzie
Pobiegać dziateczkom swobodnie,
Gdy ptaszki w około, fruwają wesoło,
Gdy nucą piosenki swe zgodnie;
Gdy z kwiatków na kwiaty, motylek skrzydlaty
Przelata... ah trzymam go przecie!
Lecz puszczę w tej chwili, żal więzić motyli
Niech sobie bujają po świecie.
Patrzajcie, Ignacy, nie leni się pracy
Polewa w ogródku zagony,
To też mu wnet z wiosną roślinki urosną,
Oddadzą za trudy swe plony.

Helenka rwie kwiatki, zapewne dla matki
Bukiecik tak piękny układa:
Poczciwa córeczka, o jakże mateczka
Szczęśliwa z nich będzie i rada!
Ot masz tu gwoździczki i te dwie różyczki,
Przy lilij jak pięknie im białej,
Konwalije i bratki, a w koło bławatki;
Ah ślicznie... twój bukiet wspaniały!
Jaś z minką żałosną spogląda gdzie rosną
Gruszeczki pod liści osłoną:
Nie róbże tej minki, nie łykaj tak ślinki,
Bo gruszka jest jeszcze zieloną;
Poczekaj a za to, gdy przyjdzie już lato
Obfity nadejdzie nam Wrzesień,
Śliweczki słodziutkie i gruszki żółciutkie,
Jeść będziem ze smakiem na jesień.
Idź Zosiu z daleka, bo tam jest pasieka
A pszczółka ciekawych nie znosi,
Ona gdy pracuje, żądełkiem ukłuje
Buziaka lub rączkę u Zosi.
Nie igrać po trawie, bo rosa w murawie
A wilgoć wam może zaszkodzić
Scieżki są robione: szerokie przestrone,
By po nich i biegać i chodzić,
A z resztą już pora, udać się do dwora
Choć tak jest przechadzka przyjemną."
„Ah! jeszcze troszeczkę pograć nam w piłeczkę!"
„Nie można — wszak widzisz że ciemno"

II.

PRZY UDAWANIU SIĘ NA SPOCZYNEK.

Zapadły już mroki, z czerniały obłoki,
Cień smutny świat cały pokrywa:
W oborze śpią stadka, strudzona czeladka
Już dawno snem smacznym spoczywa.
Wśród nocy tej szarej, ustały dnia gwary
Zamilkli po gajach ptaszkowie,
I tylko z daleka pies wierny zaszczeka,
A echo mu głuche odpowie.
I wam też spać trzeba, a najprzód do nieba
Zanieście dank modłów swych tkliwie:
Za miłość, ofiary, za wszystkie łask dary,
Za dzień ten przebyty szczęśliwie.
Jeśliście zgrzeszyli, grzecznemi nie byli
To Bóg wam udzieli zacności,
Umocni, pokrzepi, i będzie znów lepiej:
Bo Bóg nasz jest Bogiem miłości,
A jutro pospołem, z sumieniem wesołem
Wstaniecie do życia do pracy;
Ulegli, przytomni, posłuszni, i skromi,
I zawsze będziecie już tacy.
No, kładźcie się dziatki, a teraz do matki
W objęcia — me drogie, kochane,

Niechże Was uścisnę, do serca przycisnę,
Niech od Was buziaczka dostanę...
Niechże was popieszczę.. o jeszcze!.. o jeszcze!
Ostatni całunek dam na noc;
Ostatni, jedyny... no, śpijcie dzieciny,
Dobranoc, aniołki, dobranoc!

12.

NOC.

Spią dziatki, świat w ciszy — zaledwie usłyszy
Matczyny słuch lekkie westchnienie,
Po pracy, po znoju, śpią dziatki w pokoju,
Bo czyste dziateczek sumienie,
Bo jasne ich czyny, bo dusze bez winy,
Bo Matki i Ojca słuchali,
Bo Boga miłości, błagali w cichości,
Bo bliźnich serdecznie kochali.
A jeźli czasami drobnemi błędami
Zaćmili pogodę serc własną,
To złe się zmieniło, i znowu wciąż było
W ich duszach tak pięknie, tak jasno!
Spią dziatki pospołem, z uśmiechem wesołem
Snadź widzą niebieski raj we śnie,
Snadź dla nich niewidne, występki ochydne
Co ludzi tak rażą boleśnie.

I światło księżyca mdłem blaskiem oświeca
Ten piękny, ten luby świateczek,
I wszędzie tak złudnie, jak błogo, jak cudnie
W duszyczkach uśpionych dziateczek.
Oczęta zmrużone, główeczki stulone,
Na ustach wciąż igra uśmieszek;
Win dziennych wspomnienie, ukryło się
[w cienie
Modlitwą rozwiany znikł grzeszek.
Śpią dziatki, śpią błogo, nie winiąc nikogo
Nie znając podstępu, złych wrażeń.
Śpią dziatki po znoju, a zwiastun pokoju
Stróż anioł, pilnuje ich marzeń.

II.

ANTOŚ ZGUBIŁ JĘZYCZEK.

„Jest to cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami.”
Antoś usłyszał te słowa
I siadł w kącie jak niemowa;
Ten i ów go o co pyta
Głową kiwnie — ot i kwita,
Lub też na wszelki przypadek
Mruczy tylko jak niedźwiadek.
Zapłakała mała Zosia:
„Zginął języczek Antosia!”
„O znajdziemy sposób na to”
Odpowiedział Zosi Tato,
„Niech tylko dadzą obiadek
Wnet przemówi nasz niedzwiadek.”
Wtem służący wazę niesie
Antoś woła: „jeść mi chce się”
„Znalazł się języczek przecie!”



Dwa złote. (do str. 34).

A serduszko mówi do mnie,
Że na strychu oficyny,
Mieszka sobie cicho, skromnie,
Matka w gronie swej rodziny.

Teraz powiedz moje dziecię
Co to były za przyczyny
Żeś zamilkł na trzy godziny?...
„Bom słyszał, jak wczoraj z rana
Rzekła Mama do Stefana:
Jest to cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami.
Chciałem trzymać dobę całą
Ale mi się jeść zachciało;
A jak zupa zapachniała,
To już i buzia gadała".
„Nie w tem synu" Ojciec powie,
Zasadza się to przysłowie,
By zamykać swoje usta;
Lecz by mowa zdrożna, pusta
Nie była naszym udziałem,
Kiedy czasem słówkiem małem,
Można krzywdę bliźnim zrządzić,
I tym samym bardzo zbłądzić.
Trzymaj język za zębami,
Znaczy; nie szafuj słowami,
Pomyśl, gdy mówić ochota,
Bo roztropność to jest cnota.

III.

DWA ZŁOTE.

Dała mi dwa złote Mama
A dwa złote grosz nie mały;
Prawdziwie że nie wiem sama,
Jak urządzić kapitały.
Radziłam się różnych osób
Każda inny daje sposób;
— Kup laleczkę mówi Rózia,
Ale piękną, ale dużą;
U której z ząbkami buzia,
A oczki się same mrużą.
— Kup cukierków, czekolady,
Krzyczy mój braciszek mały;
Tyś łakomy, znam te rady
— Ty łakoci zjesz funt cały.
— Ah panienko rzecze niania,
Iść na hecę to wesoło.
Jakie tam piękne ubrania,
Jak koniki biegną w koło,
Jak na koniu jeździec stoi,
Jak pani przez obręcz skacze,
Jak pajac figielki stroi...
Pójdziem, i ja też zobaczę.

Szwaczka znowu z magazynu
Mówi: co się w hece bawić,
Lepiej kupić choć muślinu,
I mantylkę sobie sprawić.
Mosiek mówi: to nic potem
Hece, cukry i mantylki;
Z miedzią, srebrem tak jak z złotem,
Nie trza żartować ni chwilki.
Wie panienka? Mosiek radzi
Dać sumkę jakiej osobie,
Takiej co handel prowadzi,
I brać mały procent sobie.

Jaką tu postąpić drogą?
Każdy radzi a inaczej...
Nie usłucham ja nikogo
Lecz za sercem pójdę raczej.
A serduszko mówi do mnie,
Że na strychu oficyny,
Mieszka sobie cicho, skromnie,
Matka w gronie swej rodziny.
Ona biedna; w mrozy, słotę,
Walczyć musi z zimnem srogiem:
Na drewka, oddam dwa złote,
By cieplej było ubogim.

IV.

NIEUK.

Nie bardzo był grzeczny Władzio
Bo go popsuł na wsi Dziadzio,
A Babcia co wnuczka kocha,
Rozpieściła go też trocha.
Gdy skończyły się zabawy.
Przybył Władzio do Warszawy,
Do nauki i do szkoły,
Lecz był jakiś nie wesoły.
Miał na myśli pola, łąki,
Gdzie biegając zbijał bąki.
Pan profesor mu tłumaczy,
On na ławce kreski znaczy,
I rachuje czy nie mało
Do wakacyi dni zostało.
Zapytują, on ni słowa:
Nie wie nawet o czem mowa,
Piszą pałkę... ot i kwita!
Władzio o to się nie pyta.
Nie w głowie mu deklinacyje,
On by chciał mieć już wakacyje,
I pobujać znów na łące.
Więc rachuje dnie, miesiące,

Wali kresek co niemiara,
Że aż skrzypi ława stara;
A do zajęć, pracy, trudu,
Do nauki.... ani dudu!
Minęła już pora wiosny,
Nadszedł wreszcie dzień radosny
Dzień wakacyi. Jak wesoło!
Wszyscy się rozstają z szkołą,
Władzio też manatki zbiera,
Gdy profesor drzwi otwiera
Staje w progu, mówiąc: hola!
Nie dla Ciebie łąki, pola,
Kiedyś do nauki niezdara
Siedź! to będzie twoja kara.
Błaga Babcia, prosi Dziadzio
Lecz napróżno — został Władzio,
Dobrze mu tak: ot nauka
Dla leniucha, dla nieuka!

V.

MUSZKA.

Muszka z komnaty przefruwa w komnatę,
Skrzydełka u niej jak gaza przejrzyste,
Nóżki malutkie, oczy promieniste,

Kształty w tysiące powabów bogate;
I cała postać latającej muchy
Tyle naiwnej prostoty posiada,
Że patrząc na jej zakręty i ruchy,
Nie jeden wdziękom zazdrości owada.
Raz siadłszy na stół, żwawo, pilnie, śmiało,
Zbiera rozsiane cukierków ziareczka,
Potem ująwszy w łapki główkę małą
Muska swój łebek jak zwinna koteczka;
To w różne strony po pokoju lata,
To frunie w górę, to zwiśnie na ziemi,
To po suficie niby akrobata
Chodząc, zadziwia obroty śmiałemi.
Czasami bywa że z pustej swawoli
Ciśnie się w nosek natrętna muszeczka,
I drapnie łapką, ale jej łapeczka
Tak jest drobniutka, że to nic nie boli.
Czasem gdy dzieciom podadzą obiadek,
Ona powoli, nie śmiało się zbliża,
A przyfrunąwszy nad brzeżek talerza
Schwyci jedzenia malutki odpadek.
Prawda, nie dla niej zgotowano jadło,
Ale czyż można rachować za winę
Biednej, że drobną podjęła kruszynę
Źdźbła, które z łyżki na obrus upadło?
Boć wszakże muszka nie sieje, nie orze,
Nie ma ni siły ni ramion do pracy,
A żyjąc sobie jak żyją biedacy

Szuka pokarmu jak umie, jak może,
Nie ma nic swego: ni gniazdka, ni chatki,
Nie dla niej szczęście ani praw opieka,
Więc się też biedna garnie do człowieka,
Lub niepokoi przy obiedzie dziatki.
Zawsze i wszędzie nieprzyjazne wrogi
Czyhają na jej swobodę i życie:
Tu brzydki pająk wyciągając nogi
Czeka, by złowić niebaczną w swe siecie;
Tu stawią słodycz zaprawioną jadem,
Tu biją klapką, tam topią niebogie,
Lecz co najsmutniej że są dziatki srogie,
Które nad słabem pastwią się owadem.
O takie dziecko co w szale płochości
Dręczy złośliwie niewinne stworzenia,
Niezasługuje nigdy przebaczenia:
Bo nie wart łaski, kto nie zna litości.

VI.

JA WSZYSTKICH KOCHAM!

Nad wszystkich ludzi na świecie
Milsi mi Mama i Tato;
Jak ich kocham, wy nie wiecie,
Sama nie odpowiem na to;

Gdyby tylko rzekli słowo
Oddałabym swoje miano,
Wstążki, szarfę, suknię nową;
Nawet... lalkę ukochaną.
Kocham brata, choć on czasem
Lubi bawić się z hałasem;
Choć wyprawia figle, zbytki,
A jak płacze — taki brzydki!
Kocham siostrę choć tak mała,
Ot... jak moja rączka cała.
Kocham babcię — oj babeczka
Pełną kieszeń cukrów nosi,
I udzieli choć troszeczka
Kiedy wnuczka ją poprosi.
Kocham Wujcia także szczerze:
O on strasznie wiele umie,
Zawsze na examen bierze,
I wszystkie książki rozumie.
Kocham Madam, choć czasami
W kącik stawi na godziny,
Lecz gdy przyznam się do winy
Zaraz nazwie: „ma bonne amie.
Wszystkich kocham!... o nie, zaraz:
Jest taki okropny człowiek,
Że jak spotkam jego naraz
Już nie mogę zmrużyć powiek.
To kominiarz! Już gdy dachem
Idzie, wnet się trzęsę cała:

Lecz on bliźni — choć ze strachem
Będę także go kochaał!

VII.

TRZY ŻYCZENIA.

Bardzo stara bajka.

Był to sobie dziad i baba, bardzo starzy, bardzo biedni,
Nie mieli dzieci, przyjaciół, żyli sobie sami jedni;
Dziad drwa rąbał, wodę woził—baba patrzyła kądzieli
I tak o chłodzie i głodzie pchali biedę jak umieli.
Zła rzecz starość, gorsza nędza, lecz gdy z biedą nie-
[moc idzie
To już nie wiesz w czem frasunek — czy w starości
[czy też w biedzie.
Więc oboje narzekali siedząc wieczór przed ogniskiem,
Nad okropnym swoim stanem, i nad złych losów
[igrzyskiem:
„Ah!" zawoła dziad ze smutkiem: „miałem w ży-
[ciu zachceń tyle,
Ale wszystkie me zachcenia, zmarniały jak życia
[chwile."

„Ah!” zaszlocha płacząc baba: „gdyby chociaż z ży-
[czeń jedno
Spełniając się w mej starości, mogło mnie pocieszyć
[biedną!”
Wtem wiatr świśnie, drzwi wywali — a na progu nę-
[dznej chatki
Stoi wróżka, która wszystkie losów ludzkich zna wy-
[padki:
„Słuchaj babo, słuchaj dziadzie — trzy życzenia wa-
[szej woli,
Trzy życzenia, lecz nie więcej los wypełnić mi pozwoli;
Z zachceń waszych, wybierajcie to co lepsze da ko-
[rzyści,
Lecz pomnijcie że życzenie wyrażone wnet się ziści.”
Znikła wróżka, wiatr drzwi zaparł i zaszumiał za jej
[śladem,
Tylko bledzi, wystraszeni, patrzą na się baba z dzia-
[dem,
Wreszcie rzecze stary z cicha: „trzeba dobrze obra-
[chować
Co nam trzeba, by z pośpiechu swej prędkości nie
[żałować.
A więc myślą — na kominku, drzewo trzaska, ogień
[płonie,
Lecz myśl ciężka, odrętwiała, w błogiem zapomnieniu
[tonie:
Babie widok ognia pędzi, w głowę żarłoczne w spo-
[nienia,

Raz wątróbka miga złudnie, znów stoi w oczach pie-
[czenia;
Wszystko to się w jej dumaniu smaży, praży, swędzi,
[piecze,
Że aż babie wygłodniałej, z ust po brodzie ślinka cie-
[cze.
„Ah!” zawoła mimowolnie, „jakże by to dobrze było,
Gdyby się tu tak od razu kółko kiełbasy zjawiło!”
Ledwie baba w zapomnieniu wyrzekła niebaczne sło-
[wa,
Gdy kiełbasa buch z komina, leci na nią stułokciowa.
Dziad się porwie drzący z gniewu: „o przeklęte nasze
[losy!
Otóż to mieć babę w domu: krótki rozum, długie
[włosy;
Z trzech darów przez wróżkę danych, już dwa tylko
[pozostało,
A dla czego? bo łakomej kiełbasy się jeść zachciało.
Oby za twoje życzenia któreś tak szalenie wniosła,
Ta kiełbasa — ot ta sama, do nosa ci wnet przyrosła!”
Ledwie wyrzekł, wnet kiełbasa hyc z podłogi podsko-
[czyła,
I babie jak trąba słonia u nosa się uwiesiła.
Straszny widok! spojrzeć smutno, boć na świecie róż-
[ne nosy,
Ale takich stułokciowych najgorsze nie dadzą losy.
Cóż więc czynić, gdy niebacznie dwa życzenia zmar-
[nowali,

A w dodatku dziwowiskiem między ludźmi pozostali?
Nic innego, tylko życzyć aby niefortunne brzemię
Rozstało się z babim nosem, i odpadło znów na zie-
[mię.
Po namyśle, po wyrzutach, spełniło się to życzenie;
A z trzech darów dobrej wróżki, zostało tylko wspom-
[nienie.

. . . .

Gdym wam dziatki opowiedział bajkę znanej dawno
[treści,
Dodam jeszcze i naukę jaką bajka w sobie mieści:
Na świecie człek zawsze pragnie przeznaczeń swych
[zmienić postać,
A gdy los mu się uśmiechnie, nie umie szczęśliwym
[zostać.

VIII.

BEZPOŻYTECZNA PRACA.

(Z rossyjskiego: Krylowa.)

Pracuj choćby w pocie czoła
Za tę pracę nikt cię zgoła
Nie pochwali, gdy w twym trudzie
Nie widzą pożytku ludzie;
Kmiotek pługiem ziemię orze

Wszyscy mówią: „szczęść ci boże!”
Za robotę ciężką codzień
Cześć oddaje mu przechodzień.
Małpie się to podobało,
A więc pragnąc by pochwałą
Posiąść za czyny nagrodę
Chwyta w łapy ciężką kłodę,
A podniosłszy w górę drzewo
Obraca nim w prawo w lewo,
Tacza w koło, dźwiga, nosi,
Aż jej skroń trud potem rosi.
I cóż z tego? próżna praca
Ludzkiej uwagi nie zwraca;
Nikt małpeczki nie pochwalił,
Nikt się nad nią nie użalił.
Bo wiedz o tem moje dziecie
Że najcięższy trud na świecie,
Gdy korzyści nie obliczém
W jego skutkach — będzie niczem

IX.

NA CO ROZUM ZDA SIĘ.

(Rozmowa Ojca z Synem.)

Ojciec.

Stefciu, zabawki swe poskładaj ładnie,
Bo ci na lekcyję w krótce iść wypadnie.

Syn.

Tak prędko?

Ojciec.

Czas już.

Syn.

ja się bawić wolę,
Niż tam z kajetem wciąż siedzieć przy stole.

Ojciec.

Wiem dobrze o tem, ale trudna rada
Kiedy każdemu uczyć się wypada.

Syn.

Czemu mi każą czas nad książką trawić
Kiedy daleko przyjemniej się bawić?

Ojciec.

Abyś miał rozum.

Syn.

na co rozum zda się?

Ojciec.

On do wszystkiego zawsze, w każdym czasie,
Ludziom potrzebny; człowiek przy rozumie
Sam sobie radzić i wystarczyć umie,
A kto go nie ma jest jak w liczbach zero,
Choć chęć posiada do wszystkiego szczerą,
Nic nie potrafi.

Syn.

a przecież ja sobie
Choć nic nieumiem, wszystko co chcę zrobię.

Ojciec.

Wszystko?

Syn.

tak wszystko — boć przecież mam ręce:
Skopię ogródek, fujarkę wykręcę,
Nakarmię ptaszka...

Ojciec.

tego nikt nie uczy;
Ale co zrobisz jeźli głód dokuczy?

Syn.

Zjem co mi dadzą.

Ojciec.

a gdy nikt nic nie da?

Syn.

Wtedy... i wtedy nie będzie mi bieda.

Ojciec.

Jakim sposobem?

Syn.

wezmę kawał chleba.

Ojciec.

A z kąd go weźmiesz?

Syn.

poszukać potrzeba:
W szafie, w kredensie — jednem słowem wszę-
[dzie.

Ojciec.

Ale co zrobisz gdy chleba nie będzie
W calutkim domu?

Syn.

to taty poproszę
By mi udzielił choć ze cztery grosze,
A wtedy mając już pieniądz gotowy
Kupię w piekarni u pani Janowej
Cały bochenek.

Ojciec.

może być wypadek
Że tata nie ma.

Syn.

poproszę sąsiadek.

Ojciec.

Te ci nie dadzą

Syn.

no to wtedy sobie
Trochę pieniędzy swą pracą zarobię,
I kupię bułek.

Ojciec.

powiedz jaką pracą?

Syn.

Taką, za którą ludzie dobrze płacą.

Ojciec.

Kiedy ty żadnej nie umiesz roboty!

Syn.

To się nauczę — niebraknie ochoty.

Ojciec.

A za tem widzisz że *uczyć* się trzeba:
Bez nauk, pracy, może braknąć chleba.
Dopokiś mały Tata myśli o tem,
Gdy wzrośniesz własnym żyć trzeba kłopotem;
Prosić u drugich to nie wielka sztuka,
Chcąc być człowiekiem potrzebna nauka.

X.

PAJAC Z CYRKU.

„Widziałem wczoraj w cyrku drogi tato
Człowieka, który szczęśliwym być musi:

Miał on na głowie czapeczkę rogatą,
I przy niej długie dwa pióra ze strusi;
Ubranie jego różnokolorowe,
Kurtka niebieska, zbielone policzki,
A wszystko na nim tak piękne, tak nowe,
I takie zgrabne pąsowe trzewiczki"...
— „To pajac synu, lecz z kąd to mniemanie
Że człek ten szczęścia w swem życiu używa;
Czyż można sądzić że przez pstre ubranie
Lub czapkę z piórem szczęście się nabywa?
— „O nie mój tato — ja wiem to dokładnie
Że nie strój daje pomyślności prawo,
Choć prawdę mówiąc było by dość ładnie
Przypiąć dwa rożki, wdziać kurtkę jaskrawą;
Ale ten człowiek tak się ciągle śmieje,
Tak zgrabnie skacze w tem cyrkowem kole,
I tak wesoło bawi się, szaleje,
Że niepodobna by znał smutną dolę.
Wprawdzie na psotę który z masztalerzy
Biczem po nogach zatnie go czasami,
Ale on nigdy nie łaje — bo wierzy
Że to się robi w zabawie, żartami;
I wraz tak śmieszną minę im wystroi,
Iż wielu z śmiechu ledwie się nie dusi:
On z wesołości wszystkie figle broi,
A kto wesoły szczęśliwym być musi."
— „Prawda że w figlach pajac niezrównany,
Prawda że bryka, żartuje, szaleje,

Lecz czyli myślisz synu mój kochany
Że ten wesoły co się ciągle śmieje?
On skrzywi usta gdy z roli wypadnie,
Zrobi się dzieckiem, choć jest już dorosłym,
A wśród tej duszy, może gorycz na dnie,
Bo śmiech, żart, figle u niego rzemiosłem;
Bo może w domu biedna żona płacze
Niemając dziatkom kupić chleba za co,
A on tymczasem przez obręcze skacze
I śmiać się musi, kiedy za to płacą.
Straszny śmiech taki! w ostrem jego brzmieniu
Ja słyszę akkord bolesny, fałszywy:
Cierpieć rzecz smutna, lecz śmiać się w cier-
[pieniu
O to jest obraz nieszczęścia prawdziwy!
Nad takim człekiem synu mój kochany
Co wdział tę maskę dla kawałka chleba,
Co w płaskich żartach kryje ból nieznany,
A płacz w uśmiechu — litować się trzeba.

XI.

CHLEB.

Czyście kiedy myślały, dzieci jedząc chleb biały
Lub wyborne kluseczki w rosole,

W jakiej pracy i trudzie, muszą męczyć się ludzie
Nim nam pokarm postawią na stole?
Posłuchajcie wy młodzi, ile przemian przechodzi
Ziarno które kmieć w ziemię położy,
Zanim z tego ziareczka, wzrośnie pulchna bułeczka,
A szanować będziecie dar boży.
Naprzód idzie kmieć w pole, orać sochą swą rolę
I przewraca grunt skiby równemi;
Na zoranym ugorze, rzuca w krociach ziarn zboże,
I bronuje by skryło się w ziemi,
A w niem zaród nasienia, czeka słońca promienia,
Albo rosy ożywczej kropelki:
Ledwie słońce zabłysło, wnet z ziarenka wytrysło
Źdźbło żywotne, kiełbeczek niewielki.
Kiełbek rośnie i rośnie, lecz mu w ziemi nieznośnie,
Duszno, parno, i smutno i ciasno;
Więc przebija grunt roli, a zarodek powoli
Na świat siłą podnosi się własną,
Pijąc krople dzdżów, rosy, trawka strzela wnet w kłosy
Wznosząc główki brzemienne plonami:
Słonko ciepłem dogrzewa, niwa żółknie dojrzewa,
I faluje złotemi kłosami.
I pora żniw nastała, i gromada wsi cała
Idzie zbierać pszenicę na pole,
Jedni rżną ją sierpami, drudzy kładą kopami,
Inni plon swój gromadzą w stodole.
Potem każdy jak może, młóci cepem swe zboże,
I zmłócone do młyna odstawia,

Gdzie pod ciężkim kamieniem, tarciem, wirem, ciś-
[nieniem,
Biały pyłek się mączki pojawia.
A ta mączka bielutka, jasna, miękka, czyściutka,
Z pod młyńskiego wytrysłszy kamienia,
Idzie w ręce piekarzy, lub w opiekę kucharzy,
I na ciasto kleiste się zmienia.
Piekarz w piecach swych pali, i prowadząc trud dalej
Wsuwa w piece zlepione kuleczki,
One w cieple się mienią, rosną, pulchną, rumienią:
Jedzcie dzieci— gotowe bułeczki.

XII.

GAŁECZKA CHLEBA.

Jasio rzucał gałki z chleba,
„Z chlebem bawić się nie trzeba."
„A dla czego powiedz tato?"
„Bo chléb Bozia dał nie na to
By z nim igrać." „Cóż to szkodzi:
Wszak się tyle żyta rodzi,
Że chleba nigdy nie braknie?"
„Nie jeden go biedak łaknie,
Przecież nie ma." „Ta gałeczka,
Taka mała kruszyneczka,

Że choćbym ją dał biednemu
To się na nic nie zda jemu".
„Lecz źdźbła drobne, drogie dziecię
Pozbierane w całym świecie,
Będąc nie małym zapasem,
Mogłyby się przydać czasem
Dla głodnego. Darów nieba
Nigdy marnować nie trzeba;
Wszakże ziarneczko do ziarnka
Wciąż dodając — będzie miarka.

XIII.

OBERWAŃCY.

Tadzio, Franio, Staś i Janek
Czterej bracia zgodnie żyli,
Razem zawsze się bawili,
W każdy wieczór i poranek.
Lecz cóż kiedy te figielki
Takiego rodzaju były,
Że sukienki im niszczyły,
Robiąc w nich ubytek wielki.
Kiedy grali w tabun koni
Aż strach patrzeć co się dzieje!
Ten rży, fika — ów szaleje,

Ten ucieka, ów go goni.
Potem nuż się tarzać w piasku,
Niby stadnina wesoła;
A opisać co tam wrzasku
Nikt wam na świecie nie zdoła.
O wrzask mniejsza, bo na dworze
Gdy hałas nikt się nie żali;
Lecz jak chłopcy wyglądali
I ich suknie—żal cię Boże!
Tadzio oberwał guziki
Tak że dwa ich pozostało,
Franuś pogubił trzewiki,
Stasio rozdarł połę całą;
U Janka zaś w toalecie
Tak ubranie pękło zdradnie,
Że... już sami odgadniecie,
Bo mówić o tem nie ładnie.

Raz igrali sobie właśnie,
Gdy nagle hałas powstanie:
Mignie kocz w kurzów tumanie,
I coś silnie z bicza trzaśnie,
Goście jadą! Chłopcy w strachu,
Gdzie się ukryć w złej godzinie?
Nogi za pas, ten na dachu:
Ów pod łóżkiem, ów w kominie.
Wszyscy czworo siedzą cicho,
Ani mru mru —zważcie sami,

Czyliż można się tak licho
Pokazywać przed gościami?
Ale Ojciec stoi w ganku,
Woła synów na wsze strony:
„Tadziu, Franiu, Stasiu, Janku
Chodźcie w bawialne salony!"
Szukał, szukał — znalazł z trudem:
Czarnych brudnych, oberwanych,
W piasku, w błocie powalanych,
Wstręt budzących swoim brudem.
„ Marsz na górę!" — „Drogi Tato,
Daj się przebrać, umyć wreszcie"..
„Nie!" odpowie Ojciec na to:
„Tak pójdziecie jak jesteście."
I zawiódł ich w gości grono;
A jak się z nich wszyscy śmiali,
Jak nad niemi żartowali,
To już nie opowiem pono!
„Niech to będzie Wam za karę,
Także za naukę stanie,
Że się bawić można w miarę,
A nie niszczyć wraz ubranie."
Tak rzekł ojciec — od tej chwili
Chłopcy grzecznymi zostali,
I choć często się bawili,
Sukien swoich już nie rwali.

XIV.

JAK MAMĘ KOCHAM!

Znam takie dzieci co się zaklinają
„Jak mamę kocham!" niebacznemi słowy,
A przyrzeczenia swego nie trzymają,
Gdyż im zaklęcie wywietrzało z głowy.
Kto wie że zawsze nie może być grzecznym,
Niech się z zaklęciem wstrzyma niedorzecznem.
Świętem uczuciem jest miłość dla matki,
Ona was zdoła w dobrych chęciach wspierać,
Czynem powinny dowodzić je dziatki,
Nigdy w czczem słowie marnie poniewierać;
Lepiej sto razy niegrzecznością zbłądzić,
Niżli tę krzywdę matce swojej zrządzić.
„Jak mamę kocham!" prędko z ust wyleci,
„Nie będziem w życiu już więcej płakali:"
Tak zaklinają się częstokroć dzieci,
A już krzyk słychać ledwie wyszli z sali.
Ona się martwi, myśląc że jej dziatki
Już nie kochają swojej dobrej matki.
„Jak mamę kocham!" mówiła Helenka.
„Już więcej niszczyć nie będę odzieży;"
A wnet za chwilę rozdarta sukienka,
I poplamiony jej kołnierzyk świeży;

Ona się martwi, myśląc że córeczka
Niekocha Mamy nawet i troszeczka.
„Jak mamę kocham!” zaklina się Janek,
„Już się na zawsze wyrzekłem swawoli;”
A ledwie wybiegł przededrzwi na ganek
Upada skacząc, i nóżka go boli.
Zmartwiła mamę obietnica płocha,
Bo ona myśli że syn jej nie kocha.
„Jak mamę kocham!” woła Tadeuszek,
„Nie wezmę w buzię nic bez pozwolenia.”
Rzekł, wbiegł do sadu i najadł się gruszek,
A teraz leży chory z przejedzenia.
Ona się martwi, a dając lekarstwo
Nie wie co gorsze: płochość lub obżarstwo.
„Jak mamę kocham!” przysięga się Ludek
Że będę umiał co guwerner zada;
Nadeszła lekcyja — on siedzi jak dudek
I nie wie nawet jak mówić wypada.
Lenistwem Mama zmartwiła się takiem,
Lecz jeszcze więcej wszelkich uczuć brakiem
Kiedy nas uczy drugie przykazanie:
„Nie bierz imienia mego nadaremno”,
Jakże tu pojąć takie przywiązanie
Co drogą fałszu idzie wciąż nikczemną?
Jakże tu wierzyć w miłość takich dziatek
Co kłamiąc, klną się imieniem swych matek?
Pomnijcie zatem zawsze moi mili,
Że nie dość swoich rodziców miłować,

Nie trzeba nigdy, w żadnej życia chwili,
Tak drogiem dla was imieniem szafować.
Złamać swą klątwę jest to ciężka wina:
Więcej ten kocha kto się mniej zaklina.

XV.

KRUCZEK.

Kruczek już dużo lat żyje na świecie
I przytem ślepy, często w jamę wpadnie,
A taki chudy, że na jego grzbiecie
Wszysciutkie kości policzysz dokładnie.
Łazi szukając ciągle pożywienia,
Bo ciągle głodny, lecz próżne to trudy.
Nikt nie ma względu na jego cierpienia,
Każdy go kopnie i krzyknie: do budy!
A czasem w kuchni obyczajem starém
Kijem go zbiją, lub obleją warem.
On się wciąż wlecze i wącha po ziemi,
Jeżli z barłogu kość wygrzebie sporą,
To wnet psy drugie z zębami ostremi
Dalej na niego — i kość mu odbiorą.
On się nie broni, puści zdobycz z pyska,
I idzie dalej prosić zmiłowania;

Nikt nieszczęsnego nie żałuje psiska
A przecież biedak wart politowania:
    Bo nędzny Kruczek w latach swej młodości
    Znał chwile szczęścia, rozkoszy, radości.
Ów pies dziś chudy, ślepy, głuchy, stary,
Był swego czasu gończym znakomitém,
Słynął pomiędzy wszystkiemi ogary,
I stał się pierwszym pana faworytem;
Lecz gdy dzik srogi zrobił go kaleką,
Pan, który dotąd nic mu nie żałował,
Kazał psa wpędzić do budy daleko,
By wśród podwórza dobytku pilnował,
    A Kruczek z zmianą losów swych kolei,
    Po całych nocach szczekał na złodziei.
Tam się zestarzał, ale gdy ujrzano
Że już nie widzić ni słyszyć nie może,
Wiernego stróża bez żalu wygnano,
I psią mu strawę odjęto we dworze;
Nikt nie pomyśli jak wiernym być sługą,
Nikt się nad nędznem nie zlituje psiskiem,
A ten co służył tak wiernie, tak długo,
Stał się czeladzi dworskiej pośmiewiskiem.
    Miasto współczucia nad jego cierpieniem,
    Dadzą w grzbiet kijem, albo w łeb ka-
[mieniem!
Dwa dni nic nie jadł — chce się zawlec dalej:
Może kość zwietrzy przy kuchni u progu...

Lecz głód dokucza i pragnienie pali,
Brakło sił — upadł na kupie barłogu.
Zdycha powoli, w tem czuje zdaleka
Znajome kroki... poznał pana swego,
Chce się doń zawlec... życie już ucieka:
Nie może... tylko łeb zwraca do niego;
I niewdzięcznému, wierny pies przed zgo-
[nem
Zdychając, kiwnął raz jeszcze ogonem!

XVI.

ROZUM KSIĄŻKOWY
I
ROZUM NATURALNY.

Były babci urodziny,
A do babci kawał drogi:
Trzeba iść ze dwie godziny,
Tak że mogą ustać nogi,
Choć wioseczka jej graniczy
Z naszą wioską, lecz gromada
Do jej dworku milę liczy,
A ujść milę rzecz nie lada.
Tata mówi: „przy tem święcie
Chciałbym winszować Babuni,
Lecz tak pilne mam zajęcie

Iż niemogę być dziś u niéj;
Ty mnie wyręcz Stefciu miły"...
„Dobrze gdy tak każe Tata".
„A iść pieszo masz dość siły?"
„Pójdę choć na koniec świata."
„Ot tak lubię! zawsze młodzi
W trudzie winni się hartować,
Bo trud nigdy nie zaszkodzi
Owszem, zdoła moc zachować.
Więc idź Stefciu śmiało w drogę,
Dam ci Franka przewodnikiem;"
„Ja do Babci sam iść mogę;
Mnie nie trzeba chodzić z nikiem:
Franek prostak nic nie umie,
Cóż jemu być może do mnie?"
„Nie sądź o drugich rozumie
Bo to bardzo jest nie skromnie;
Choć on synem włościanina
Umie radzić doskonale."
„Ale obcą mu łacina:
Innych nauk nie zna wcale."
„Więcej znaczy naturalny
Rozum w życiu, niż książkowy;
Idź z nim, chłopiec to jest wolny,
Do przysług zawsze gotowy."
Rozkaz Taty święte słowo,
Więc tedy wiosennym rankiem
Poszedłem drogą wioskową

Do Babuni, razem z Frankiem.
Idziem, idziem — w środku drogi
Wypadają psów gromady,
Ja ze strachu dalej w nogi,
One obces w moje ślady.
„Stój paniczu!" Franek woła...
Ja stanąłem, i psy stają:
„Przed niemi nie trzeba zgoła
Nigdy zmykać, bo kąsają.
Ot i szczekać już przestały,
Wiem ja dobrze co psy lubią:
Wara kundle gdy kto śmiały,
Zmykasz, wnet ci łydki skubią".
Idziem, most zerwała woda
Na rzeczułce: nie ma promu
Ani łódki -- „Jaka szkoda!
Chyba wracać nam do domu."
„Toby było bardzo pięknie
Wracać tak z długiemi nosy!
Niechaj panicz się nie zlęknie,
Nie tak smutne nasze losy."
Zrzucił buty, wziął na bary,
I przez rzekę w bród mnie niesie,
Zewsząd pluszczą wód obszary,
Mnie ze strachu płakać chce się;
On już z drugiej strony stoi,
Śmiało spogląda po fali:
„Niech się panicz nic nie boi,

To drobnostka, pójdziem dalej.
I poszliśmy. Znów zawada:
Droga tak mi dobrze znana
Której trzymać się wypada,
Cała pługiem zaorana.
Przed nami obsiane pole,
Rów na prawo, rów na lewo;
Zewsząd głogi i kąkole,
Lub zwalone wichrem drzewo.
„Trzeba wracać: przez te rowy
Nikt z nas pewnie nie przeskoczy"...
Lecz Franek niesłucha mowy
I ku ziemi zwrócił oczy.
Coś po trawie szuka pilnie,
Wreszcie krzyknie: "nie ma troski!
Ta drożyna nieomylnie
Zaprowadzi nas do wioski."
„Gdzie? nie widzę:" „Ot tu w trawie
Są zdeptane od kół znaki:
Idźmy ciągle po murawie,
Za ich śladem jak te krzaki."
Poszliśmy trochę na prawo,
Minęli nie wielki borek;
A za laskiem, za murawą,
Widnieje Babuni dworek.

Jak Babunia mnie witała,
Jak tam wszystko poszło składnie,

Ile dobrych rzeczy dała,
To już tata pewnie zgadnie;
A napowrót do jej bryki
Bym nie spotkał się z kłopotem
Zaprzężono dwa koniki,
I jesteśmy tu z powrotem:
Ale Franek w każdej rzeczy
Okazał przytomność rzadką,
Bez jego rady i pieczy
Nie wyszedłbym z tąd tak gładko.
„A co? pomnisz treść mej mowy."
Rzecze Ojciec do Stefanka:
„W dziennych sprawach niż książkowy
Lepszy prosty rozum Franka.
Można umieć po łacinie,
Można nauk znać zasady,
A bez sprytu w życia czynie
Nie dać sobie nigdy rady.

XVII.

IGŁA I ŚPILKA.

Raz zgromadziło się panienek kilka,
„Co lepsze," mówią czy igła czy śpilka?
Choć jedna z łebkiem, a zaś druga z uszkiem,
Choć się od obuch strzedz trzeba z paluszkiem,

Lecz obie równe usługi nam dają,
Bo obie równo odzienie spajają.
„Tak, „rzecze Mania," lecz mniej cenię śpilkę,
Ona gdy spaja, to tylko na chwilkę;
Igła zaś w rączce zabiegłej panienki
Na długie lata zeszywa sukienki:
Lepszą jest korzyść gdy zostanie trwałą,
Niż ta co wkrótce z chwilą niknie małą.

XVIII.

RÓZGA.

„Czy to prawda Mamo miła
Co mi Nania dziś mówiła,
Że brzoza jest tylko na to
By z niej w wiosnę, jesień, lato,
Matki rwały gałązeczki
Dla swych dzieci na rózeczki?"
„Brzoza rośnie drogie dziecię,
Tak jak inne drzewa w świecie,
Dla osłony swoim cieniem
Przed upałem i znużeniem.
Wszak ty dotąd Jadziu mała
Z rózeczką się nie poznała?"
— „Nie mateczko, ale ona

Tam w kąciku postawiona
Pewnie dla mnie.” — „Ona wisi
Na przestrogę dla Jadwisi,
By wiedziała w każdej porze
Że i rózga zdać się może
Gdy kto złego przejdzie miarę;
Ale Jadzia na tę karę
Nie zasłuży ostateczną,
Ona będzie zawsze grzeczną.

XIX.

MANIA.

„Już tak długo grywam gammy
Mnie to nudzi proszę mamy,”
Zawoła raz płacząc Mania:
„Ja chcę grać tak jak pan Kania!”
„Chcąc dojść do nauki wątku
Trzeba zacząć od początku,
Obok pracy pilnej, szczerej:
Pragniesz czytać — znaj litery.

XX.

PRZESTROGA.

Przyszedł do taty niemiec kolonista,
A każdy niemiec rzecz to oczywista
Zawsze po polsku brzydko mówić musi;
Już oni tacy. Więc się biedak krztusi,
I wybełkotał z trudnością słów parę
Sadząc „Verzeigen" „entszulden" nad miarę,
Jaś który słyszał to wszystko z kącika,
Wnet się ze śmiechem do taty przemyka
Wołając: *kiepsko* gada *to* niemczysko;
Jam tu *przyleciał* jak na widowisko
By go usłyszyć. „Nigdy nie wypada"
Odpowie Ojciec mówić: *kiepsko gada*,
Ale źle mówi — a także w polszczyznie
Ten się używa mówiąc o mężczyźnie;
Tyś nie *przyleciał* lecz przybiegł, bo dzieci
Biegają zawsze a ptak tylko leci.
Że źle po polsku wyraża się niemiec
Toć nic dziwnego bo on cudzoziemiec,
Lecz ty co drugich omyłki rozumiesz
I szydzisz z innych sam mówić nie umiesz;
Lepiej więc synu niż dawać przytyki
Obcym osobom — ucz się gramatyki.

XXI.

DUCH POKUTUJĄCY.

Pewnego razu, o wieczornej porze
Poszedł Jaś w ogród, siadł pod lipy cieniem;
I było cicho, spokojnie na dworze,
I księżyc bladem przyświecał promieniem.
Co się tam stało nikt pewnie nie zgadnie,
Lecz wkrótce chłopiec blady, przerażony,
Wybladły strachem do pokoju wpadnie,
I błędny wzrok swój w różne wodzi strony...
Przybiegł do Ojca: włos mu dębem stoi,
Zimny pot spływa powoli ze skroni,
W zamdlonych trwogą oczach wciąż się dwoi,
Chwieją kolana, i ząb o ząb dzwoni.
„Ah Ojcze," woła — „o tam... tam w ogrodzie
Wyszedł z cmentarza, stanął w pośród drogi,
W białym całunie, o srebrzystej brodzie,
Iskrzących oczach, z potężnemi rogi."...
— „Kto taki?" — „Mara, okropne straszydło,
Duch nieboszczyka!... — „Chłopcze, czyś sfixo-
[wał!"
— „Sam się patrzyłem na postać obrzydłą
Szedł, szedł, i potem za drzewo się schował.
Ot wyszedł z za drzew, prosto ku nam kroczy",
Zawoła Jasio drżąc ze strachu cały;

„Ratuj mnie Tato!" Ojciec podniósł oczy,
Spojrzał na ducha—to był kozieł biały.

XXII.

RÓŻA I BĘBENEK.

Miał Stasiulo bębenek, różę Józia miała,
Brat bębnił, a zaś siostra różyczkę wąchała;
Chłopczyk wiedzieć zapragnął co tam huczy na [dnie,
A panienka czy z róży sto listków wypadnie;
Przebił skórę Staś, Józia listki oberwała,
I bębenek nie bębnił, róża nie pachniała.
Tym sposobem oboje doznali zawodu:
Gdyś szczęśliwy z rozkoszy nie zgłębiaj powodu.

XXIII.

KOLCZYK.

— „Czemu kolczyk w uszku wisi?"
Pytał Władzio u Jadwisi,

— „Aby się nie zrosła skórka
Kiedy tam przekłuta dziurka."
— „Na co uszka przekłuwają?"
— „Bo kolczyki w nie wkładają.
— „Wszystko w kółko mówi Jadzia,
Tem nie zaspokoi Władzia..."
Przerwie córce wchodząc Mama,
— „Cóż, kiedy ja nie wiem sama
Na co kolczyk kładą w uszko.
— „Na to miła ma córuszko
By wiedziało zawsze dziecię,
Że każdy zbytek na świecie,
Gdy nie jest zaspokojeniem
Potrzeb, kupić trza cierpieniem.

XXIV.

ŻARŁOK.

Kiedyś w Warszawie zdaje się przed rokiem,
Istniała kuchnia zwana; „pod żarłokiem;"
U drzwi, na szyldzie, był wymalowany
Pewien jegomość tłusty i rumiany,
Z ogromnym brzuchem, który jednym łykiem,
Sprawiał się z schabem, kotletem, befsztykiem,
Podobny człeku z rozwartemi usty

Był mały Broniś, tylko nie tak tłusty,
Jak ów którego malarz odmalował,
Choć mu w obżarstwie nic nie ustępował.
Gdy ujrzał danie, wnet gębę otwierał:
Nie gryzł, lecz łykał—nie jadł, lecz pożerał,
Wszystko mu jedno jakie dano jadło,
To było dobre co do gardła wpadło.
Gdy siadł, już trudno wywieść go z za stoła,
Je niby wilczek, nic nie słyszy zgoła,
Nie patrzy, ani też nie odpowiada,
Co mu podadzą w jednej chwili zjada.
I choć się często kłopotu nabawi,
To zupą sparzy, to kością udławi,
To obrus zleje, to czkawki dostanie,
Zapomni wszystko — widząc nowe danie.
Raz, w późną jesień zdarzyło się pono,
Że koszyk gruszek na stół postawiono,
Dzieci cierpliwe, one bowiem wiedzą,
Że trzeba czekać gdy starsi nie jedzą;
Broniś cap ręką, już owoc na zębie,
Chrup, chrup, i znika cała gruszka w gębie...
Każdy na chłopca spogląda z ukosa
W tem malec krzyknie—w gruszcze była osa!
Ból straszny, srogi, język spuchł jak kłoda:
Taka żarłoków spotyka nagroda.

XXV.

TERKOTKA.

Była raz dziewczynka mała,
Która się terkotką zwała.
Dla czego na pośmiewisko
Takie dano jej przezwisko?
Bo wkażdziutkiej dnia godzinie,
W buzi, jak pytel we młynie
Języczek wciąż lata pannie;
I tak plecie nieustannie,
Tak terkocze, że już w domu,
Nie ma spokoju nikomu.
I trzepała, i gadała,
Aż ją buzia rozbolała.
Spuchł języczek: Trudna rada,
Po doktora iść wypada.
Doktór z twarzą namarszczoną,
Spojrzał w buzię — tam czerwono!
A więc pisze na papierze,
Różne kółka, kreski, krzyże;
Zaraz potem do apteki
Posłano po zioła, leki,
Smarują język maściami,
Aż się płakać chce czasami:

A jak płakać, stroić miny,
Gdy kto z własnej chory winy?
Otóż skutki kiedy dziecię,
Bez potrzeby ciągle plecie:
Gdyby buzia nie gadała,
Toby tyle nie cierpiała.

XXVI.

LALKA.

(Rozmowa Mamy z Adelką).

Adelka.

Nie widziałam dawno Broni
Taka miła, tęsknię do niej;
W każdej chwili, w każdej dobie,
Pragnę mieć ją wciąż przy sobie.

Mama.

Któż to Bronia?

Adelka.

niezna Mama?
Przecie ją kupiła sama.

Mama.

Ja kupiłam?

Adelka.

na miodowej:

Ta lalka w sukni różowej
Tak paradnie wystrojona;
Ja ją kocham — dla mnie ona,
Przyjaciołką jest prawdziwą.

Mama.

Lubić można rzecz nie żywą,
Lecz się nigdy jej nie kocha.

Adelka.

A dla czego?

Mama.

to myśl płocha,
By lalkę na równi stawić
Z ludźmi.

Adelka.

gdy się bawić
Przyjdzie z Jasiem nieboraczkiem,
Co zwinięty powijaczkiem
Tam w kołysce obok leży,
To czy Mama mi uwierzy,
Ja się boję dotknąć jego
By nie zrobić mu co złego,
On tak krzyczy! a zaś Bronię
Chociaż na ziemię uronię,
To nie będzie nigdy szlochać:
Takiej grzecznej jak nie kochać?

Mama.

Lalka cicha, nie krzykliwa,
Bo nie czuje, bo nie żywa:

To ubrany w jedwab' kłaczek,
A zaś Jasio nieboraczek
Chociaż jeszcze tak malutki,
Przyszłe życia zna już skutki:
Blask go razi, wietrzyk ziębi,
Słońce piecze, muszka gnębi.
Nie da poznać swojej woli
A więc krzyczy gdy go boli,
Gdy mu da się świat we znaki...

Adelka.

A dla czego Jasio taki?

Mama.

Bo on żywy, bo ma duszę.

Adelka.

Mama mówi, wierzyć muszę;
Lecz są różne rzeczy w świecie
Które mają duszą przecie,
Choć nie żywe i nie czują.

Mama.

Gdzież się rzeczy te znajdują?

Adelka.

A u praczki. Jeźli łaska
To pokażę...

Mama.

Co?

Adelka.

żelazka.
Często słyszę jak służąca

Bibl. Jag.

Pyta: dusza czy gorąca,
Bo mam coś do prasowania.

Mama.

To są tylko dwa nazwania
Dwóch przedmiotów różnych wcale;
Wiesz Adelciu doskonale
Że ten kawał kruszcu duży
Który do ogrzania służy,
Jest bez życia. Ale dusza
Która członki twe porusza,
Każe myślić i pracować,
Z czynnościami się rachować,
To największy dar jest nieba;
Ją zachować czystą trzeba.

Adelka.

Jak to czystą?

Mama.

strzedz się złości,
By nie splamić jej piękności
Jakim czynem niedorzecznym.

Adelka.

A jak umrze?

Mama.

ona wiecznym
Żyje życiem.

Adelka.

już pojmuję:
Laleczka nie hałasuje

Bo to tylko jest zabawka
Rzecz nie żywa, jak stół, szafka;
Zwać ją dobrą albo sprzeczną,
Nierozsądną albo grzeczną,
Kochać, czy też mieć żal do niej
Bardzo śmiesznie. Choć u Broni
Są rączęta i główeczka,
Przytem piękna sukieneczka,
Lecz te nóżki to ze skóry,
A zaś główka jest z tektury:
Ona martwa.

Mama.

tak Adelko,
Pojęłaś różnicę wielką
Jaka na świecie zachodzi
Między tem co żyje, chodzi,
Własną wolą się porusza,
Gdzie są zmysły, rozum, dusza,
A zaś martwą zabaweczką
W pięknej sukience laleczką,
Która gdy ci się już znudzi
Lub połamie i zabrudzi,
Bez najmniejszej skruchy w świecie
Rzucisz w kąt między rupiecie.

Adelka.

Jak to Mama pięknie, ładnie,
Moje myśli zawsze zgadnie.
Lubię lalkę, bo jest strojna

Taka czysta i przystojna;
Lecz gdyby była paskudna,
Zaszargana, brzydka, brudna,
Lub gdyby główkę rozbiła
Tobym jej już nie lubiła.
A choć krzyczy brat mój mały
Kocham go z mej duszy całej;
Gdyby straszył świat brzydotą
Jabym nie pytała o to,
I kochała tak brzydkiego
Jeszcze więcej.

Mama.

a dla czego?

Adalka.

Bo złamana lalka — gratem
A Jaś choćby brzydki — bratem.

XXVII.

RYCERZ.

Raz Wacuś dostał od taty
Pancerz ze stali bogaty,
Tarczę w różne godła rytą,
Szablę, i hełm z długą kitą.
Kontent ze swego pancerza

Wacuś udaje rycerza
Który w swej stalowej zbroi
Walcząc, nigdy się nie boi;
— „Jestem rycerz!" mówi śmiało
„Rycerz jakich w świecie mało:
Kto mnie ujrzy wnet się zlęknie..."
I to mówiąc szablą brzęknie.
Ojciec widząc tego zucha,
Szepnie tylko mu do ucha:
— „Strzeż się na śmiech nie zasłużyć."
— „A dla czego?" „Możesz stchurzyć."
— „Nigdy!" krzyknie śmiałek na to,
Nigdy się nie zlęknę tato!"
I na podwórze wypada
Gdzie owieczek pędzą stada;
Owce w nogi, więc zwycięztwem
Swym rozgrzany, z rzadkiem męztwem
Wzniosłszy szabelkę do góry
Pędzi gęsi, kaczki, kury,
Które z strasznym trwogi krzykiem
Uciekają przed chłopczykiem.
„A co?" nasz bohater woła:
„Czyż mi się kto oprzeć zdoła?"
Gdy to mówi, indyk tłusty
Wyłazi z grządek kapusty,
A ujrzawszy świetną zbroję
W dół wypuszcza skrzydła swoje,
Koralowym dziubem wstrząsa,



Ja wszystkich kocham (do str. 39).

To kominiarz! Już gdy dachem
Idzie, wnet się trzęsę cała:
Lecz on bliźni—choć ze strachem
Będę także go kochała!

Koralowym dzióbem wstrząsa
Dmie się, puszy, gniewa, dąsa,
I wlokąc po ziemi pióro
Czyka groźnie i ponuro.
Stchurzył rycerz — szablę z dłoni
Drżąc ze strachu wnet uroni,
A mijając się z zadaniem
Dalej w nogi — indyk za nim:
Ledwie po za domu progiem
Mógł przed strasznym skryć się wrogiem.
— „A co?" mówi do Wacuszka
Ojciec, ciągnąc go z pod łóżka
Gdzie się przed indykiem schował,
„Czy będziesz jeszcze wojował?
Szyszak, oręż, zbroja, tarcza,
Do zwycięztwa nie wystarcza:
Choć przy szabli, pod pancerzem
Tchurz, nie zostanie rycerzem.

XXVIII.

GARBATY.

— „Ach jaki ten pan nie ładny
Jaką on ma głowę dużą,

A na plecach garb szkaradny;
Do czego to garby służą?"
— „Wkrótce ci odpowiem na to:
Teraz Synu zważaj bacznie,
Co on mówić, czynić zacznie,
I mnie powiedz." — „Dobrze Tato."
— „Cóż tam widzisz?.."—„Wszedł do sali,
Wszyscy w koło go witają;
Wszyscy z miejsc swoich powstają:
Starzy, młodzi, wielcy, mali.
Ten mu pragnie ścisnąć dłonie,
Ten się druhem jego mieni,
Ów znowu w nizkim pokłonie
Chce okazać jak go ceni.
Ot, inny pan wszedł w to grono:
Jak przystojny, jak wysoki,
Piękny, strojny, modro-oki,
Lecz nikt nań nie zważa pono.
Nawet z nim się nie witają:
Jeden z lekka kiwnął głową,
Drugi bąknął jakieś słowo,
Ci się całkiem odwracają."
„Cóż to znaczy?" — „Widzisz synu,
Pierwszy mimo swej brzydoty
Jest to człowiek serca, czynu,
Który poszedł drogą cnoty;
Drugi jest pustakiem wietrznym
Co nie myśli, co nie czuje,

Ale życia dni marnuje
W szale uciech niedorzecznym.
Świat niewidzi ułomności
Gdy dusza w cnocie wytrwałą,
Ale najpiękniejsze ciało
Skryć nie zdoła złych skłonności.

XXIX.

NIEZRĘCZNE TŁUMACZENIE.

— „Szczęk, brzęk, gruch, buch — wszystko z ręki leci,
A cóż to za nieznośne te niezgrabne dzieci!
Wczoraj stłukłeś mi wazon, dzisiaj filiżankę,
Teraz znowu rozbiłeś ulubioną szklankę!"...
— „Ja Tato nie rozbiłem." — „Któż to zrobił proszę?"
— „Nikt. Ja mocno trzymam to co w ręku noszę,
Ale każda rzecz sama z dłoni mi wypada
I zaraz buch o ziemię; na to trudna rada.
— „A więc sama się stłukła?" — „Sama drogi Tato:
Wyskoczyła mi z ręki, cóż ja zrobię na to?"
O dalsze objaśnienia Ojciec się nie pyta,
Lecz chłopaka za ucho silną ręką chwyta.
— „Aj, gwałtu!... puść Ojczulku, to mnie bardzo [boli"...
— „To nie ja, ale ręka nieposłuszna woli
Sama mimo mej chęci uszko twe złapała."

— „Czyż można aby ręka własną wolę miała?"
— „Mają wolę swą szklanki, mogą ją mieć ręce:
Ja niechcę, a bez wiedzy ucho twoje kręcę."
Wnet syn winę swą wyzna, ojciec dłoń otworzy:
Źle błądzić — błąd wykrętem skrywać, jeszcze gorzej.

XXX.

GAGATEK.

Był raz gagatek
Nie sporych latek,
W każdej go chwili
Wszyscy pieścili,
Zawsze małemu
Swoboda wszelka:
Miał zabaweczki
I wolę całą,
A tylko jemu
Z pieca kafelka
Z okna szybeczki
Niedostawało.
Nic się nie uczył
Z kąta w kąt włóczył.
I tak wciąż latka
Schodzą koleją

A już z gagatka
Ludzie się śmieją;
Bo kiedy malec
Głupi jak palec
Cóż szkodzi komu?
Lecz ileż sromu
Gdy wyrostkowi
Rozum nie służy,
I każdy powie:
Głupi choć duży.
Więc nic nie umiał,
Postać zaś z czasem
Jego tak wzrosła,
Że świat się zdumiał
Nad tym dryblasem
Widząc w nim osła.
I pośmiewiskiem
U ludzi bywał
Bo nikt nazwiskiem
Go nie nazywał,
Ale z zwyczaju
Po całym kraju
Wielcy i mali
Gagatkiem zwali.
Już grzbiet swój skłonił
I biedny gonił
Sił swych ostatkiem,

Przecież u świata
Na stare lata
Wciąż był gagatkiem.

XXXI.

CZARNA RÓZIA.

Była u Mamy raz córeczka mała
Zwali ją Rózią, miała siódmy roczek,
Ciągle po dworze na słońcu biegała,
Choć słońca żaden nie skrywał obłoczek.
A Mama za to strofuje wciąż Rózię:
Weź parasolik, gdzie twoja chusteczka?
Choć główkę przykryj, bo opalisz buzię
I będziesz czarną tak jak cyganeczka.
Ona nie słucha, wciąż po dworze biega,
Choć promień słońca ciepłem ją swym praży;
A tak biegając ani się spostrzega
Jak skórka u niej czernieje na twarzy.
Zniknęła białość z pulchniutkich jej liczek,
Nie widać pięknych kolorków na buzi,
Niby toruński wygląda pierniczek;
Wszyscy się z czarnej wyśmiewają Rózi.
— „Ja chcę się umyć, Mamo, na miednicy,
Ja nie chcę z twarzą chodzić orzechową;

Wszystkie się dzieci śmieją na ulicy,
Jakiś pan nazwał mnie damą pikową."
— „Choćbyś dzień cały twarzyczkę swą myła,
Opalenizna nie zejdzie ze skórki:
Dla czego Rózia nie posłuszną była?
Źle kiedy matek nie słuchają córki.

XXXII.

ANIOŁEK.

— „Dla czego to Mamo droga
Aniołkiem zowiesz Pawełka;
Wszak Aniołki są u Boga,
I mają zawsze skrzydełka."
— „Bo on szaty niewinności
Nie miał czasu zrzucić z siebie,
Nie zna błędów, nie zna złości,
Tak jak aniołkowie w niebie."
— „Lecz to krzykacz jakich mało,
Przytem płacze w każdej porze:
Kto już takim jest krzykałą
Ten aniołkiem być nie może."
— „Krzyki, płacze niemowlęcia,
Drobnej nie krzywdzą istoty,
Bo ono nie ma pojęcia

Czem są błędy, czem przymioty.
Jego dusza czysta karta
Na której nic nie wpisano,
Jego życie to otwarta
Księga, z siecią dróg nieznaną.
Gdy przyjdzie woli poznanie
I trud myśli z prac mozołem,
Złym lub dobrym on się stanie,
Lecz dziś jeszcze jest aniołem.

XXXIII.

DZIKI CZŁOWIEK.

Pokazywano dzikiego człowieka
W Warszawie. Pewnie każdy to pamięta:
Ten człowiek morzem przypłynął z daleka,
I żywe zjadał na obiad kocięta.
W nozdrzach mu koło mosiężne wisiało,
Na ciele dziwne miał tatuowanie;
A kiedy spojrzał, każdemu się zdało
Że go zapragnął połknąć na śniadanie.
Ludzie ciekawi, więc zewsząd do kassy
Ciągnęły liczne publiczności massy.
I na cóż, pytam, tego indyjanina
Wieziono morzem z tak dalekich krajów,

Zajęcia tłumów jaka jest przyczyna,
Kiedy to znajdziem wśród swych obyczajów?
U nas się dzikich znajdzie bardzo wielu:
Są to oszusty, szulery, karciarze,
Czciciele wódki, zdziercy i lichwiarze,
Lecz mówić o nich nie mam ja na celu;
Ja wam opowiem w największym sekrecie,
Żem często u nas widział dzikie dziecię.
Czyliż podobna? spytacie dziateczki
By taki malec mógł wyrość w Warszawie;
To coś do nowej podobne bajeczki,
Wierzyć się temu nawet niechce prawie.
A jednak prawda, bo niegrzeczne dziecię
Co nie zna wpływów matczynego słowa,
Któremu fraszką jest kara surowa
Czemże być może na tym pięknym świecie?
Takiego brysia co niezgodny z nikiem
Jakże zwać jeźli nie dziecięciem dzikiem?
Poznałem chłopca który jeźli widzi
Jakiego gościa przy Tacie lub Mamie,
W kąt najciemniejszy ukryć się nie wstydzi,
I tam wciąż siedzi jako wilczek w jamie.
Proszą i grożą, nic to nie pomoże;
Gość czasem pragnie chłopca obłaskawić
Niesie karmelki, a malec w swej norze,
Skryty, nie myśli noska w świat wystawić.
Takiego co się niechce witać z nikiem
Jakże zwać jeźli nie chłopakiem dzikim?

Widziałem małą przed laty panienkę
Która jeżeli jej się sprzeciwili,
Nie taką dali jak chciała sukienkę,
Krzykiem i płaczem wybuchła w tej chwili;
Twarz swą rosiła łzami rzęsistemi,
Gdy łez zabrakło to z złości siniała,
W końcu tarzając się z wrzaskiem po ziemi
Umyślnie odzież na sobie walała.
Tę, która miała wadę tak naganną
Czyliż nie trzeba nazwać diką panną?

Widziałem dzieci co na drzewa lezą
Wybierać ptaszki, chociaż to nie ładnie,
Widziałem takie co paznokcie gryzą,
Albo też jedzą co w rękę popadnie;
Widziałem dzieci co się brzydko bawią
Bo w grach wciąż swary zawodzą i kłótnie,
Takich co nóżkę biegnącym podstawią,
A ci padając tłuką się okrutnie.
Powiedzcie sami: podobne niedźwiadki
Czyż nie powinny zwać się dzikie dziatki?

Lecz mnie strach o nich, bo choć strzegą matki,
Niemiec, (a niemcy chytrzy jak to wiecie)
Wyłapie u nas wszystkie dzikie dziatki,
I będzie w klatkach woził je po świecie.
Przyjdzie tłum strasznej przysłuchać się wrzawie
Krzyków i wrzasków i tupań nóżkami,

Tak jak my chodzim oglądać w Warszawie
Człeka, co wszystkim tak różny jest z nami.
Lepiej więc wcześniej dać się obłaskawić,
Niż później ludzi swą dzikością bawić.

XXXIV.

NIE PIEPRZ PIETRZE PIEPRZEM WIEPRZA.

„Nie pieprz Pietrze pieprzem"... trudno!
Wnet się splącze jakie słowo;
Tak mi jakoś idzie zmudno,
Wciąż zaczynać trza na nowo.
„Nie pieprz Pietrze wieprzem"... gorzej!
Układ słów tych jest zagadką:
Jeźli cztery pójdą gładko,
W piątem nonsens się utworzy.
„Nie pieprz wieprze"... ot zabrnąłem,
Nikt trudności tej nie przeprze!
I Antoś z zpoconem czołem
Wciąż mamrocze: „pieprzem wieprze."

— „Cóż tam synku ciągle mruczysz,
Nad czem pilnie tak pracujesz?
Czy się lekcyj swojej uczysz
Czy co czytasz, czy rachujesz?"

Spyta ojciec. — „O nie tato,
„Pieprzem wieprza”... znów te słowa!
Niegniewaj się ojcze za to,
Bo mi się zmyliła mowa.
Ja chcę bez myłki i gładko,
Wymówić ten frazes cały,
Gdyż to zwykle bywa rzadko,
Że kto w trudzie jest wytrwały.
— „Wytrwałość w chęciach poczciwych,
W trudzie nauk pracowitym,
W czynach dobrych, sprawiedliwych,
Powie ojciec, jest zaszczytem.
Lecz mozolić się nad fraszką
Co zajmując czas utrudza,
Jest tylko marną igraszką
Która śmiech u ludzi wzbudza.
Miasto więc się łamać z mową
Nad gawędą bezsensową,
Bądź lepiej w pracy statecznym
Trudniąc się czem pożytecznym.

XXXV.

PROSIĄTKO.

Była raz dziewczynka mała
Miała coś ze cztery latka,
A kiedy się rozkrzyczała
To zatykał uszy Tatka,
A zaś Mama bólem głowy
Przypłacała te narowy.
Jak tylko płaczem wybuchnie,
Jak dyszkantu pójdzie gamma,
To już myśli biedna Mama
Że od wrzasków tych ogłuchnie;
Krzyk się zwiększa — w całym domu
Nie ma spokoju nikomu:
Nie skutkują kary, groźby
Ani rady, ani proźby,
Dziewczynka przestrogą gardzi,
Miasto przestać, drze się bardziej.

Na jarmark drogą do miasta
Zmierzają ludzi gromady,
Dąży chłopek i niewiasta,
Wloką się starce i dziady;
Ten chce przedać, ten kupować,

Tego szynk żydowski mami,
Ten ma krówkę przehandlować,
Ów zabawić się z kumami.
Między tłumem idzie drogą
Baba niosąc w ręku prosię,
Które kwiczy tak złowrogo
Że swym krzykiem głuszy Zosię.
Dziewczynka właśnie w tej chwili
Podjęła wrzaski złowieszcze,
Lecz próżno się z krzykiem sili
Prosię kwiczy głośniej jeszcze,
W końcu głosu jej niestało:
Prosię dziewcze przekwiczało.
Zawstydzona tem wypadkiem
Bo pojmuje że to śmiesznie,
Spojrzy na Mamę ukradkiem
Ocierając łzy pospiesznie,
I zapyta: — „Czemu Mamo
Przechodzi pod samą bramą,
Baba niosąc to zwierzątko?"
—„To jej droga."—Gdzie?—„Do miasta."
—„A tam na co?" — „Bo niewiasta
Idzie sprzedać swe prosiątko."
— „A dla czego?" — „By mieć grosze."
— „Wytłomacz mi Mamo proszę,"
Zapyta z ciekawą minką,
„Czemu zbyć je chce w tym czasie;
Niech choć roczek w chlewie pasie,

A prosiątko będzie świnką?"
— „Prawda że w tem jest jej strata
Ale prosię choć tak małe,
Kwiczy dnie i nocy całe
Tak że zbrzydła babie chata.
Już ogłuchnął dziad od kwiku,
Baba też ogłuchnie wreszcie;
Lepiej więc je sprzedać w mieście
Niż mieć taki wrzask w chlewiku."
Słowa te uderzą Zosię:
Choć wie, że jej nikt nie sprzeda,
Lecz być krzykliwą jak prosię
To się z niczem zrównać nie da.
Od tej chwili już dzieweczka
Jeźli popłacze troszeczka
Wnet się skryje cicho w kątku,
Bo pamięta o prosiątku.

XXXVI.

GŁUPI MACIEK.

Mama rzekła do Maćka: „masz tu dwie złotówki:
Jedna jest na oliwę, a na ocet druga;
Wkrótce jednak powraca bez niczego sługa,
I tak się na czynione tłumaczy wymówki:

— „Trzymałem obie w ręku kiedym szedł przez [drogę,
A w tem mi się zmięszały — nieszczęście prawdziwe,
Bo w żaden sposób teraz wiedzieć już nie mogę
Która była na ocet, która na oliwę."
— „Dla czego Maciek taki? przecież to nie sztuka
Wiedzieć że wszystkie złote równe sobie zgoła."
— „Bo nie chodził do szkoły, obcą mu nauka:
A kto się nic nie uczy, nic nie pojmie zgoła.

XXXVII.

GŁOSY ZWIERZĄT.

Kiedy kur zapieje
Wnajpierwszem zaraniu,
Choć zaledwie dnieje
Myślę o wstawaniu;
On mi przypomina
W pieśni nieodmiennej,
Że blizka godzina
Pracy mojej dziennej.

* * *

Kiedy pies zaszczeka
Myślę sobie wtedy,

Jakto stróż człowieka
Broni go od biedy;
Wesoło pracuję,
Używam swobody,
Bo wciąż mnie pilnuje
Wierny pies od szkody.

* *
*

Gdy zamiauczy kotek,
W myśli swej rachuję
Ile to istotek
W szpiżarni plondruje.
Gdyby on tak śmiało
Mysich nie gnał stadek,
Nicby nie zostało
Dla nas na obiadek.

* *
*

Gdy beknie owieczka,
Zaraz w myśli stanie
Że te zwierzątezka
Dają nam ubranie.
Sukienki cieplutkie,
I zimowe stroje:
Ah dobre, milutkie,
Wy owieczki moje!

* *
*

Gdy zarży wierszchowiec,
Ja myślą na koniu
Przez step i manowiec

Harcuję po błoniu.
On mnie na swym grzbiecie
Za górą, za rzeką,
Uniesie po świecie
W przestrzenie daleko.

* * *

Gdy zaryczy wołek,
W myśli stają plony
Które do stodołek
Rolnik zwiózł strudzony:
Przez prac jego trudy
Ziarn udziela gleba,
Jemu winne ludy
Pożywny kęs chleba.

* * *

Gdy zagdacze kurka
Wesoło na grzędzie,
Wiem że wśród podwórka
Jajka nam nieść będzie.
Bielutkie jajeczko
Dla mnie się dostanie:
Ah kurko, kureczko,
Dzięki za wiązanie!

* * *

Kiedy brzęczy pszczółka
Wśród kwiatów ogrodu,
Gdy zakręca kółka
Wyszukując miodu,

Wtedy sobie marzę:
Poczciwe istotki,
One dla nas w darze
Znoszą miódek słodki!

* *
*

Kiedy zaklekocze
Bocian w głos radosny,
Wnet myślą swą zoczę
Powab pięknej wiosny:
Wędrowcze daleki,
Zwiastunie radości,
Oczyść z gadów rzeki,
Udziel pomyślności.

* *
*

Gdy zanuci ptaszek
Tak mi jest wesoło,
Że pośród igraszek
Rozpromieniam czoło:
O miły mój ptaku,
Mówię niby we śnie,
Gajów, niw śpiewaku,
Dzięki za twe pieśnie!

* *
*

I tak każde zwierzę,
Dla nas wciąż się trudzi:
I cóż w zamian bierze?
Niewdzięczność złych ludzi.
Często się niegodni

Nęcą nad biednemi:
Ah to równe zbrodni
Pastwić się nad niemi!

*   *
*

One trud swój dają,
Pracę ludzką dzielą,
Karmią, odziewają,
I w smutku weselą;
Czyliż w złości swojej
Człek ma pamięć tracić,
Czyliż mu przystoi
Złem za dobre płacić?

XXXVIII.

KSIĄŻECZKA.

— „Pan Popławski był mąż rzadki
On dla sierot robił tyle:
Dawał wsparcia, zbierał składki,
Wszystkie im poświęcał chwile...."
— „Czy go Mama kiedy znała?"
— „Nie, alem o nim czytała."
— „A Jachowicz co autorem
Jest bajeczek tak prześlicznych,
Był też zacnych ludzi wzorem

Znanym z swych przymiotów licznych"
— „Czy on bywał w domu Mamy?"
— „Nie, lecz z książek my go znamy."
— „W innych krajach są też ludzie
Co dla dziatek przyjaźń czują,
Co częstokroć w znoju, trudzie,
Ich się losem opiekują."
— „Czyż Mama w krajach tych była?"
— „Nie, książka mnie objaśniła."

Piotruś słysząc że kto czyta
Może wiele się dowiedzieć,
Niechciał tak bezczynnie siedzić,
Więc książeczkę w dłonie chwyta
W wszystkie strony ją obraca,
Przerzuca wszystkie karteczki,
Chce rozumieć — próżna praca:
Same kółka i kropeczki.
Spuścił nosek, duma sobie
Nad dziwnych znaków rzędami:
— „Mamo droga, co ja zrobię
Żeby poznać się z książkami?"
— „Ucz się czytać, wiedz znaczenie
Tych kółeczek i kropeczek;
Wtedy spełni się życzenie,
Bo wszystko poznasz z książeczek."

XXXIX.

BEKSA.

Pisałem wam w różnych czasach,
O dziatkach krnąbnych, leniwych,
O ciekawskich, o brudasach,
O krzykaczach, o złośliwych;
Słowem nie ma żadnej wady
Którejbym wam nie ohydził,
Aby każdy nią się brzydził,
I nie poszedł w zgubne ślady.
Ale nie mówiłem jeszcze
Nic o beksach — taką lalę
W rząd krzykliwych ja nie mieszczę;
Nie ma nawet złości wcale.
Płacze wieczór, płacze rano,
Bez snu, płakał by i nocą;
Zawsze z buzią zamazaną
Płacze, jest czy nie ma o co.
Widzieliście dnie bez słońca
W których mrzy deszcz drobny z chmury;
Rosi, rosi, tak bez końca,
A z nim płacze świat ponury.
Każdy mówi: wolę skutki
Burzy, słoty, co wnet minie

Niźli ten deszczyk drobniutki,
Który ciągle na nas płynie.
Zdziś był taki: nie miał złości,
Nie głuszył krzykiem szalonym,
Lecz pokwiękiwał w cichości
Zawsze, ciągle, jednym tonem.
Próbowano różnych rzeczy:
On się maże, stroi miny,
Tak jak jagnie które beczy,
Choć beczyć nie ma przyczyny.
Utulić go ani sposób,
Ciągle nęka Mamę biedną;
Nie chce słuchać starszych osób:
Proszą, grożą, on wciąż jedno.
Ojciec widząc że nie ładnie
Idą sprawy z tym kwiękałą,
Długo duma, wreszcie w padnie,
Na myśl arcy-doskonałą.
Przed zwierciadłem go posadzi,
W lustro pilnie patrzyć każe:
„Becz jeżeli chcesz — nie wadzi,
Lecz patrz jak to Zdziś się maże!"
Spojrzał chłopiec na swą postać,
Spojrzał, skraśniał, wstyd mu było...
„Nie kochanku musisz zostać,
I popatrzyć na twarz miłą."
Widząc, ile obyczajem
Tyle brzydkim twarz swą szpeci,

Zdziś wziął przykład z grzecznych dzieci,
I zaprzestał być mazgajem.

XL.

UMALOWANA HENRYSIA.

Weszła Henrysia do sali,
Gdzie gości było nie mało:
„Cóż to? „wszyscy zawołali
„Cóż się z tą dziewczynką stało!"
Spojrzy Tata, spojrzy Mama,
Rzecz do uwierzenia trudna:
Toć to ona... ona sama,
A jednak jaka paskudna!
Pod oczami namazała,
Czarnym węglem sobie pasy,
Grube jakby dwie kiełbasy,
W włosy otręb nasypała;
A roztarłszy zaś buraki
Zrobiła niby na żarcik,
Na twarzy pąsowe znaki,
Tak że istny z niej jest czarcik.
Pyta Mama: „co to znaczy,
Zkądże taka maskarada?"
A Babunia zaś w rozpaczy,

Ręce z przerażeniem składa.
„To tak po ostatniej modzie,"
Odpowie Henia nie śmiało:
„Widziałam w Saskim ogrodzie
Takich modnych pań nie mało
Co miały głowy zbielone,
Na twarzach czerwone plamy,
Więc chciałam zrobić jak one,
Lecz nie umiem proszę Mamy."
Idź mi zaraz, zmyj farb ślady,
Brzydko twarz swoję malować:
Z dobrych rzeczy bierz przykłady,
Złych, nie trzeba naśladować.

XLI.

DZWONEK.

Gdy ze świtem w rannym czasie
Budząc dzwoni dzwonek w klassie,
Ja hyc z łóżka na podłogę,
I ubieram się jak mogę;
Prędko, żwawo — ot książeczki:
Tu ćwiczenia, tu bajeczki,
Nie postawią mnie do kątka.
Umiem lekcyję -- będzie piątka!

Kiedy w święto lub w niedzielę
Usłyszę dzwonek w kościele,
Zaraz na kolana padam,
I rączki pobożnie składam;
Proszę Bozi tak serdecznie,
Żebym się sprawiała grzecznie,
Była dobrą, usłuchaną,
Od Taty, Mamy kochaną.

Kiedy jadące saneczki
Dzwonią zimą w swe dzwoneczki,
Myślę sobie: będę miła,
Będę dobrze się uczyła,
Zawsze, ciągle — Mama z Tatą
Wezmą mnie na spacer za to;
Mej chęci stanie zadość:
Co za szczęście, jaka radość!

Kiedy na wysokiej wieży,
Dzwon zegarowy uderzy
Oznajmiając wszystkiem w grodzie,
O niezmiennym czasu chodzie;
Myślę sobie: trza pracować
By tych godzin nie marnować,
Aby ze mnie Mama, Tata
Mieli pomoc w stare lata.

Lecz gdy zabiją na trwogę
W dzwon ogromny, ja nie mogę
Wstrzymać się od płaczu wtedy,
Bo mnie ludzkie martwią biedy.
Myślę sobie: bogactw ile
Pójdzie z dymem przez tę chwilę,
I przy dzwonu groźnym tonie,
Ciche łzy współczucia ronię.

XLII.

PANNA CIEKAWSKA.

Była dziewczynka ciekawa nad miarę,
Tak że ją wszyscy i wielcy i mali,
Przez żart, pustotę, lub może za karę
Panną Ciekawską zawsze nazywali.
O wszystkiem wiedzieć musiała dokładnie,
Co kto gdzie robi, o czem kto gdzie gada;
A przecież wiecie, jak to jest nie ładnie
Gdy się dziewczynka w cudze sprawy wkrada.
Kiedy z tąd przykrość jaka ją spotkała
Panna Ciekawska ze wstydu płakała.
Raz byli goście u Taty na sali
A gości dużo dnia tego zjechało:
Palili fajki, głośno rozmawiali,

Jej się podsłuchać rozmowy zachciało.
Skrada się wolno stąpając w cichości,
Przy drzwiach przysiada i nadstawia uszek,
Wtem lokaj z tacą który szedł od gości
Trzasnąwszy drzwiami przyciął jej paluszek;
Kiedy z paluszka krew się jej polała,
Panna Ciekawska z bólu zapłakała.
Drugi raz znowu u sąsiada w domu,
Baby się kłócą, istną toczą wojnę;
Ale powiedzcie co do tego komu
Że u sąsiada baby niespokojne?
Nie, jej trza wiedzieć o swarów przyczynie;
Gdy się więc skrada pod drzwi od ulicy,
Jedna z bab pomyj chwyciła naczynie
I chlust na głowę natrętnej pannicy.
Idąc do domu zamoczona cała,
Panna Ciekawska ze wstydu płakała.
Pszczółki się pilnie zajmują swą pracą,
Ale nie lubią gdy kto zbyt ciekawy
Do nich zagląda. Bo po co i na co,
Mięszać się dzieciom w domowe ich sprawy?
Ona chcąc wiedzieć obyczajem swoim,
Co robią w ulu skrzętne pracownice,
Zajrzała tamże — pszczółki całem rojem
Wypadły na nią, i zkąsały lice.
Kiedy twarzyczka jej opuchła cała,
Panna Ciekawska z bólu zapłakała.

Niejednokrotnie i Tata i Mama,
Za jej ciekawość nie szczędzili kary,
Ona być inną chciała szczerze sama,
Ale na niczem spełzły jej zamiary;
Gdy tylko zaszło co nowego w domu
Już wiedzieć o tem chętka się w niej budzi,
A z tąd jak zawsze dużo bolu, sromu,
Bez liku żartów i śmiechu u ludzi.
Że się poprawić dotąd nie umiała,
Panna Ciekawska codziennie płakała.
Smutny był Ojciec, martwiła się Matka,
Że nie słuchała ni groźby, ni rady;
Z czasem jednakże gdy podrosła w latka,
Umiała pozbyć się tej brzydkiej wady.
Odtąd nie słucha już u drzwi przy sali,
By się o każdej obcej zwiedzieć sprawie,
Rodzice ją też szczerze pokochali,
Każdy się z grzeczną obchodzi łaskawie.
Kiedy zaś stale w poprawie wytrwała,
Już się Ciekawską nazywać przestała.

XLIII.

W MENAŻERYI.

Na Nalewkach, przy Ulicy
Długiej — buda się znajduje,
Jakiś niemiec z za granicy
Zwierzęta w niej pokazuje;
Są tam ptaszki, płazy, gady,
Są wilczki chytrej natury,
I śmiesznych małpek gromady,
I lew co ostrzy pazury.
Grono dziatek w każde rano
Chodzi tam niosąc bułeczki,
I z radością niezrównaną
Karmi ptaszków i małpeczki.
Ptaszek w dziób chwyta kruszynę,
Trzepnie skrzydłem, mrugnie okiem;
Małpka zaś hyc jednym skokiem,
Złapie strojąc dziwną minę.
Jak się nie śmiać przy ochocie
Z jaką łowią okruszynki,
Niosą więc dziatki łakocie,
Kto jabłuszko, kto rodzynki;
Więc malutki też Henryczek
Nabrał dla zwierzątek jadła,

Przyniósł ciastko i pierniczek,
I gruszkę co z drzewa spadła.
Lecz o dziwy — wśród igraszek
Każde zwierzę darem gardzi,
Dzióbek swój odwraca ptaszek
Niedźwiedź mruczy jeszcze bardziej;
Małpka co bułkę schwytała
Pierwej od wszystkich zwierzątek,
Zaledwie ją powąchała
Buch o ziemię, i czmych w kątek.
Chłopczyk w płacz: — „Czemu to one
Jedzą co im inni dają,
A me jadło rozzłoszczone
Precz od siebie odrzucają?"
— „Bo zwierzątka wszystkie schludne
Nieczystości nienawidzą:
Spojrz na rączki, jakie brudne
Aż się małpki niemi brzydzą."
Spiekł raczka Henryczek mały
I był czystym całe życie:
Taką mu za nieumycie
Zwierzątka naukę dały.

XLIV.

MOCNY I SŁABY.

Na wsi, przed dworem pewnego poranku,
Spoczywał sobie Bryś duży na ganku;
Spoczywał sobie, senne mrużył oczy,
Gdy w tem mops mały do niego przyskoczy,
I nuż nań szczekać zajadle, złośliwie...
Bryś łeb swój podniósł, spojrzał pogardliwie,
Wstał, strząsnął uszy, wyciągnął grzbiet chudy,
I wolnym krokiem poszedł do swej budy.
— „Wstyd!" krzyknie Franuś: „ja się dziwię [temu,
By pies tak duży ustąpił małemu."
— „Bryś na pochwałę przez to zasługuje,"
Przerwie mu Ojciec, „że słabszych szanuje;
Tak samo czynić powinien Franciszek
Gdy mu się mały sprzeciwia braciszek:
Zły, zaczepiony — dla słabszych jest srogi,
Dobry, choć silny, ustąpi im z drogi."

XLV.

ŚPIOSZEK.

Mały Tadeuszek,
Był taki leniuszek
Że słów nie ma na to:
W każdy boży ranek
Śpi sobie kochanek
Czy w zimę, czy w lato,
Napróżno go Mama
Budzi ze snu sama
I ciągnie za uszko,
Lecz choć w późnej porze
On nigdy nie może
Rozstać się z poduszką.
Kiedy go czasami
Groźbą, namowami,
Rozbudzono wcześnie;
To miał taką minę
Że jeszcze z godzinę
Zdawał się jak we śnie.
Tak mijały latka,
Martwiła się matka
I płakała skrycie,

A on w każdej dobie
Spał w najlepsze sobie
I przesypiał życie.
Kiedy później z wiekiem
Został już człowiekiem
To od tego spania:
Zwisły mu podbródki,
Kark się zrobił krótki,
Brzuch urosł jak bania.
I jest sobie tłusty
Jak kłoda kapusty,
Chce wstać a nie zdoła;
Tylko ciągle chrapi,
Dyszy, pucha, sapi,
Aż pot leci z czoła.
Zlitował się z czasem
Los na tym grubasem
I umarł tłuścioszek;
Umarł, pochowali...
Widzicie więc mali
Jak źle gdy kto śpioszek.

XLVI.

ROZSĄDNA HELENKA.

Wieczór w łóżeczku Helcia leżała,
A przy łóżeczku niania jest właśnie;
Ona by dawno odejść już chciała
Lecz musi czekać aż Helcia zaśnie.
— „Śpij zaraz!" szepcze — „Nie mogę nianiu."
— „Śpij, ja ci każę!" — „Wciąż oczki mrużę,
Ale mi ani myślić o spaniu."
— „Nie chcesz, ja ci się wkrótce przysłużę:
Jeźli nie zaśniesz przywołam ducha,
On mi użyczy swojej pomocy"...
— „Nic z tego nianiu, duch nie usłucha;
Nie przyjdzie dzieci straszyć po nocy."
— „Więc baba jędza zjawi się zaraz,
I Helcię w swoją płachtę zabierze".
— „Napróżno sobie robisz ambaras:
Ja w babę jędzę wcale nie wierzę."
— „Nie wierzysz? ot już w sieni tam charczy,
Brrrrr... jak to straszno: Spij! bo źle będzie"...
— „To Bryś poczciwy na kotka warczy,
Ja go po głosie poznaję wszędzie."
— „Więc w nic nie wierzysz?" — „Ja w Bozię
[wierzę

Nie w żadne bajki które ktoś kleci;
A czy wiesz nianiu, powiem ci szczerze
Że to niegrzecznie tak straszyć dzieci.
Z skargą nie pójdę, bo to nic potem
Trwożyć rodziców, plotki rozsiewać,
Lecz gdyby mama wiedziała o tem
Toby się bardzo mogła rozgniewać."

XLVII.

WYBREDNY STAŚ.

— „Pfe jaka zupka paskudna!"
Woła Staś siedząc za stołem:
„Tak niesmaczna, taka brudna."
I krzywi się nad rosołem.
— „Nie jedz gdy ci nie smakuje;
Teraz na spacer pójdziemy,
A kucharz gdy powrócimy
Inną zupkę ci zgotuje."
Poszli w ogród, Staś pracuje
Oczyszcza z chwastów grządeczki,
Polewa wodą kwiateczki,
Trawkę na ścieżkach gracuje.
— „A co zupka?" Ojciec spyta
Synka z uśmiechem wesołém,

Gdy znów usiedli za stołem
Po powrocie. — „Wyśmienita."
— „Ależ to zupka nie miła
Którą jedliśmy dziś z rana;
Tylko wtedy świeżą była,
A obecnie jest odgrzana.
Co ci się wprzód złem wydało
Teraz po pracy smakuje,
Bo trud wzmacnia nasze ciało
A praca zdrowie hartuje.

XLVIII.

BUZIA, USZKI, OCZKI I RĄCZKI.

— „Dla czego Tato," pytała raz Rózia
U nas dwa uszy, jedna tylko buzia?"
— „Dla tego córko, byś więcej słuchała
Co mówią inni, niż sama gadała."
— „Na jednę buzię czemu oczek dwoje?"
— „By człowiek patrzył, zbadał myśli swoje,
Podwójnie wszystko rozważył do koła
Co tylko widzi, a mniej mówił zgoła."
— „A teraz Tato, powiedz w końcu Rózi,
Czemu przy jednej, aż dwie ręce, buzi.?"

— „Na to, by myślał człek w każdem zdarzeniu
Więcej o pracy niźli o jedzeniu."

XLIX.

BAJECZKA JACHOWICZA.

Staś widząc że w „Przyjacielu"
Pisze bajki bardzo wielu
I Chmielewski i Miłkowski,
Chęciński i Niemojowski,
Idąc za wskazanym torem
Chciał też bajek być autorem;
I na całym arkusiku,
Pisał długo coś w kąciku,
Wreszcie skończył, i do Taty
Niesie plon swych prac bogaty.
— „Patrzno Ojcze, bajka nowa
Sam pisałem co do słowa:
Oddaj do druku bajeczkę."
Ojciec bierze z rąk ćwiarteczkę,
I nie pragnąc więcej pytać
Zaczął utwor Stasia czytać:
„Dała mi złotówkę Mama
Bym zobaczył panorama,
Idę ulicą Miodową...,

Lecz ta bajka nie jest nową:
To Jachowicz ją przed laty
Jeszcze pisał." — „Proszę Taty
Moja ręka ją pisała,
Tamta w książeczce została."
— „Tyś przepisał już gotową,
Chcąc za swoje cudze słowo
Dawać ludziom. Biedny synku,
Nikt nie wini cię w uczynku
Przywłaszczenia cudzej pracy;
Ale są na świecie tacy,
Którzy wiedząc jak nie ładnie
Gdy kto drugim myśli kradnie,
Grabią cudzych trudów zdroje
I podają je za swoje.
Tacy, nie są moim zdaniem
W zgodzie z siódmem przykazaniem.

L.

PROMIENIE SŁOŃCA.

Słoneczko wschodzi, jego promienie
Strzelają zwolna siejąc blask złoty;
A każdy promień przebiwszy cienie,
Do życia śpiące budzi istoty.

Najpierwszy promień padł na skowronka:
Trzepnął skrzydełkiem ptaszek zbudzony,
I frunął w górę, by w rzewne tony
Uczcić rozkosze bożego dzionka.
Drugi dostrzelił w cieniste bory
Gdzie wiewióreczka śpi sobie słodko:
Dalej po drzewach zwinna istotko
Biegaj, i gromadź orzeszków zbiory.
Trzeci mrowisko oblał w blask jasny,
Wnet się robotnic sypnie miliony,
Roją się, chodzą w rozliczne strony
Aby wywalczyć pracą byt własny.
Czwarty do kojca ciśnie się szparek,
I wraz zagdacze całą gromadką
Czubatych kurek zbudzone stadko,
I biegnie szukać dla piskląt ziarek.
Piąty do biednej wejdzie chateczki:
Powstanie kmiotek światłem zbudzony,
Wprzęga do pługa swoje wołeczki,
I het na pole orać zagony.
Szósty do grzecznych zawita dziatek:
Wstaną dziateczki, i wnet pospołem
Zajmą się pilnie nauk mozołem,
Aby być chlubą Ojców i Matek.
Nakoniec siódmy promień nieznacznie
Zajrzy do sennych leniuszka oczek:

Leniuch na drugi zwróci się boczek,
Ziewnie — i znowu śpi sobie smacznie.

LI.

ZŁY PRZYKŁAD.

„Nie pójdę dzisiaj do szkoły:
Na cóż mi próżne mozoły,
Kiedy na miejsce pochwały
Mam w cenzurze same pały!
Ot, gdy ku temu jest pora
Wezmę w obroty Trezora,
Niech się uczy. Chodź tu do mnie,
Tu do nogi —tylko skromnie:
Czyż to nie wstyd na ostatek
By pies co ma już sześć latek
Nie potrafił apportować,
Ani służyć, ni warować?
Tak nie można mój kochanku
Wylegiwać się na ganku,
Być leniwym to nie ładnie:
Dalej, stań na łapy zadnie.
Służ!.. On niechce... służ mi zaraz...
Jakiż z próżniakiem ambaras,

I łagodność nie wystarczy...
Ah, on gniewnie na mnie warczy;
Zamiast mi być wdzięcznym za to
Wyszczerza mordę zębatą!.."
— „Wszystkie piękne twe morały
Nie na wiele się przydały;
Czyliż piesek cię posłucha
Gdy widzi w tobie leniucha?
Więcej można niż słów składem,
Nauczyć dobrym przykładem."

LII.

MOTYLEK I PSZCZOŁA.

„Jakto nie dobrze że deszcz dziś pada!"
Rzecze motylek wlazłszy pod listek,
„W strumieniach wody moknie świat wszystek,
A pszczoła doda:" „i jam nie rada."
„Gdyby zabłysnął dzionek pogody
Jabym pobujał sobie do koła;"
„A ja," dorzuci poważnie pszczoła:
„Jabym zbierała z kwiateczków miody."

Miasto morału w końcu bajeczki
Zadam pytanie małe nawiasem:

Czyż między wami, lube dziateczki
Nie ma płochego motylka czasem?

LIII.

KOSZULKA HANKI.

Siał Ojciec w polu, było to wiosną
Hanka go pyta: „co robisz Tato?"
„Len sieję córko," rzekł Ojciec na to,
„Z niego koszulki tobie wyrosną."
Hanka zaś myśli: proszę ja kogo,
Jak to koszulki wyrosnąć mogą?
Nie długo potem już przestrzeń cała
Kryje się trawką, zielenią niwy,
I dziewcze myśli: „istne to dziwy!
Zielonych koszul jam nie widziała."
A Matka mówi każdego ranka:
Śliczną bieliznę będzie mieć Hanka!"
Znów przeszedł miesiąc, wiosny ostatki
Dały wzrost trawkom w całej przestrzeni,
A na niw bujnych wdzięcznej zieleni
Kwitną rozkoszne niebieskie kwiatki.
„Takie ma oczki siostrzyczka mała,
Lecz modrych koszul jam nie widziała."

Opadło kwiecie z niebieskich grządek,
Wyrosły jakieś główki czerniawe;
Mama wyrwała tę zwiędłą trawę
I zeschłych kupek stawiła rządek.
Schnie len na polu, ja w każdej porze
Myślę czy płótno z niego być może?
Wyschły łodygi, główki im zrznięto
I potopiono w rzeczułce małej,
Ciężkim kamieniem jeszcze ściśnięto
Aby wypłynąć z wód niezdołały.
Mnie się chce płakać,—boć czyż kto przy-
[zna
By z tego kału wyszła bielizna.
Znów wysuszone trze Mama ziela:
Klekocą drewna, lecą odpadki,
Czesząc je grempla włosek wydziela
Lśniący, przejrzysty, miękki i gładki,
A ja się pytam Mateczki swojej
Któż z włosków Hance koszulkę skroi?
Długie wieczory zimy nastały,
Furczą wrzeciona i len się przędzie,
Ja pytam Mamy co z tego będzie?
„Biała koszulka dla Hani małej."
„Z tych cienkich nitek? czy to być może?
Jakże ja taką koszulkę włożę?"
Nim zawitała rozkoszna wiosna,
Nim barw powabnych rozkwitły kwiaty,

Ojciec przyrządził tkackie warsztaty,
Chwycił czółenko, i siadł za krosna.
I rośnie płótno Ojczulka pracą,
Ja już nie pytam: a ono na co?
Zbielono płótno wodą zdrojową,
Z płótna koszule Mama skroiła,
Ciocia pomogła, siostra uszyła,
A ja mam teraz bieliznę nową.
Prawdę rzekł Tata przed rokiem, wiosną,
Że mi koszulki w polu urosną.

LIV.

CIEKAWOŚĆ.

(Rozmowa braciszka z siostrzyczką)

Braciszek.

Co tam chowasz w fartuszku?

Siostrzyczka.

Cóż ci wiedzieć o tem?

Braciszek.

Pokaż, pokaż siostruniu!

Siostrzyczka.

zbytecznym kłopotem
Zajmujesz swoją główkę — tam nic niema wcale.

Braciszek.

Że przedemną coś kryjesz wiem to doskonale.

Siostrzyczka.

Nic nie kryję.

Braciszek.

o jakże! znam cię Ewelinko;
Nie patrzałabyś na mnie z tą figlarną minką,
Z tym uśmiechem na buzi...

Siostrzyczka.

jeżeli się śmieję
To z twojej ciekawości.

Braciszek.

jednak mam nadzieję
Że pokażesz co trzymasz.

Siostrzyczka.

nadzieja zawodzi.

Braciszek.

A więc proszę...

Siostrzyczka.

napróżno.

Braciszek.

jam zły!

Siostrzyczka.

nic nie szkodzi.

Braciszek.

Będę tupał nóżkami...

Siostrzyczka.

tup, choćby do rana.

Braciszek.

Będę płakał,

Siostrzyczka.

płacz sobie.

Braciszek.

siostruniu kochana,
Dopóki nie pokażesz z miejsca się nie ruszę.

Siostrzyczka.

Smieszysz mnie mój braciszku!

Braciszek.

jednak wiedzieć muszę.

Siostrzyczka.

Musisz?

Braciszek.

tak jest, bo teraz z każdym się założę
Że to praca twych rączek dla mnie... co?

Siostrzyczka.

być może.

Braciszek.

Woreczek?

(Siostrzyczka milczy)

szalik?

(milczenie)

pasek?

Siostrzyczka.

wszakże na rok nowy
Zrobiłam ci woreczek i szalik włóczkowy.

Braciszek.

Nie zgadłem? a więc pewnie od Taty wiązanie;
Nie męcz dłużej a pokaż...

Siostrzyczka.

nudzisz mnie kochanie;
Gdyby nawet tak było, to Tata nie każe
Abyś o każdym naprzód wiedział jego darze.

Braciszek.

Zatem jest, jest podarek — konik czy piłeczka?
Luba, miła siostruniu, odsłoń choć troszeczka:
Niechaj spojrzę.

Siostrzyczka.

nic z tego.

Braciszek.

to choć nawiasowo
Bez wymienienia rzeczy powiedz jedno słowo;
Czy to z zwierząt?

Siostrzyczka.

nie.

Braciszek.

z roślin?

Siostrzyczka.

bynajmniej.

Braciszek.

z kamie-
[ni?

Siostrzyczka.

Nie.



Oberwańcy. (do str. 54).

Szukał, szukał—znalazł z trudem:
Czarnych brudnych, oberwanych,
W piasku, w błocie powalanych,
Wstręt budzących swoim brudem

Braciszek.

złapałem na kłamstwie. Linka się rumieni,
Boć trzy tylko są działy wszystkich rzeczy w świe-
[cie;
Co trzymasz do któregoś z nich należy przecie.

Siostrzyczka (odsłaniając)

Nie skłamałam braciszku gdyż nic nie mam wcale,
A *nic* pewnie się w żadnym nie pomieści dziale.

Braciszek.

Ah filutko!

Siostrzyczka.

ja nawet nie chciałam żartować,
Lecz było zimno w rączki, musiałem je schować
Pod fartuszek — tyś przybył i nuże mnie dręczyć
Różne rzeczy przypuszczać, a prosić, a męczyć...
Tyś roił co nie było, jam milczała na to;
Niech dzisiejsze zdarzenie będzie ci zapłatą
Za wadę ciekawości, bo Mama nam rzekła
Że ciekawość to pierwszy jest stopień do piekła.

LV.

KUKURYKU!

Siedzi kogut na chlewiku
Pieje sobie: „Kukuryku!

To ma znaczyć: hej chłopacy
Dalej do trudów, do pracy;
Kto na łąki, kto na pole,
Kto młócić zboże w stodole,
Czas ci wstawać już rolniku,
Dzionek świta — kukuryku!

I ty także gospodyni
Dobądź porządki ze skrzyni,
Zamieć izbę, przyrządź strawę,
Wypędź króweczkę na trawę;
Nakarm białych gąsek stadko,
Zajmij się dzieci gromadką,
Cicho, ładnie i bez krzyku:
Czas do pracy — kukuryku!

I wy pastuszkowie mali
Pora byście już wstawali,
Choć tak miło spać na sianie
Lecz pastuszek raźnie wstanie,
Bo już głodnych owiec stado
Beczy nań całą gromadą;
Kwiczą i świnki w chlewiku,
Czas je wygnać — kukuryku!

I ty malcze co w mozole
Tak ci idzie praca w szkole,

Dalej z łóżka, dosyć spania,
Trzeba uczyć się zadania.
Choć masz z książką jeszcze biedę,
Choć ci trudnem a, b, c, d,
Ucz się pilnie mój chłopczyku,
Czas więc wstawać — kukuryku!

Dalej żwawo do roboty:
Wy kowale chwyćcie młoty
Szewcy szydła, piły tracze,
Igły szwaczki, krosna tkacze;
Więc do więcierzy rybaki,
Więc do wioseł swych flisaki:
Dzionek krótki, prac bez liku
A trud czeka — kukuryku!

Ot już pracą wre świat wielki:
Migają szwaczek igiełki,
Młóci cep, pług ziemię orze,
Wiosło siną falę porze,
Warczą krosna, biją młoty,
A ludziska u roboty
Mówią: dobry koguciku
Dzięki za twe kukuryku!

LVI.

OKULARY.

U Babuni naszej starej
Gdy na nosie okulary
To książeczki czytać może:
Z rana, wieczór, w każdej porze,
Gdy zaś zdejmie te szkiełeczka
Nie przeczyta ni troszeczka.
Mnie by książki też chciało się
Lecz nie mam szkiełek na nosie,
Więc bym czytać mógł jak stary
Kup mi Mamo okulary.

Dobrze synku ci wypadło
Ot kupiłam abecadło,
Ucz się na niem dziecko moje:
To są okulary twoje.

LVII.

PIĄTA KLEPKA.

„Za czem to oczki swojemi
Śledzisz tak pilnie, tak żwawo.
Czego to szukasz po ziemi
Biegając w lewo i w prawo?.."
Tak raz Tadzia pytał Tata
Widząc jak ten cały w znoju
Na wpół schylony wciąż lata,
I szuka czegoś w pokoju.
— „Zginęła mi klepka piąta
Z mojej główki. Cóż ja zrobię?
Może spadła gdzie do kąta
Lub pod piecem leży sobie..."
— „Cóż to znowu za myśl płocha?..."
Rzecze Ojciec. — „O ja wcale
Nie żartuję ani trocha,
Wiem o zgubie doskonale.
Nauczyciel w krótkiem słowie
Rzekł, gdym różne figle stroił:
Nie masz piątej klepki w głowie,
I tem mnie zaniepokoił,
Bo pięć klepek zwykle bywa
U człowieka — to rzecz znana,

A gdy piątej z nich mi zbywa
Więc ta piąta gdzieś schowana."
— „Żeś ją zgubił, teraz wierzę
Ale ja ci powiem szczerze,
Że choć zwiedzisz wszystkie kąty
Nie znajdziesz tam klepki piątej.
Wiesz gdzie szukać? w ksiąg czytaniu,
Pośród pracy, pośród czynu,
W cnot pełnieniu, w rad słuchaniu,
Tam swą klepkę znajdziesz synu.

LVIII.

ZEGAR.

„Zegarze, zegarze, co wisisz na ścianie
Odpowiedz a szczerze na moje pytanie:
Dla czego ty zrana i we dnie i w nocy,
Bez celu, bez myśli, bez ludzkiej pomocy
Marmoczesz do siebie szept zawsze jednaki,
Czasami *dzyń*, *dzyń*, *dzyń*, wciąż *tyki* a *taki*;
Każdy się przykładnie zajmuje czem w domu,
Twe szepty pożytku nie dadzą nikomu."
Tak Bronia stanąwszy naprzeciw zegara
Swe myśli, swe wnioski, wyjawić się stara;
Lecz zegar co zdawna na ścianie tam wisi

Jak gdyby niesłyszał pytania Bronisi:
W uporze niezmienny, w powadze jednaki,
Wciąż szepcze jak przedtem a *tyki* a *taki*.
Z początku zmartwiło Bronisię to biedną
Chce odejść, lecz myśli: „gdy szepcze wciąż jedno,
To musi coś znaczyć — posłucham na nowo."
I słucha, a z cyków układa się słowo,
A z słowa periody, z peryjodów zasada,
I ot że słuchajcie co zegar jej gada:
„Panienko, panienko, nie śmiej się nad cykiem,
Bo czas to przedwieczny mym mówi językiem;
Spojrz na twarz bielutką, tam niby na dłoni
Masz obraz jak chwila za chwilą wciąż goni,
Dwa palce żelazne stawiają przed oczy
Minioną godzinę co w wieczność się toczy,
I aby utrwalić tę stratę mem słowem
Wygłaszam śmierć godzin, dzwonieniem gro-
[bowem.
Sześćdziesiąt mych cyków minutę sprowadza,
Sześćdziesiąt zaś minut godzinę znów zradza;
Gdy godzin dwadzieścia i cztery tych minie,
To przejdzie dzień z nocą i doba upłynie.
Z dob składa się tydzień, z tygodni miesiące;
Gdy przejdzie szron zimy i lato gorące,
Rok minął. I ciągle czas szybko ucieka,
A lat tych niewiele — to żywot człowieka!
Czyli się wesoło po pracy bawicie,
Czy trud was zajmuje, czy twardym snem śpicie,

Ja zawsze, ja ciągle, swym palcem ze stali
Wskazuję jak biegnie czas dalej a dalej,
Ja zawsze, ja ciągle, powiadam swą mową:
Godzina co przeszła nie wróci na nowo.
Niechże się więc każde do nauk z was garnie;
Pracujcie, chwil życia nie traćcie swych marnie,
By z czasem po latach gdy młodość już minie,
Trud dał wam pociechę w ostatniej godzinie.

LIX.

MÓJ MAŁY PALUSZEK.

— O ja wiem wszystko co się u was dzieje
Nic się przedemną utaić nie zdoła,
Ja wiem kto płacze, swawoli, szaleje,
I kiedy dziatwa zanadto wesoła.
Wczoraj naprzykład malutka Helenka
Kaprysy miała: to budzą zbyt rano,
To ją uciska w staniku sukienka
To jej śniadania natychmiast nie dano;
Słowem w jej nosku pełno było muszek.
Kto Mamie mówił? —Mój mały paluszek.
Dziś zaś przy kawie Jaś siedział nie ładnie,
Bez pozwolenia, nie pytając niani
Chwyta co tylko mu w rączkę popadnie:

Wziął cukier Zosi, i ciasteczko Mani,
Miasto poczekać jak grzeczne dziateczki
Po całej tacy dowolnie plądrował,
Przerzucał wszystkie rogale, bułeczki,
I dwa sucharki do kieszeni schował,
A w końcu rozbił z śmietanką garnuszek.
Kto Mamie mówił? — Mój mały paluszek.
Ludwiś gdy innych zajmuje nauka
Wybiegł cichaczem w sad niepostrzeżony;
I tam po drzewach czegoś pilnie szuka,
I wraz na wszystkie ogląda się strony.
Przystanął: słucha, i myśli głęboko,
I znowu chodzi na prawo na lewo,
Nareszcie ujrzał wśród liści wysoko
Piękne owoce — a więc hyc na drzewo.
Pnie się jak kotek aby dostać gruszek...
Kto Mamie mówił? —Mój mały paluszek.
Michaś łakomy, to nie sekret przecie,
Często od zbytku główka go zaboli;
Ja ci mówiłam że posłuszne dziecię
To tylko jada co Mama pozwoli.
Lecz próżne moje rady i przestrogi:
Wczoraj gdym wyszła, nim minęła chwilka
Już bez mej wiedzy zjadłeś dwa pierogi,
Nawet w dodatku i ciasteczek kilka;
Dla tego dzisiaj ciebie boli brzuszek.
Kto Mamie mówił? —Mój mały paluszek.
Bardzo nie ładnie gdy kto ciągle bryka

Wyprawia skoki w szale niedorzecznym,
Tak robi źrebak, albo kózka dzika,
Nigdy zaś chłopczyk co pragnie być grzecznym.
Tadzio podobnie figlował dziś rano,
Upadł jak długi w ogrodzie pod płotem
I dosyć silnie stłukł sobie kolano,
Choć to jest sekret, ale ja wiem o tem
    Jaki przypadek miał dziś Tadeuszek.
    Kto Mamie mówił? —Mój mały paluszek.
Józio ma chętkę bawić się z muszkami
Choć potem puszcza, ale je to boli;
Nie dobrze pastwić się nad owadami,
Zawsze mu bronię podobnej swawoli.
Wczoraj nie wiedząc pszczółkę ujął wielką
I nuż z nią igrać myśląc że to mucha,
Pszczółka zjadliwe puściła żądełko
A biedny Józio dotąd w rączkę dmucha;
    Masz karę synku, nie dręcz biednych mu-
[szek.
    Kto Mamie mówił? —Mój mały paluszek.
Nie dawno przywlókł się tu dziad ubogi
A taki stary że miał ze sto latek,
Stanął cichutko przy bramie wśród drogi,
I prosił Stasia o malutki datek.
Staś sięgnął w kieszeń, ale zaraz potem
Pomyślał sobie: mnie ciastek potrzeba,
I przeszedł mimo, a nie myślał o tem
Że dziadek może nie miał w ustach chleba.

Zapłakał biedny, zgłodniały staruszek...
Kto Mamie mówił? —Mój mały paluszek.
O bo mnie wszystko wiadomem jest w świecie
Co które z dziatek zrobiło nie ładnie,
Choćby w największym kto taił sekrecie
Swoje postępki, ja je znam dokładnie.
Napróżno skrywać swe myśli, swe czyny,
Napróżno chować się przed okiem Matki,
Napróżno składać na drugich swe winy,
Nic nie utają przedemną me dziatki.
Co u nich w główkach, co w głębi serdu-
[szek,
Wszystko powiada mój mały paluszek.

LX.

LALECZKA.

Jakże ona piękna ta moja laleczka,
A jakaż to pyszna toaleta na niej:
Mantylka jedwabna, suta sukieneczka,
Doprawdy wygląda jakby jaka pani!
Ząbki jak perełki, buzia jak jagoda,
Policzki jak mleko, aż patrzyć pociecha;
Niezna co to starość, zawsze taka młoda,
Niezna co to smutek, bo wciąż się uśmiecha.

Na głowie malutkiej wiją się jej loczki,
Na włoskach kapelusz i piórko ze strusia:
Kiedy ją położę wnet zamyka oczki,
Gdy stawię w kąciku, stoi jakby trusia.
Ubieram ją zawsze każdego dnia z rana;
I różne morały prawię jej nad uszkiem;
Wożę po spacerach jeźli usłuchana,
A jeźli nie grzeczna, pogrożę paluszkiem.
Ale cóż mi z tego mieć tę niemą pannę
Co nigdy nie mówi, nie skacze, nie śpiewa,
Tylko wlepia we mnie swoje oczki szklanne:
Ah lalko, laleczko — czemuś ty nie żywa!

LXI.

NÓŻKA.

Staś miał zwyczaj że gdy siadał
Wciąż nóżkę pod siebie wkładał.
— „Któż tak czyni synu drogi?
Każdy siedząc spuszcza nogi,
Tak nie ładnie," mówi Tato;
Ale Staś nie zważa na to
I wciąż siada po turecku,
Niby kotek na zapiecku.
Raz się rozległ krzyk chłopczyka:

— „Aj! aj!... boli, piecze, strzyka!..."
Ojciec pyta co się stało...
— „Ratujcie mą nóżkę małą!..."
Woła Staś z całego gardła:
„Nóżka podemną umarła,
Jam nóżkę swoją udusił!..."
I aż z płaczu się zakrztusił.
Tata się uśmiechnął tylko,
Bo zdrętwienie zwykle z chwilką
Przechodzi bez złego śladu,
Ale powie dla przykładu:
— „Wstań, i pochodź tylko śmiało,
A uzdrowisz nóżkę małą."
Wstał z krzesełka Staś skrzywiony,
Lecz tak był tem wystraszony,
Iż odtąd gdy w krześle siadał
Nóżki pod siebie nie wkładał.

LXII.

CO MÓWI KOTEK.

Siedzi kotek na zapiecku
I coś mruczy po niemiecku:
Brum bum bum bum, taka mowa
Że nie pojmiesz ani słowa.

Stefcio wciąż nadstawia ucha
Mruku kota pilnie słucha,
Lecz nie może sensu schwytać,
A na próżno kotka pytać.
— „Niech mi Tata wytłumaczy
Co ta mowa kocia znaczy?"
— „On powiada w swym języku:
Dziwisz się czasem chłopczyku
Jak ja myszki dusić mogę,
Kiedy mi nie wchodzą w drogę;
Otóż ja ci powiem na to
Że śmierć myszek jest zapłatą
Za łakomstwo, chciwość zdradną
Tych co cudze dobro kradną,
Co w komórce i w śpiżarni
Niby wilki wśród owczarni
Z łatwem złodziei sumieniem
Gospodarzą ludzkiem mieniem."
Stefanek z zajęciem całem
Myśli długo nad morałem,
Wrzeszcie rzecze: dobra rada
W tem co kotek mi powiada.
Ja się teraz bardzo boję
Ruszyć coś co nie jest moje,
Bo koteczek drogi Tato
Może mnie podrapać za to.

LXIII.

MUSZKI W NOSKU.

— „Czemu Staś tak skrzywił buzię,
Czemu zfukał małą Rózię,
Czemu dąsa się na Zosię?"
— „Bo mam Tato muszki w nosie!"
— „Dobrze że choć dzieci wiedzą
Gdy im muszki w noskach siedzą."
— „Jak niewiedzieć, kiedy niania,
Wujcio, Madam, Antoś, Frania,
Powtarzają w każdą chwilę
Że w mym nosku muszek tyle;
Ja im wierzę, boć nie sposób
Starszych nie posłuchać osób."
— „Więc wypędzić je wypada."
— „O, z muszkami trudna rada;
One z tamtąd się nie ruszą."
— „Pomógł bym ci całą duszą
Ale to jest trud nie mały
Gdy się muszki zasiedziały;
To choroba, i nie łatwo
Ją wyplenić między dziatwą."

Staś szczęśliwy z tłumaczenia
Humoru swego nie zmienia,

Wciąż się dąsa, stroi miny,
I tak mijają godziny
A obiadku nikt nie niesie.
— „Tato, „woła:" jeść mi chce się."
— „Kucharz nic dziś nie gotował
Bo na muszki zachorował."
— „Kucharz duży."—„Duzi, mali,
Wszyscy już zachorowali;
Ta choroba jak cholera
W powietrzu się rozpościera."
— „To choć bułki daj mi Tato!"
— „I piekarze chorzy na to:
Na twe prożby każdy głuchy,
Wszyscy mają w nosach muchy."
— „Cóż więc robić?"—„Jeden sposób
By mniej było chorych osób,
Niech wyleczy się Staś mały."
— „Mnie już muszki wyleciały."
— „Ah jak dobrze że Staś zdrowy
Wielki kłopot spadł nam z głowy,
Mija epidemja wreszcie;
Zdrów i kucharz—zupkę nieście!"

LXIV.

KOPCIUSZEK.

Był jeden chłopczyk, Jasiem go zwali,
Milczał, gdy Tata czasem strofował,
Nie płatał figlów jak zwykle mali,
Przed gościem nigdy w kąt się nie chował,
Nie był leniuszkiem: wszystkie litery
Od *A* aż do *Z* znał znamienicie;
Umiał rachować, *dwa* a *dwa* cztery,
I nic przed Ojcem nie taił skrycie.
Cóż, kiedy wadę miał on nielada,
Ale to taką że mówić trudno...
A co, zgadniecie?...oj bo to wada
Jest brzydką, wstrętną, śmieszną i brudną.
Myć się nie lubił — niosą miednicę
Chłopiec w płacz jakby rózgą go z siekli,
Słynny był z tego na okolicę,
I rówiennicy go się wyrzekli;
Bo jakże bawić się z takim dzieckiem
Które wygląda z miny i z twarzy,
Jakby siedziało gdzieś za zapieckiem,
Albo służyło u kominiarzy?
Ojciec nie szczędził kary i słowa,
On się poprawić święcie zaklina,

Niosą miednicę i taki krzyk znowa,
Że aż wstyd było Tacie za syna.
Jakże, czyż nie wstyd, powiedzcie proszę?
Gdy każdy żarty stroi nad uszkiem,
Każdy się z niego śmieje po trosze:
Ten zwie morusem, ten znów kopciuszkiem!
On czuł że oprócz nauki trudu,
Trzeba mieć jeszcze i czystą postać,
Bo nikt nie lubi niechlujstwa, brudu,
Przecież nie umiał chędogim zostać.
. . . .
Pewnego razu, było to latem,
Niebo się jakoś wypogodziło,
Więc Jasio wyszedł na spacer z Tatem,
A jaśniał dzionek taki, aż miło!
Malutkie ptaszki w gaju śpiewały,
Kmiotek piosenkę nucił wesołą,
Grał na fujarce pastuszek mały,
I wszystko pięknem było wokoło!
Tylko Jaś jeden z twarzą murzyna
Wygląda jakby polowy straszek,
Tak że gdzie tylko zmierzać zaczyna,
To zaraz przed nim odfruwa ptaszek.
Idą, wciąż idą; mijają chaty
Tam staw, a wstawie koni gromada:
„Co one robią?" pyta Jaś Taty;
„Myją się!"—Ojciec mu odpowiada.
I idą dalej— znów wśród kałuży

Stadko kaczątek szuka ochłody;
Każda łeb wznosi, oczkami mruży
I chowa główkę w strumieniach wody.
„Dla czego rzecze" Jaś patrząc na to,
„Każda z tych kaczek wyciąga szyję
„I nurza w wodzie — powiedz mi Tato?
„Bo kaczka Jasiu często się myje."
Nakoniec przyszli przed skromny dworek
Gdzie mieszka stary leśniczy Tatki;
Z przodu podwórko. z tyłu był borek,
Z boku ogródek z ślicznemi kwiatki.
Przed dworkiem Jasio ujrzał koteczkę:
Stworzonko miłe, lekkie puchowe,
Lizała sobie miękką łapeczkę,
A potem łapką muskała głowę,
Jasio wprost do niej, lecz kotka w nogi
Bo ją twarz brudna wnet przestraszyła:
„Co ta koteczka, mój Ojcze drogi
Robiła z łapką"? „Ona się myła!"
Chłopiec zpiekł raczka i rzekł nie śmiało:
„Toć to zwierzątka!" „A któż ich wini?
One wszystkiego mają tak mało
Przecież z nich każde co może czyni.
Nikt im wiaderka z wodą nie nosi,
Mydła, ręcznika, nigdy nie widzą,
Nikt ich nie znagla, ani nie prosi,
A jednak same brudem się brzydzą."
„Tato, każ zaraz podać miednicę,

Ja nie chce więcej już być brudasem!"
Ojcu wnet uśmiech rozjaśnił lice,
Leśniczy wodę przyniósł tymczasem.
„Brrr, jaka zimna!" na łzy się zbiera,
Gdyby popłakać choć odrobinkę...
Dziecko na Ojca z boku spoziera,
Strojąc zawczasu żałosną minkę:
„Pfe! wstyd, nie można"... i nagle skoczy,
Zmyje twarz, głowę, ręce i czoło;
„Uf!" aż z radości błysły mu oczy,
Zda się że odżył, tak mu wesoło:
I taki raźny! taki milutki!
Nikt go nie weźmie teraz za straszka;
„O Tato!" woła: „będę czyściutki,
„Nie chcę być gorszym od kotki, ptaszka!

LXV.

NOŻYCZKI.

Wpośrodku murów starego Kazania,
Żyły dwie siostry: Michasia i Hania;
Mama ich obie zarówno kochała:
Co jednej dała, to i drugiej dała,
Czyli to ciastko, czy cukierek mały,
Czyli od kupca pudło z zabawkami,

Wszystko na równe szło zazwyczaj działy,
Jak być powinno między siostrzyczkami.
Lecz w jednej rzeczy czyniła różnicę:
Były tam piękne stalowe nożyce,
O które obie prosiły panienki,
A jedna tylko brała je do ręki.
Pyta więc Hania: „Dla czego to Mamo
Ty co nas kochasz obiedwie tak samo,
Gdy o nożyczki prosimi Cię szczerze,
To ja ich nie mam a Michasia bierze?...
One nam obiem potrzebne są dużo,
One nam obiem do krajania służą."
„Tak." rzecze Mama; „lecz Michasia kroi
„Okrycia, suknie, dla laleczki swojej,
Ty Haniu krajesz serwety, obicia,
„A nawet piękne fotelów pokrycia;
„To więc co dla niej służy do roboty,
„Dla ciebie tylko jest narzędziem psoty"

LXVI.

JUTRO.

„Jutro wykończę moje zadanie,
Jutro przepiszę, jutro przeczytam,
Jutro grać będę na fortepianie,
Jutro o lekcyą swoją zapytem;

Jutro, o jutro! ja wszystko zrobię,
A dzisiaj jeszcze odpocznę sobie."

Tak mówią zwykle leniwe dzieci,
Nie pamiętając jak dni tych mało,
Jak prędko zawsze czas ludziom leci,
I jak niewiele chwil im zostało.
Jutro, o jutro... czemuż odkładać?
Dziś twoje, jutra trudno ci zbadać.

Co jest, to pewne — co będzie, skryte,
Obecność tylko winna nam służyć:
Dziś może zawsze zostać użyte,
A któż odgadnie jak jutra użyć?
Jutro, o jutro! zawsze wołacie,
A tego jutra wcale nie znacie.

Na każdy dzionek Bóg trud wydziela,
Dni te się znaczą pracą, mozołem;
Do odpoczynku tylko niedziela,
Lub jakie święto czczone kościołem.
Jutro, o jutro!... tak dni przechodzą,
A z dni miesiące, lata się rodzą.

I życie przejdzie, nadejdą chwile,
W których zapłacesz łzami rozpaczy,
Żeś tyle szczęścia, nadziei tyle,
Nie umiał zrazu użyć inaczej.
Jutro, o jutro! krzykniesz ze drżeniem,
A jutro wiecznym skryje się cieniem.

LXVII.

KAWAŁEK WATY.

Mama mówiła: „wiedz o tem dziecię,
Nic nie przepada na bożym świecie,
Choćby nie zaraz to w innym czasie,
Prędzej lub później na co przyda się;
Mama wciąż mówi, Zosia pracuje,
Bo Zosia wartość pracy już czuje.
Skończyła wreszcie szlafrok dla Taty:
Został od niego kawałek waty.
Cóż z kłaczkiem robić? maż być na stole!
Leć kłaczku z wiatrem w szerokie pole!
Poleciał sobie daleko w światy,
A Zosia pyta. „Cóż będzie z waty?"
Jeszcze mówiła, kiedy ptaszyna
Około waty fruwać zaczyna,
Wreszcie przystanie, trochę uskubie,
I skarb zdobyty poniesie w dziobie,
Po tem dwa drugie zlecą wróbelki,
Z razu rozdzielą kłaczek niewielki,
Każdy z zdobytą ulata watą;
Zosia z uśmiechem patrzy się na to:
„Co w dziobkach niosą, one nie wiedzą
„Boć ptaszki przecie waty nie jedzą."

Nie jedzą waty, ale nią ścielą
Gniazdeczka, ona tam jest pościelą,
Miękką kołderką, ciepłą odzieżą
Dla wylęgniętych pisklątek świeżo,
Dla drobnych dziatek tej czułej matki;
Tak więc nie zdatne nawet odpadki
Które wiatr poniósł szeroką drogą,
Jeszcze się przydać biedniejszym mogą.
A teraz widzisz drogie me dziecię,
Że nic nie ginie na bożym świecie.

LXVIII.

JAK DOBRZE CZYNIĆ NALEŻY.

(Rozmowa Mamy z Andzią)

Mama.

Co zrobiłaś z pieniędzmi?

Andzia.

Oddałam je.

Mama.

Komu?

Andzia.

A niegrzecznemu chłopcu co szedł koło domu.

Mama.

Więc myślisz że za pieniądz chłopak się poprawi?

Andzia.

Nie Mamo, lecz ten pieniądz życie ptaszka zbawi.
Jakże mogłam złotówek wszystkich jemu nie dać,
Gdy złapał biedne ptasze, chciał je ludziom przedać,
A przecież wszystkie ptaszki fruwają do nieba,
Gdy Pan Bóg dał im życie, męczyć ich nie trzeba;
Żal mi było...

Mama.

A po tem?

Andzia.

Łzą mi zaszło oko:
Masz pieniądze, puść ptaszka, niech leci wysoko;
Puścił, a jam się bardzo cieszyła Mateczko,
Już się biedne stworzonko nie pozna z klateczką.

Mama.

I jakiż to był ptaszek?

Andzia.

Miał dziobek śpiczasty;
Dwie łapki, dwa skrzydełka, ogonek pierzasty,
Małą szyjkę puchową, łebek też nie duży,
I dwa oczka, któremi patrząc ciągle mruży.

Mama.

Ale jakże się zowie?

Andzia.

Jam pytać nie śmiała;
Wszakże Mama mi zawsze dawniej powiadała,
Ciekawość w miłosierdziu nie bierze siedliska;
Wspieraj biednych, nie pytaj nigdy ich nazwiska.

Mama.

To dobrze że pamiętasz — choć człowiek a zwierzę
Zupełnie co innego. Teraz powiedz szczerze:
Czyliż wszystkie pieniądze oddać należało,
Tak aby w twej kieszonce nic już nie zostało?
Lepiej się było spytać ile żąda za to.

Andzia.

A jeźli biedny chłopak!... Może tą zapłatą
Ja jemu dopomogłam do kupienia chleba...

Mama.

Lecz dobro co się robi zawsze dzielić trzeba.
Przypuśćmy że kupiwszy swobodę więźniowi,
Spotkasz drugiego chłopca który ptaszków łowi,
Cóż zrobisz: on chce przedać, a już wyszły grosze?

Andzia.

O wtedy ja u Mamy pieniędzy poproszę...

Mama.

A gdy Mamie ich braknie?

Andzia.

To nie wiem już wtedy...

Mama.

Widzisz Andziu kochana: w świecie dużo biedy,
Chcąc ciągle dobrze robić trzeba się rachować,
Dać część jednym, dla innych drugą część zachować;
Dwa razy więcej czyni, kto rozważnie działa.

Andzia.

O prawdę Mama mówi — będę pamiętała;
Tak urządzę wydatki że na wszystko stanie:

I dla dzieci ubogich na ciepłe ubranie,
I dla chorej kobiety co nie wstaje z łóżka,
I dla tego biednego, ślepego staruszka...

Mama.

A na ciastka, cukierki?

Andzia.

To już Mamo po tem;
Kiedy wszystko urządzę, pomyślę i o tém.

Mama.

Tak dobrze: naprzód drugich po tem stawiaj siebie,
A wtedy Bóg Najwyższy ukocha cię w niebie.

LXIX.

ZAPYTANIE.

— „Słyszałem wczoraj jak Pan Cezary
Ten Tato co wciąż w oku szkło nosi,
Co niby młody, a zda się stary
Zabawne bajki powiadał Zosi.
Dziwna ta Zosia! słowa nie rzekła,
Miasto się pośmiać troszeczkę,
Gniewna z pokoju zaraz uciekła,
I tak straciła bajeczkę.
A szkoda bajki, taka pocieszna,
My tak się szczerze uśmiali z Władzią,

Ten pan powiadał... prawda rzecz śmieszna,
Że małpka jest naszym dziadzią!
On tak żartował, wszak prawda Tato?
On chciał nas tylko zabawić;
Bo jakże można małpkę kosmatą
Na równi z ludźmi postawić?
Małpka nic nie wie, nie gada z nikiem
A przytem taka kosmata!
Gdzieby mieć mogła wnuczka chłopczykie m,
No jakże powiedz nam Tata?
Lecz on w to wierzył, bo z drugiej strony
Poważną minę zachował;
I rzekł że jakiś anglik uczony
Wszystko to w książce drukował.
Co drukowane, to prawda szczera
Tak sobie mówiemy z Władzią:
Jednak to przykro — na płacz się zbiera
Gdy każą małpę zwać dziadzią!"
— „Nic," rzecze Ojciec, „nie jest bez celu,
Ten pan wam prawdę powiedział:
Pomiędzy małpą a ludźmi wielu
Bardzo niewielki jest przedział.
Są tacy ludzie, co jakby cudzy
W znaną swą przeszłość nie wierzą,
A czynią tylko co czynią drudzy
Ich okiem życie swe mierzą.
Powie co jaki człowiek bezbożny
Oni to przyjmą do głowy,

A chociaż czują że to czyn zdrożny
Wielbią, wynoszą, bo nowy.
I Boga nawet czcić zapomnieli,
Chcą żyć jak zwierząt gromadka;
Nic więc dziwnego że sobie wzięli
Z małpiego rodu pradziadka."
— „Teraz rozumiem!" powie chłopczyna:
Kto dobry, grzeczny, cnotliwy,
Kto się bać Boga nie zapomina
U tego dziadzia prawdziwy;
Kto zaś bezmyślnie językiem miele,
Nie kocha ludzi troszeczkę,
Kto żyje niby zwierzątek wiele
Ten ma za dziadzię małpeczkę.

LXX.

SŁOŃCE I KSIĘŻYC.

(Z rossyjskiego J. Polońskiego).

Noc była jasna, przez okieneczko
Wsuwa się promień księżyca,
Oblewa światłem Stasia łóżeczko,
W same mu oczki przyświeca,
„Dla czego księżyc wśród nocy swieci?"
Zapyta niani Staś mały;

„Czy na to aby znużone dzieci,
    Od jego blasków nie spały?"
„Ja ci opowiem różne koleje
    Które przechodzą nad nami,
A wtedy poznasz jak to się dzieje,
    Że w nocy jasno czasami.
Gdy słońce pierwszy raz zachodziło,
    Głos Pana zagrzmiał na niebie:
Odpocznij słońce, tyś się zmęczyło
    I świat niech zaśnie bez ciebie.
Słuchaj księżycu braciszku miły,
    Odchodząc słońce zawoła,
Zapal swą lampę, zbierz swoje siły,
    I obejdź ziemię do koła;
I patrz uważnie co się tam dzieje,
    Kto grzecznie mówi pacierze,
Kto śpi spokojnie, a kto szaleje,
    I powiedz o tem mi szczerze.
Usnęło słońce, księżyc wędruje,
    A z rana gdy kury piały,
Sztuk, sztuk, do drzwiczek jasnych szturmuje:
    Otwórz to ja twój brat mały.
Więc słońce pierwszym blaskiem zaświeci;
    Ah, ty mi zbladłeś nie mało!
I cóż tam słychać: czy grzeczne dzieci,
    Czy się spokojnie im spało?
Braciszek wszystko powie co było,
    A gdy noc przeszła jak trzeba,

To słonko pięknie będzie świeciło,
Jasnym promieniem wśród nieba:
Jeźli zaś w nocy było płakanie,
To wiatr się zerwie ze słotą,
I niania z Stasiem w domu zostanie,
Bo trudno chodzić gdy błoto.

LXXI.

MÓJ ŚWIATEK.

Nie wielki domek pod strzechą słomianą,
Przy nim podwórko i ogródek mały,
Kapliczka, gdzie się modlimy co rano,
I kilka chatek: oto mój świat cały.
W domku ja mieszkam wraz z Mamą i Tatą,
Siostrą, braciszkiem, i starym Antonim;
A chociaż dola nasza nie bogatą,
My przecież szczęścia daleko nie gonim.
Tata wskazuje nauki zasady,
Mama mi mówi o wierze, nadziei,
Ksiądz pleban stawia pobożne przykłady,
Stary Antoni jakie cacko sklei.
Z siostrą, braciszkiem biegamy w ogrodzie,
By narwać kwiatków i polać grządeczki;
Zmrokiem pod lipą przy wieczornym chłodzie,

Tata nam czyta prześliczne bajeczki.
Jest tam Bryś wierny, w dzień trochę leniuszek
Ale też w nocy niestrudzony za to,
I taki piękny, wesoły ciołuszek,
I kurka z głową puchową, czubatą,
I tłuste woły co za pługiem chodzą,
I dwa koniki które Tacie służą;
Są i kaczęta, — te wciąż w stawie brodzą,
Myją swe główki i oczkami mrużą.
A jak słowiki zanucą swe pieśni
W naszym ogródku, zaraz im w około
Chórem śpiewacy odpowiedzą leśni,
To nam tak lubo, rozkosznie, wesoło!
Jam dalej nie był, nie wiem co za płotem
Wśród pola, w lasach, na trakcie wspaniałym;
Jam nic nie widział, bo i co mi potem
Kiedy tak dobrze żyć w tym światku małym.
Mówią że wilcy chowają się w lesie,
Że w trawie z brzydkim spotykasz się gadem,
Że wilk owieczkę do boru uniesie,
A żmija struje człowieka swym jadem;
Mówią, — lecz wiary my temu nie dajem,
Że tam daleko za górą, za lasem,
Są ludzie którzy szkodzą sobie wzajem,
I Boga nawet obrażają czasem.
Tu, w naszym światku, nie było przykładu
Żeby nie dobre wcisnęło się zwierzę;

Nie ma tu wilka, ni brzydkiego gadu,
A zaś źli ludzie.... oh! ja w nich nie wierzę!

LXXII.

KUCHARZ DUŻO GADA, KOTEK MIĘSO ZJADA.

Był to sobie jeden kucharz i miał swego kotka,
A koteczek to był rzadki—prawdziwa pieszczotka:
Usłuchany, ugrzeczniony, pełnił wolę pana,
Tak że kucharz zawsze w kuchni zostawiał go z rana.
„Słuchaj kotku, są tu myszy, a więc poluj na nie,
Lecz pamiętaj byś mych potraw nie jadł na śnia-
[danie."
Kotek słuchał, łowił myszki, od pieczeni stronił,
Kucharz ufny w cnotę kocią kuchni mu nie bronił;
Raz się dłużej z przyjacioły kucharz zagawroni,
Kotek długo wietrzył pieczeń, wreszcie wziął się
[do niej.
Je i parska, głową trząsa, a w tem kucharz wchodzi:
„Co ja widzę — o mój Boże — wszak ten kot jest
[złodziej!..
Ja ci szczerze zaufałem a tu brzydka zdrada.."
(Kucharz mówi a kot burczy i wciąż mięso zjada);
„I czyliż ty między ludźmi śmiesz się zjawić potem,
Każdy hańbą cię okryje, każdy zmiesza z błotem,

Każdy powie: ot niewdzięcznik, nie wart przywią-
[zania...
(Kot wciąż mruczy mięso zjada, nie ma zaufania),
„A sąsiedzi" mówił dalej kucharz rozżalony
Nie dadzą ci po podwórku biegać w różne strony;
Wilk w owczarni, a ty w kuchni na jedno wychodzi,
Boś obżartuch, oszust, zdrajca, nikczemnik i zło-
dziej!"
Zamilkł kucharz, kot jeść przestał i wygiął grzbiet
[długi:
Pierwszy skończył swe morały, skończył pieczeń
[drugi.

LXXIII.

CO ZROBIĘ JAK BĘDĘ DUŻĄ.

„Jak będę dużą to wiem co zrobię:
Zrana nie wstanę — dadzą śniadanie,
Ja do dwunastej poleżę sobie,
A potem każę zawołać nianię;
Niania mi sama włoży pończoszkę,
Obuje nóżki, zwiąże sznurówkę,
Ja się nie zajmę tem ani troszkę,
Niania mi będzie za pokojówkę.
Potem się w śliczną suknię wystroję,

Długą z ogonem ctero-łokciowym,
Przypnę kok duży na włosy swoje,
I zbielę szynion pudrem ryżowym.
Zajdę z początku do pana Kocha,
Kupię cukierków, ciastek tak wiele,
Że nie zostanie tam ani trocha.
A potem wszystkich niemi obdzielę;
Sprawię dla Józi lalkę tak wielką
Że wszystkie dzieci przewyższy głową,
Dla Stefcia konia, biczyk, siodełko,
Dla niani suknię.... choć atłasową.
Dalej poproszę gości do stołu,
Jasia, Helenkę, Cesię, Janinkę,
Za nic nie każę dawać rosołu,
Lecz takie rzeczy, aż łykać ślinkę!
Podadzą naprzód melszpejz z jabłkami,
Potem konfitur całe słoiki,
Potem tort duży z marcepanami,
A w końcu lody i biszkopciki.
Sama na talerz włożę potrawy,
Nie chcę by kto mi nakładał łyżką,
A po obiedzie pójdą zabawy:
Zaraz z początku kotek wraz z myszką,
Potem urządziem pana Pastora,
I ślepą babkę, wojnę, chowania;
A niani każę zaraz z wieczora
Iść spać do łóżka — bo nudna niania!
Kajety spalę, roboty spruję,

Żadnej książeczki nie będę tykać,
A jeźli czasem i zachoruję
To brzydkich lekarstw nie chcę przełykać.
Odprawię Madam by nie łajała
I nie zmusiła nad książką ślęczyć;
Gdy zechcę płakać — będę płakała,
A już nikt wtedy nie każe klęczyć.”
Tak starszej siostrze opowiadała
Mania swe myśli gdy razem siadły;
Kazia zaś smutnie słów tych słuchała,
I z oczek Kazi dwie łezki spadły.
— „O nie siostrzyczko, ja tak nie zrobię:
Jak będę dużą nie chcę się bawić,
Jeżeli przyjdzie myśleć o sobie,
To tylko na to by się poprawić.
Lalką, bieganiem bawi się mały,
Starsi książeczką, czyny dobremi;
Czyliżby na to dzieci wzrastały,
Aby rozumem zostać małemi?
Nie na to przecie żyjem na świecie,
By się objadać, później chorować;
Nabywać lalki, stroje, rupiecie,
Biegać, swawolić i czas marnować,
Nie na to książki żeby je palić:
Książka to rozum, ona powiada
Jak kochać bliźnich, jak Boga chwalić,
Jak postępować ludziom wypada.
A kiedy na to kto nie uważa,

Gdy tylko zawsze żyje dla siebie,
Traci przyjaciół, ludzi obraża,
I Bóg go także zapomni w niebie."
— „Ach Kaziu droga, ja ze swawoli
Mówiłam rzeczy których nie zrobię;
Być nie kochanym—jakże to boli!
Ja chcę być zawsze podobną tobie."

LXXIV.

KOŚCIANNY DZIADEK.

Antoś i Władzio, dwaj bracia rodzeni,
Byli posłuszni, porządni, roztropni,
Z nauczycielem zawsze ugrzecznieni,
Pilni do pracy, do nauk pochopni;
Lecz mieli wadę i to oba jedną:
Czasem wśród zabaw w zbytniej wesołości,
Ujrzawszy dziada albo babę biedną,
Szydzili z lat ich zgrzybiałej starości.
Guwerner za to strofował ich bardzo;
Bo być wesołym każdy może w miarę,
Lecz kiedy dzieci staruszkami gardzą,
To grzech, co ściąga zawsze Boską karę.
Przyrzekli więcej nie czynić już tego,
I dosyć długo grzecznie się bawili

Pomnąc na słowo — lecz razu pewnego
Bardzo nieładnie sobie postąpili.
Wlókł się dziad drogą, stary i zgarbiony,
Chudy, że mógłby kości zliczyć swoje,
Z trzęsącą głową, wyżółkły, skrzywiony,
O torbie, kiju i zgięty we dwoje;
Ledwie ujrzeli chłopcy starowinę,
Antoś się śmieje, pomaga mu Władek,
I krzyczą oba: „Patrz jaką ma minę,
Jaki zabawny ten kościanny dziadek!"
Słysząc to Ojciec nie dał napomnienia,
Gdyż chciał naukę na później zachować;
Wkrótce też nadszedł dzień jego imienia,
I oba chłopcy przyszli mu winszować:
— „Życzymy Ojcu szczęścia pomyślności,
„Niech w długie lata żyje zdrowo sobie"...
— „Dzieci, nie życzcie mi wcale starości,
Przerwie, „lecz raczej, bym prędzej legł w grobie.
Czyliż mi na to żyć długo na świecie,
By młodzi starca mieli poniewierać?
By nad mym wiekiem pastwiło się dziecię...
O stokroć razy lepiej jest umierać!"
Zamilkł, a chłopcy do żywego tknięci,
Szczerą łzą skruchy razem zapłakali;
I cel nauki został im w pamięci,
Gdyż odtąd starców zawsze szanowali.

LXXV.

KONIK.

Raz Wacuś od swojej Matki,
Otrzymał w darze konika:
Konik był to nader rzadki,
Choć nie żywy zda się bryka:
Patrzą na cię szklanne oczy,
Nóżki zgrabne, sierć prawdziwa,
Lada chwila, myślisz skoczy:
Co za ogon! jaka grzywa!
Rad z podarku Wacuś mały,
Wieczór, z rana, w każdej dobie,
Bez ustanku przez dzień cały,
Jeździ na koniku sobie.
Gdy się bawi upominkiem,
Zjechała gości drużyna:
Była tam i pani z synkiem,
Tychże lat co nasz chłopczyna.
—„Patrz", rzekł Wacuś: „jam śczęśliwy",
„Jak pięknego mam konika".
A Jaś na to, „On nie bryka,
On nie chodzi, on nie żywy!
I cóż to za konik taki,
Co wciąż stoi w kącie sali?

To wypchane w skórę kłaki,
Tem się bawią tylko... mali.
Gdybyś widział mego konia,
Co mi Tata dał przed rokiem,
On przez pola, on przez błonia,
Pędzi sobie chyżym skokiem.
Zwraca się na me żądanie,
Strzyże wzrokiem, kręci główką;
A gdy krzyknę prrrr. — to stanie
Bijąc o ziemię podkówką.
„Ale jemu na obiadek,
„Trza obroczku!" — Cóż to wadzi?
Są i żłobki na wypadek,
Tam koniki się prowadzi!"
Odjechali goście z domu,
Wacuś jakieś minki stroi,
Płacze w kątku pokryjomu,
A konik sam sobie stoi.
Mama pyta; — „Czemu szlochasz,
„I konika już nie kochasz?"
„Bo nie taki jak Jasiowy,
Który sam skacze przez rowy."
Tamten skacze całe lato,
Lecz i chłopczyk z niego zleci;
Ten wciąż stoi, ale za to
On nie zrzuca grzecznych dzieci"
Jeszcze to mówiła Mama,
Gdy ktoś na ratunek woła:

Na podwórzu, tam gdzie brama
Cisną się ludzie do koła.
Cóż powiecie? to Jaś mały
Spadł z konika tuż przy drodze.
Biedak krwią oblany cały.
Jakże jęczy, cierpi srodze...
Długo biedny Jaś nie wstawał,
Długo nie opuszczał łóżka,
A choć przeszło czasu kawał,
Dotąd wciąż go boli nóżka.
Więc widzicie moje dziatki,
Jakie mogą być przypadki,
Kiedy chłopczyk się nie boi
Robić, co starszym przystoi.

LXXVI.

BAJECZKI NIANI.

— „Był to sobie król aż miło,
Miał pałac co złotem świeci,
I trzech synów przy nim było:
Dwóch rozumnych, głupi trzeci...
— „Dość już nianiu porzuć baje,
Słyszałem historyę twoją:
Głupi rozumnym się staje,
A zaś mądrzy głupstwa broją;

Nie ma sensu za trzy grosze,
Nudne, aż słuchać nie miło,
Lepiej cię nianiu poproszę
Mów coś coby mnie bawiło.
— „A co panicz słyszeć żąda?
Może o księżniczce młodej,
Co z okien wieży wygląda
Czy jej kto nie da swobody?
Może co o babie jędzy,
O olbrzymie jak był dzieckiem,
Może o złocistej przędzy,
Może o djable weneckim?"
— „Ani jedno, ani drugie:
Wszystko mi to dobrze znane,
Wszystko nudne, wszystko długie,
A co gorsza że skłamane.
Mów o drucie, tym za rzeką
Co służy ludziom w rozmowie:
Ktoś tam słowo rzekł daleko,
A już znają je w Piotrkowie.
Jakże ten drut gadać może
Gdy bez buzi, i nie żywy?"
— „Cóż ja powiem miły Boże,
Że to dziwy—istne dziwy!"
— „A więc mów mi jak to z góry
Spada piorun, pali miasta;
Przecież wiem że mokre chmury,
Zkądże tam ogień wyrasta?"

— „Ah paniczu, nie nam przecie
Grzesznym ludziom taka praca;
Bóg jedynie wie na świecie,
Co się tam w niebie obraca."
— „No to bądźże tak łaskawą,
Mów, gdzie znaleść ziemi końce:
Czy daleko za Warszawą,
Czy tam gdzie się chowa słońce?
Czy z tąd dojdę o swej sile,
Czyli też zabolą nogi?..."
— „Nie wiem, mil rachują ile,
Lecz być musi kawał drogi."
— „Nie chcesz mówić. . Chodźno Tato,
Ja tej niani nie rozumiem,
Spytam o co, ona na to:
Nie wiem, nie znam, lub nie umiem"
— „Cóż chcesz wiedzieć?" —„O, nie dużo:
Jak po drucie słowo lata,
Zkąd się piorun bierze z burzą,
Czy daleko koniec świata?"
— „Z zapytaniem twoim raczej,
Przyjdź do Ojca w każdej porze;
Niania ci nie wytłumaczy..."
— „A dla czego?" — „Bo nie może."
— „Jak nie może — ona tyle
Różnych bajek umie składać,
Czyż nie lepiej choć na chwilę
O czem mądrem opowiadać?"

— „Prawda. każdy tego zdania,
Ona sama to rozumie;
Gdy nie odpowiada niania,
To dla tego że nie umie."
— „Taka stara, że w ostatek
Już i nogi jej nie służą:
Przecież kto ma tyle latek,
To też musi umieć dużo."
— „O nie lata drogi Synu
Człowiekowi rozum dadzą,
Ale życie pracy, czynu,
Życie nauk jest tą władzą.
Kto z lat młodych był prostakiem,
Nie wykształcił się w rozumie,
Ten na zawsze już jest takim,
I choć stary nic nie umie.
Ucz się więc dopókiś młody,
Aby gdy wyrośniesz w lata,
Gdy dostaniesz wąsów, brody,
Nie miał z ciebie wstydu Tata.

LXXVII.

STRASZEK.

Bywają dzieci, — ja sam takie znałem,
Których rozrywką, których szczęściem całem,

Nastraszyć drugich a udawać straszka;
Wierzcie, to zawsze nie mądra igraszka.
Jaś miał tę wadę;—ledwie się ściemniało,
On albo węglem namazał twarz całą,
Albo też brodę z konopi przyprawił,
I tak przebrany wieczorem się bawił.
Gdy szedł do kuchni, lub przez korytarze
Gdzie była służba, to dziewki, kucharze,
Chłopcy, lokaje, wszyscy uciekali,
Bo choć panicza odrazu poznali,
Przez grzeczność, by się udała igraszka,
Niby strwożeni, stronili od straszka;
On, myśląc że się naprawdę go boją,
Powtarzał często tę zabawę swoją.
Raz, pragnąc jeszcze więcej strachu sprawić,
Miasto się mazać, lub brodę przyprawić,
Wypróżnił dynię, a gdy była pusta
Wyrznął w niej oczy, nos, uszy i usta,
Wewnątrz oświecił, przywiązał do kija,
I mrucząc zwolna, korytarze mija.
Strasznie nań spojrzeć: cały skryty w bieli,
Jak duch co powstał z śmiertelnej pościeli,
Wznosząc na kiju wykrojoną głowę,
Kroczy i jęki wydaje grobowe.
Tego dnia jeszcze przed godziną może,
Przyjęli dziewkę do służby we dworze:
Była to bardzo niemądra dziewucha,
Strachów się bała i wierzyła w ducha,

A nigdy w głowie biednej nie postało,
By paniczowi przebierać się chciało.
Oprócz niej w kuchni nie było nikogo,
Myje rądelki, gdy w kącie złowrogo:
„Brrr!” coś zaryczy — „Co tam... o dla Boga:
Jakieś straszydło stanęło u proga!...
Wszelki duch!..” krzyknie, na stronę odskoczy,
I rądlem ciśnie potworowi w oczy.
Ah! jakże boli! jak piecze! jak parzy!
Świeczka Jasiowi przylgnęła do twarzy...
„Ratujcie!” woła, i pada jak długi.
Przybiega Mama, przybiegają sługi,
Cucą, smarują, i kładą do łóżka:
Nos jak kartofel, a twarz jak poduszka,
Włoski spalone, poparzone rączki,
Co więcej, Jasio dostaje gorączki;
Biedną też Magdę nie opuszcza trwoga,
Sądzi że upior wciąż stoi u proga...
A co tam w domu biegania, rejwachu:
Jaś chory z rany, a Magda ze strachu.

LXXVIII.

W Ą C H A Ł A.

Franuś się w narów dziwaczny wdrożył,
Zwyczaj u zwierząt bardzo ceniony:
Żadnego kąska w buzię nie włożył,
Nim nie obwąchał go na wsze strony;
Ale co robi kotka Filusia,
W czem się Azorek winien sposobić,
Bardzo nie dobre jest u Franusia,
Bo on nie piesek żeby to robić.
Zwierzątko wącha co mu podają,
Gdyż ono chęci dawcy nie zgadnie,
Nie wie co pięknie a co nie ładnie,
I jakie ludzie zamiary mają;
Lecz pewnie Franuś wie dobrze o tem
Że ani Mama ani też Tato
Nie mogą dziecka pochwalić za to:
Bo jakże chwalić co jest nicpotem?
Wieleż to razy nieszczęsnym losem,
Chłopczyk wąchając różne potrawy
Całą swą buzię zawalał sosem,
I stał się celem śmiechów, zabawy;
Wieleż to razy za stołem w sali
Poplamił sobie sukienkę całą,

Tak że go wszyscy goście nazwali
W skutku nałogu: „Panem Wąchałą".
Wszystko mu jedno że się zeń śmieją,
On w złym nałogu wciąż się sposobi;
I choć się sosy po brodzie leją,
Choć nos zwalany — on swoje robi.
„Czekaj Franusiu, kiedyś już taki,"
Pomyśli Tata patrząc na synka,
„Poznasz jak pachnie ta leguminka;"
I wraz do ryżu sypie tabaki.
„Cynamon"!.. chłopiec do siebie powie,
Wącha, i proszek w nosek mu wlata,
Swidruje, wierci.. „a cich! na zdrowie!"
Kichnął, jak gdyby kto trzasnął z bata.
Kicha wciąż kicha, szkło w oknach brzęczy,
Śmieje się Tata z kampaniją całą:
„Cóż synku," spyta, „kichanie męczy...
Czyż chcesz pozostać jeszcze Wąchałą?"

LXXIX.

SEN MARA, BÓG WIARA.

Bolcia przysmaczki wszelkie lubiła:
Cukry, pierniczki, figi jabłuszka,



Przestroga. (do str. 68).

Że źle po polsku wyraża się niemiec
Toć nic dziwnego bo on cudzoziemiec,
Lecz ty co drugich omyłki rozumiesz
I szydzisz z innych sam mówić nie umiesz;

Tak że gdy spać się kładła do łóżka
O różnych dobrych rzeczach marzyła.
Kto o czem roi w wieczorny mroczek,
Wraz marzeń w główkę wchodzi rój cały;
Nie dziw, że Bolcia z zmrużeniem oczek
Widziała we śnie różne specyały.
Sniła częstokroć że w rączce miała
Sliczne jabłuszko z wonią tak miłą,
Które pieściła albo wąchała:
Budzi się, szuka—już go nie było.
Drugim znów razem karmelek trzyma,
Taki wyborny, taki smaczniutki;
Chrupie go zwolna — ah jak słodziutki:
Otwiera oczki — karmelka niema!
I myśli Bolcia: trzeba mi śmiało
Przytrzymać rączką co widzę we śnie,
Aby się u mnie zbudzonej wcześnie
Senne widziadło w dłoni zostało.
Śpi smacznie, kołdra w skórkę ją muszcze
A jej wraz śni się że w rączce gruszki,
Więc ściska mocno drobne paluszki,
I szepcze z cicha: „oj oj, nie puszczę!"
„Czego nie puścisz?" Mama zagadnie;
„Gruszeczkę którą śpiąc widzę w dłoni:
Ah taki miewam apetyt do niej,
A gdy się zbudzę ona przepadnie."
„Dobrze że wszystko mówisz przed Mamą,
Lecz brać za prawdę senne widziadło

To tak, jak gdybyś patrząc w zwierciadło
Postać swą wzięła za siebie samą,
Cześć naszem godłem, Bóg naszą wiarą,
To zaś co znami żyje na ziemi
Znać tylko można zmysłami swemi:
A sen kochanko — niczem jak marą!

LXXX.

NIEDORZECZNA WYMÓWKA.

—„Mama nie może we wszystko wglądać,
Pamiętać gdzie są Zosiulki rzeczy;
Bo Mama tyle ma na swej pieczy,
Że niepodobna i tego żądać.
Zosiulka winna pomnić czy mufkę
Schowała w szafkę, kufer, lub stolik,
Wiedzieć gdzie chustka, gdzie parasolik,
Gdyż Bozia na to dał Zosi główkę.
Ale Zosiulka nic nie wie o tem,
Zbyt późno stratę swoją spostrzega,
A potem w koło jak myszka biega,
I trapi Mamę próżnym kłopotem."
— „Ja Mamo myślę wciąż o porządku,
Lecz moje graty dla pustej psoty
Niby żyjące jakie istoty,
Wkażdym się sali chowają kątku.

Wczoraj choć lalką byłam zajętą
Pomnę, włożyłam trzewik na taras;
On by mi dopiec hyc pod piec zaraz,
I z tąd dziurawą śmieje się piętą!
Dzisiaj wracając do swego kątka
Me rękawiczki na stolik kładę,
A one wkrótce myk w tę szufladę
I tam wciąż siedzą niby trusiątka.
Wszystko ucieka jakby na drwiny
I w ślepą babkę gra ze mną społem,
Kryje się w łóżkach, szafach, pod stołem,
A ja wciąż szukam całe godziny."
— „Trzewiczki, szarfy, szale, chusteczki,
Nie mają główek żeby myślały,
Nie mają nóżek żeby biegały,
Jeżeli giną — wina Zosieczki.
Zosia powinna swe rzeczy chować,
Wiedzieć że wszyscy wykrętem gardzą;
Gdyż być niedbałą nie ładnie bardzo,
Gorzej, wymówką błędy maskować."

LXXXI.

ZŁY PRZYKŁAD.

(Rozmowa Matki z Synem.)

Syn.

Mamo, ja wciąż nie mogę siedzieć nad książkami,
Ja będę krzyczał i tupał nóżkami
Jak Adaś robi.

Matka.

Krzycz sobie do woli
Ale od krzyku gardło cię zaboli;
Będziesz chorował.

Syn.

Adaś nie choruje,
A przecież tyle krzyczy, dokazuje.

Matka.

Adaś zły chłopiec

Syn.

on chociaż co zbroi
To się niczego na świecie nie boi;
Wsadzą do ciemnej komórki go czasem,
To on tam wchodzi z śmiechem i hałasem.
On jest odważny, i ja chcę być taki;
Każdemu dam się porządnie we znaki:
Będę jak Adaś.

Matka.

Zkąd cię chętka bierze
Być dziś niegrzecznym: gdyś mówił pacierze
Wczoraj wieczorem, zawsześ Bozi błagał
By cię swą łaską we wszystkiem wspomagał,
Dał dobroć, cnotę...

S y n.

Wczoraj widzi Mama
Jam jeszcze nie znał małego Adama;
O! chwat jest z niego! — jabym pragnął wiedzieć
Czy zdołam w ciemnej komórce wysiedzieć
Bez strachu....

Matka.

Chcesz zmartwienia Matki,
Dobrze, martw. Ja nie mam do zamknięcia klatki
Na nieposłuszne i niegrzeczne dzieci,
Będę czekała aż czas cię oświeci.

S y n.

A gdy zostanę już takim?

Matka.

To wstyd cię ohydzi.

S y n.

Jaki wstyd? Adaś nigdy się nie wstydzi.

Matka.

Ale się Matka za niego rumieni;
Wczoraj wieczorem kiedym wyszła z sieni
I w progu domu stanęła — przechodnie
Mówili głośno: jakże to niegodnie

Gdy Matka dziecku rozpusty dozwala...
I wszyscy biedną omijali zdala,
Chceszże by mnie to nieszczęsną spotkało?

Syn.

O nie Mateczko, mnie się tylko zdało...
Ja nie myślałem...

Matka.

Wiedz że na tym świecie
Winią rodziców gdy błądzi ich dziecię.

Syn.

Mamo ja niechcę ażebyś przezemnie
Miała się wstydzić przed ludźmi daremnie;
Ja się strzedz będę i krzyków i złości....
Co do Adasia... kwita z znajomości!

LXXXII.

SMUTNE DZIECIĘ.

Ah jak się bawią dziateczki,
Jakże wesoło igrają:
Dziewczynki stroją laleczki,
Chłopczyki piłkę rzucają;
Wszystko rozkosznym wre szałem
Wśród krzyków, śmiechów i wrzawy,

A ja na boku zostałem,
Wspólnej nie dzielę zabawy.
Dla czego? możem zawinił
I dał pokutę mi Tato,
Możem co złego uczynił
A teraz cierpieć trza za to?
O jam nie zbłądził ni trocha
Znam powinności swych drogę,
Tata mnie szczerze wciąż kocha
Ale się bawić nie mogę.

Dawniej siostrzyczkę ja miałem
Dobrą, milutką i cudną,
I tak ją bardzo kochałem
Że mi wyrazić to trudno.
Gdy drobną stąpała nóżką
Jam wodził, wspierał, strzegł biedną,
Dla mnie jej biło serduszko:
Żyliśmy dwoje jak jedno.
Przyszła choroba. Z pościeli
Już nie powstała ma droga,
I aniołkowie ją wzięli
Tam gdzieś... wysoko... do Boga,
Odtąd choć Tata mnie pieści
Choć razem ze mną łzy roni,
Ja w ciężkiej, niemej boleści
Czas trawię, tęskniąc wciąż do niej.

Gdy innych ogarną szały
Ja patrzę w górę przed siebie,
I myślę ciągle o małej
Siostrzyczce, która jest w niebie.

LXXXIII.

CHMURKI.

Na niebie chmureczki płyną
Sinawe, żółte, srebrzyste,
I z każdą chwilą, godziną,
Zmieniają kształty swe mgliste.
Tu sęp olbrzymi ulata
Skrzydła rozpostarł szeroko
Zda się kryć niemi pół świata.
Zaledwie zmierzy go oko;
Minęła chwilka a skrzydła
Bezsilnie na dół mu zwisły,
I z ogromnego straszydła
Baszty i wieże wytrysły.
Tam miasto, tu znów domeczek,
Tam drzew się wiążą konary;
Tu stado białych owieczek
Biegnie przez nieba obszary.

Chmury, chmureczki śnieżyste,
Czemu wy w górze, wysoko,
Mienicie kształty swe mgliste
W złudy, co mamią me oko?
Niech która chmurka z błękitu
Zsunie się do mnie pod nogi,
Ja na nią siądę — i szczytu
Sięgnę gwiaździstych nieb drogi.
Popłynę sobie na chmurze
Przed lśniący złotem tron Pana:
Bo tam wysoko, na górze,
Czeka mnie Matka kochana!

LXXXIV.

ANIOŁ STRÓŻ.

Ah jakże piękny ten aniołeczek,
Ten stróż pielgrzymki człowieczej,
Którego zesłał Bóg w swojej pieczy
By grzecznych bronił dziateczek.
Trudno nie kochać aniołka tego:
On taki jasny w swej szacie czystej,
Taki bielutki, taki przejrzysty,
Że każdy rad, lgnie do niego.

On senne główki do snu wam skłania,
Staje się dla was światełkiem w cieniach,
I białem skrzydłem w nocnych marzeniach
Złe myśli od was odgania.
Z pierwszym ocknięciem już aniołeczek
Oddalił od was nęcący grzeszek:
On się uśmiecha, chcąc by uśmieszek
Zakwitł wśród waszych usteczek.
Tyś jemu winna drobna dziecino
Ojca uznanie, Matki pieszczoty:
On umie wstrzymać w chwili zgryzoty
Łzy, które z oczek twych płyną.
Jego to darem radość doznana,
Pogoda myśli, spojrzenie czyste,
Modre oczęta, włoski złociste,
I buzia twoja rumiana.
Pod swoje skrzydła wszystkie dzieciny
On chroni w równej miłości społem;
Dla wszystkich on jest stróżem aniołem,
Wszystkie osłania rodziny.
Czy u pałaców złotych podwoi,
Czyli też u wrót chatki spróchniałych,
Strzegąc czystości dziateczek małych,
On niestrudzony wciąż stoi.
On cios odwraca w chwili napaści,
Wznosi, umacnia, pokrzepia ludzi:
On dobroczynną przestrogą budzi
Śpiących na brzegu przepaści.

Tysiące skarbów sieje swą dłonią
Na ten świat Boży. Pod jego tchnieniem
Rosnące drzewa wabią was cieniem,
A kwiaty barwą i wonią.
W szale igraszek za wami w tropy
Biegnąc, upadek dziatek przeczuwa,
I cichuteńko w stronę usuwa
Drobny kamyczek z pod stopy.
On was dobrego darzy pojęciem,
Uczy jak wady przemieniać w cnoty;
Przez niego ten co słynął z sromoty,
Grzecznem zostaje dziecięciem.
Więc wam dobremi dzieci być trzeba
I nie popadać w zdrożności winy.
Aby aniołek ten stróż jedyny
Nie ubiegł od was do nieba.

LXXXV.

JA NIECHCĘ BYĆ DUŻĄ!

Ja taką zostanę — ja niechcę być dużą!
Ja pragnę by zwali mnie zawsze koteczką,
Bo na cóż mi rosnąć kochana Mateczko
Gdy starszym dziecinne zabawy nie służą?

Dziś kiedym wesoła to biegam i skaczę,
Gotuję obiadek, rozmawiam z lalkami,
A jak mam zmartwienie to w kątku popłaczę.
I nikt się nie dziwi nad memi łezkami.
Urosnę, to wszystko od razu przepadnie,
Bo duża panienka nie może swawolić;
Trza chodzić na pensyję, z książką się mozolić,
I mówić nie wolno chyba kto zagadnie.
Dziś latam jak motyl, i fruwam jak ptaszek,
I kury, kurczęta, pod swoją mam władzą;
A potem mnie za stół przy gościach posadzą,
Zabronią zabawy, rozrywek, igraszek.
„Panienka tak duża powinna mieć statek:
Nie tobie bieganie, motylki, ptaszęta,
Siedź skromnie na stołku i spuszczaj oczęta,
Pamiętaj że kończysz piętnaście już latek."
Ja nie chcę wciąż siedzić zlęknioną, nieśmiałą,
Jak siedzi Henrysia pod bony swej okiem,
Ja nie chcę poważnym przechadzać się krokiem
Jak moja siostrzyczka—ja wolę być małą!
Czyż mi tak nie dobrze?.. Dziś wszystko dla [Broni:
Pieszczoty, całusy... gdy lata upłyną
Nie jeden z tych gości co igrał z dzieciną,
Zaledwie z daleka panience się skłoni.
Na brzeżku krzesełka poważnie usiądzie,
Niby przy dorosłej – a kiedy wesoła
Do kotka i myszki zaproszę go koła,

To z wzrosłą panienką grać pewnie nie będzie
I mówić mi zacznie jak mówią do dużej:
O deszczu, pogodzie, lub sprawach na świecie,
Gdziem była na balu, co piszą w gazecie,
A w końcu zapyta czy zdrowie mi służy.

Ah jakże to nudno nie skakać, nie śpiewać,
Bez troski; o jutro w weselu, swobodzie,
Nie stroić laleczek, nie biegać w ogrodzie,
Lecz siedzieć przy gościach, i drzemać lub zie-
[wać.
Nie dla mnie powaga dorosłej panienki:
Te nudne rozmowy, te sztywne ukłony,
Te wszystkie grzeczności, te bale, salony,
I loczki zwijane, i długie sukienki.
Niech starszym panienkom rozrywki te służą,
Ja wolę żyć sobie wśród miłych igraszek:
Mnie ogród i gaik, mnie kwiatek i ptaszek,
Ja taką zostanę — ja niechcę być dużą!

LXXXVI.

DO MOJEJ CÓRKI.

Są kwiateczki małe
Którym wiatr korony

Rozwieje w wsze strony,
Zwarzą szrony białe.

Są malutkie ptaszki
Bez siły, bez skrzydeł,
Co nie ujdą sideł,
Ni losów igraszki.

Są dziatki — sieroty,
Które bez opieki
Dążąc w świat daleki
Schodzą z drogi cnoty.

Bądź dla kwiatków rosą,
Słońcem co promieni:
A kwiatki w jesieni
Owoc ci przyniosą.

Bądź ptaszkom zbawieniem,
Opieką radosną:
A ptaszki gdy wzrosną
Nagrodzą cię pieniem.

Bądź dla małych dziatek
Wsparciem i osłodą,
A Bóg cię nagrodą
Obdarzy w czci matek.

LXXXVII.

NAIWNA HELENKA.

Tata chcąc spocząć po prac licznych znoju
Usnął na łóżku — a Staś i Helenka
Byli wraz z Mamą w sypialnym pokoju
Siedząc cichutko około okienka.
Wtem wezwą o coś do śpiżarni Mamę
A ona mówi: „zostaniecie same,
Proszę więc grzecznie, skromnie się zachować,
Nie robić krzyków, i nie hałasować,
Ażeby Taty nie zbudzić hałasem.
Odeszła, dzieci bawią się tymczasem
Cicho i ładnie, ale chłopcu nudno:
Jemu na miejscu wciąż siedzieć jest trudno,
Nuż więc do piłki, szabelki, konika...
Krzyczy, rozprawia i tupie i krzyka.
— „Ucisz się Stasiu!" — „Nie mogę," powiada:
Biczyk sam trzaska, buzia sama gada,
A nóżki same tupią po podłodze,"
Helenka widząc że nic na tej drodze
Z upartym chłopcem uczynić nie zdoła,
Ciągnąc Ojczulka za rękaw zawoła:
— „Tato, każ zaraz Stasiowi w tej porze
By tak nie krzyczał, bo cię zbudzić może!"

LXXXVIII.

DZIESIĘĆ GROSZY.

Jaś jako ptaszkowie leśni
Nie gardził nigdy uciechą,
Nucił wesoło wciąż pieśni
A pieśniom wtórzyło echo;
Lecz Jaś choć żywy i zwinny
Książki się nigdy nie wzdragał,
Był pilny, grzeczny, uczynny,
I biednych zawsze wspomagał.
Co dzień mu droga Mateczka
W dłoń nową dziesiątkę kładła,
Aby mógł kupić ciasteczka
Kiedy chęć przyjdzie do jadła;
Ale on niechciał nic zgoła,
Ni cukrów, ciastek ni gruszek,
Bo tam około kościoła
Stał biedny, ślepy staruszek.
Idąc do klasy Jaś drogą
Starcowi dziesiątkę dawał,
A starzec słysząc pieśń błogą
Po głosie Jasia poznawał.
I tak już przywykł dziad stary
Do tej piosenki, ofiary,

Że dnia każdego co rano
Czekał za piosnką kochaną,
I za dziesiątką. Raz wreszcie,
Jasio wędrując po mieście
Ujrzał w przekupki straganie
Takie prześliczne jabłuszka,
Że kiedy popatrzył na nie,
Zapomniał swego staruszka.
Kupił, zjadł — idzie powoli,
A tam pod kruchtą kościoła
Dziadek płaczliwie wciąż woła:
„Wesprzyjcie starca w niedoli!
Jam biedny, ślepy, schorzały
Z kalectwa walczę niemocą;
Dla mnie jest mrokiem świat cały,
Dla mnie dzień jasny jest nocą."
Zesmutniał chłopczyk. Wśród czoła
Jakiś posępny siadł mroczek,
Zamilkła piosnka wesoła,
I łezka zwisła u oczek;
I szedł powoli, nieśmiało,
Stąpając trwożnie wśród ciszy:
Jemu się zawsze zdawało
Że dziadek chód jego słyszy...

Dla czegoż pytam ta zmiana,
Przecież on w niczem nie zbłądził?

Dała grosz Mama kochana
By nim do woli rozrządził,
Dla czego? bo kto pieniądze
Na marne rozkosze traci,
To może nasycić żądze,
Lecz długu bliźnim nie spłaci.
Przyjemność zmysłów lub ciała
Z znikomą chwilką przeminie,
Rozkosz prawdziwa i stała,
Z serca wypływa jedynie.

LXXXIX.

MÓJ PIESEK.

Ja mam pieseczka, zwą go Azorem:
On mnie tak kocha ten drogi!
Gdy się do łóżka kładę wieczorem
Zawsze się ściele pod nogi;
A niech co ruszy się choć zdaleka
Niech no kto kluczem zadzwoni,
On strzyże uszkiem, warczy i szczeka,
I od wypadków mnie broni.
Gdy czytam, piszę, albo rysuję,
On zawsze obok mnie siedzi:

A w jego mądrem oku ja czuję
Blask, który myśl moją śledzi.
Wyrzekłem słowo, i nagle w ciszy
Jakiś szmer uszów dolata;
To on, znać dając że głos mój słyszy,
Kitą podłogę zamiata.
Zburczę, połaję, on wnet pokorny
Waruje, u nóg się wlecze
Jak gdyby mówił: byłem niesforny,
Ukarz — lecz przebacz człowiecze.
I zawsze gotów na me skinienie,
Zgaduje myśl mą swym wzrokiem:
Prawem dla niego każde zachcenie
A każdy rozkaz wyrokiem.
Ma on i wady — a jedna wada
Bardzo jest brzydka i zdrożna:
Gdy tylko ujrzy na drodze dziada,
To go utrzymać nie można;
Rzuca się, złości, warczy i szczeka,
Sierść mu na grzbiecie się jeży:
Próżno mu mówię: biednego człeka
Kochać, nie kąsać należy.
Lecz on już taki, a zapomina
Że sam się prosić nie leni:
Jedzą, to skomleć zaraz zaczyna
I wącha zapach pieczeni.
Ah to nie pięknie, mój piesku mały
Warczyć na dziada że łaknie,

Gdy ty za kością śledzisz dzień cały,
Choć ci niczego nie braknie.
Słuchaj Azorku — memi słowami,
Pragnę ci rady dać różne:
Słuchasz, no dobrze... strzyżesz uszkami,
Więc lekcyje moje nie próżne.
Ja chcę dla piesków byś był przykładem,
Grzeczny, i w miarę wesoły,
Byś się nie pastwił nad biednym dziadem,
Nie szarpał żyda za poły,
Nie patrzał ciągle co w gębę kładą,
Nie chwytał kąsków łapczywie;
Obżarstwo także brzydką jest wadą,
Nie ładnie kto jie tak chciwie.
Chociaż do pieszczot jesteś stworzony,
Zbyt sobie wiele pozwalasz,
Zwłaszcza gdyś brudny i zabłocony,
Często sukienkę mi walasz;
Gdy kto przychodzi, ząbki wyszczerzasz
Warczysz z pod stołu na niego:
Takim postępkiem gościom ubliżasz,
A i mnie martwisz do tego.
Na przywitanie gościa potrzeba
Kiwnąć ogonkiem choć trocha,
On za to poda kromeczkę chleba,
Grzecznego pieska pokocha.
Patrzcie!.. przychodzi, i rękę liże
Jakby za lekcyje dziękował:

Ja wiem, ty rady dane ci szczerze,
Będziesz w pamięci swej chował.

LXL.

KOŃ DOROŻKARSKI.

Ah dorożkarzu, nie bądź zwierząt katem,
Nie bij konika, bo to bardzo boli!
On nie chce słuchać, wciąż okłada batem,
Lecz za cóż bije? — bo idzie powoli.
Widzisz że konik już się zmęczył drogą,
Chce być posłusznym a biegnąć nie może:
Za cóż więc cierpi taką karę srogą?..
Nie słucha, bije... tak bardzo.. mój Boże!...
A ten jegomość co zajął dorożkę,
Krzyczy: jedź prędzej popędzaj człapaki;
Jemu konika nie żal ani troszkę,
Oh gdyby poczuł on nie byłby taki!
Jam poznał siwka; jeszcze był źrebięciem
U Taty. Z ręki jadł obrok podany,
Bawił się ze mną malutkiem chłopięciem,
Przez wszystkich w domu pieszczony, kochany;
Lecz Tata zbiedniał, musiał siwka sprzedać,
Co u nas było płaczu, krzyku, żali!

Żyd wszedł do stajni — chciałem mu go niedać,
Zapłacił, zabrał, i pojechał dalej.
Dwa lata przeszło—ja tęskniłem po nim,
Teraz znów z siwkiem wypadek mnie styka;
O pójdziem prędzej dorożkę dogonim
Powiem: weź pieniądz, lecz nie bij konika!
Patrz jak się tłoczą... cóż to się tam dzieje?
Ścisk ludzi — jeden drugiego popycha...
Eh! nic wielkiego! ktoś z tłumu zaśmieje:
Koń dorożkarski na ulicy zdycha!
Boże! to siwek!... padł na stos kamieni
Ustały, drżący, zbity, zamęczony,
A ten pan tłusty ze złości się pieni:
„Masz tobie! Obiad straciłem proszony!"
Ah! mnie to biedne poznało stworzenie,
Patrz! wznosi główkę i wyciąga szyję,
Jeszcze ostatnie przesyła spojrzenie,
Zastrzygł uszkami, zadrgał... już nie żyje!

LXLI.

ICEK W LESIE.

Żydzi jak wiecie nie bywają czasem
Nazbyt odważni. Szedł raz Icek lasem,

Noc była ciemna, on się strasznie boi,
W tem mu się zdaje, że coś przed nim stoi,
Niby to człowiek przyzwoitej tuszy:
Stoi przy drodze i ani się ruszy.
„Kto tam?" zawoła, „bo tu żartów nie ma,
„Ja będę krzyczał że mnie złodziej trzyma;
„Przyjdą żandarmy!" ale próżno gada:
Postać wciąż stoi, nic nie odpowiada.
Źle zostać—uciec, rozbójnik dogoni:
Wybladły strachem Icek zębem dzwoni,
Lecz że należał do przemyślnych osób
Na rozbójnika wnet wynalazł sposób.
Wziął w rękę czapkę, a śmiały natchnieniem,
Tak się odezwie: „Z wielkiem przeproszeniem
Dopókim dobry, idź wasan w swą drogę,
Bo ja dalibóg rozgniewać się mogę.
Nas dwóch tu stoi—dwa strzały wypadnie,
Zabijem na śmierć, i będzie nie ładnie"..
Figura milczy—przechodzą godziny
Cicho—wiatr tylko szumi wśród leszczyny;
Ale fantazyja nie opuszcza Icka
Przypomniał sobie iż jest jeszcze mycka,
A ona dobrze może być użyta.
W jedną dłoń myckę, w drugą czapkę chwyta
I jak drogoskaz w środku drogi staje:
„Wasan nie gada, Wasanu się zdaje
Że nas dwóch tylko? nie, nas trzech tu stoi,
Auf meine munes! żaden się nie boi.

Każdego znają jak wielkiego zucha.
Trzy kule razem wpakujem do brzucha!"
Znowu milczenie—Żydek w strasznej trwodze,
Bo ten ktoś jak stał, tak stoi przy drodze;
I już upłynął spory kawał czasu
A on się ciągle obawia wyjść z lasu.
Wreszcie blask dzienny zaświtał na niebie
Przeciera oczy, spogląda przed siebie,
O dziwy! z światłem znikł ten urok cały:
Przed nim nie zbójca—lecz stał pień spróch-
[niały!

Często cię trwoży jaki przedmiot błachy
Zbadaj go bliżej, a wnet pierzchną strachy.

LXLII.

ECHO.

Broniś wciąż mieszkał w Warszawie
Nie znał wiejskich przyjemności,
Gdy wujaszek go łaskawie
Wziął ze sobą do swych włości;
Wszystko go tam zajmowało;
Pola, lasy, łąki, drzewa,

Gaj z gromadką ptaszków całą
Z których każdy pieśni śpiewa,
I fujarka, i pastuszek,
I niw złotych bujne plony,
I sad pełen śliwek, gruszek,
I kobierzec łąk zielony.
Używając mile czasu
Chciał nowych rozrywek szukać,
Pobiegł więc zmrokiem do lasu
I tam może sobie hukać;
Ledwo huknął a już w lesie
Echo głośno odpowiada:
Niby dźwięki różne niesie,
Niby woła, niby gada.
— On się zdumiał nie znał echa:
„Kto ty?" przerwie zapytaniem,
Lecz tu nowa dlań pociecha:
—„Kto ty?" echo krzyknie za nim.
„Lecz to ja pytanie daje,
Więc odpowiedz!" słucha, czeka,
A echo przez knieje, gaje:
„Powiedz!" krzyknie mu zdaleka.
„Głupiś!" woła w uniesieniu,
„Głupiś!" echo mu powtórzy,
A on w gniewie, zapomnieniu,
Wymyśla mu coraz dłużej;
I wciąż słyszy to co powie
Gdyż głos idzie swoją drogą,

Ach! on żartownisia złowi:
Szuka w lesie... tam nikogo.
Nierad ze swoich igraszek
Wraca smutny, rozżalony:
„Cóż ci to?" spyta wujaszek
„Żeś dziś taki zasępiony?"
—„Ach wujaszku, prosto bieda:
Jakiś chłopiec skrył się w gaje,
Słowa nawet wyrzec nie da
Jak ja łaję, tak on łaje.
—„To jest echo moje dziecię
Ono każdy wyraz niesie,
Dzieje się to zwykle w świecie
Między ludźmi jak i w lesie.
Kto się z grzecznością wyraża
Grzeczną odpowiedź dostaje,
Kto w mowie ludzi obraża
Tego każdy w zamian łaje.
Niech więc Broniś grzecznym będzie
Gdy chce miłość zyskać sobie,
Bo od dawna mówią wszędzie:
Jak ty światu, tak świat tobie.

LXLIII.

PROŚBA PTASZKA.

Ja wam śpiewam moje dziatki,
Nie zamknijcie mnie do klatki,
Nie odejmujcie swobody:
Gaju, lasku, czystej wody,
Pól złocistych, łąk zieleni,
Lasu, nieba i przestrzeni.
Czyż wam miło gdy więziony
Kwilę płacząc w tęskne tony?
Dajcie wolność a ja z wiosną
Pieśń zanucę wam radosną,
Pieśń tak błogą, tak wesołą,
Że się rozraduje w koło,
Cały piękny Boży światek,
I gromadka drobnych dziat ek.
A witając was piosenką
Ja przyfrunę pod okienko,
Wyproszę chleba kruszynę
By nakarmić mą rodzinę
Co zalega me gniazdeczko
Oczekując na ziarneczko.
Potem wzlecę tak wysoko
Że mnie nie doścignie oko,

Po nad lasy, po nad chmury,
Chyżo wzbiję się do góry,
I w niebie Bozi poproszę
By wam dał szczęście, rozkosze,
Bratnią miłość, zdrowie, cnotę,
Do nauk szczerą ochotę:
Błagam was tylko o dziatki
Nie zamknijcie mnie do klatki!

LXLIV.

ZAPAŁKI.

Nie trzeba z ogniem igrać miłe dziatki
Mówią ojcowie, powtarzają matki,
Uczy guwerner, zaleca wujaszek,
Boć przecież tyle jest różnych igraszek.
Helenka świecy znalazłszy kawałek
A przy niej spore pudełko zapałek,
Nuże się bawić: raz świece pogasną,
Potem trzask! znowu w pokoju jest jasno;
Zdmuchnęła ogień: znów dokoła ciemnie
Trzask! znowu światło... ach jak to przyjemnie!
Igra Helenka, a w tem iskra prysła
I w samym środku pudełka zawisła.

Płoną zapałki — ona na wpół żywa
Ze strachu, rączką zapałki przykrywa,
Pragnie je zgasić — ah! jakże ból wielki:
Rączka sparzona, na rączce bąbelki.
Krzyk — biegną wszyscy, ale trudna rada,
Boli okropnie, ratować wypada;
Smarują maścią, przykładają zioła,
Ale to wszystko nie pomaga zgoła,
Cierpienie jeszcze bardziej się zwiększyło;
A co tam płaczu, co tam krzyku było!
Przez cały tydzień Helenka cierpiała,
I do niczego ochoty nie miała,
Nawet i teraz rączka wciąż ją boli:
Takie to skutki bywają swawoli!

LXLV.

ZABAWA Z BŁOTEM.

Znałem małego chłopczyka
Co nad wózek, nad konika,
Nad żołnierzy, nad piłeczkę,
Nawet nad piękną książeczkę,
Lubił chodzić po za wrota
I tam bawić się wśród błota.

Z niego lepił słupy, góry,
Domki, chatki, wieże, mury,
I choć bawił się spokojnie,
Cicho, grzecznie i przystojnie,
Choć nie hałasował wcale,
Ja go za to nie pochwalę.
A dla czego? bo nic potem:
Gdy się dziecko bawi błotem,
Zbrudzi rączki, zwala suknie,
Przytem Mama go ofuknie,
A gdy mu zamoknie nóżka
Nie ma rady — marsz do łóżka!
Do lekarstwa, do rumianku...
Dobrze ci tak mój kochanku:
Należało wiedzieć o tem,
Że źle, kto się bawi błotem.

LXLVI.

KOTEK NAUCZYCIELEM.

Guwerner zadał dla Jasia pisanie,
Siada Jaś pragnąc wypełnić zadanie:
I sadzi pałki rozlicznej struktury
Koślawe, krzywe — ta sterczy do góry,

Ta znów się chyli jakby upaść miała,
Trzecia ogromna, a czwarta zaś mała.
Pisze i pisze aż w końcu znudzony
Poszedł się bawić, nie dokończył strony.
Siedział tam kotek — psotnik to był wielki
I lubił płatać czasami figielki,
A więc hyc na stół jednym susem wskoczył
Rozlał atrament, łapkę swą zamoczył,
I na papierze czarnemi pazurki
Wypisał różne dziwaczne figurki.
Wkrótce Jaś wraca, kajet w rękę bierze
I woła z płaczem: „Panie Guwernerze,
Ktoś drwiąc napisał tu różne zygzaki:
Jakżebym pragnął wiedzieć kto to taki"
„To kotek Jasiu — on cię chciał nauczyć
By się wśród lekcyi po kątach nie włóczyć,
By cenić więcej pracę niż zabawę,
By pisać laski proste nie koślawe;
I gdyś porzucił zadaną robotę,
Kotek za karę wyrządził ci psotę,
A gdy nie poznasz się z nauki celem
On odtąd będzie twym nauczycielem."
„O chcę pracować: „Jaś ze łzami powie!
Ja będę pisał — kot niech myszki łowi.

LXLVII.

JASKÓŁECZKA.

Jaskółeczka mała
Wciąż się przeglądała
W czystym wód krysztale,
A probując skrzydeł
Podstępowi sideł
Nie strzegła się wcale,
I tak lotem skorem
Nad stawem, jeziorem
Wciąż zakręca kółka,
Aż w sidła popadnie
Zastawione zdradnie
Zalotna jaskółka.

Los ów jaskółeczki
Pomnijcie dzieweczki:
Strzeżcie się zwierciadła;
Bo panienka płocha
Co lusterko kocha
Nieraz w sieci wpadła.

LXLVIII.

FAŁSZYWY WSTYD.

„Wczoraj przechodząc zawołałem Mani,
Mania zaś idzie i nie zważa na to:"
„A bo z Ojczulkiem była jakaś pani."
— „No i cóż z tego?" „Wstyd mi było Tato."
— „Czegoż się wstydzić?" „Bo niosłam ze strugi
Wiaderko z wodą, a to rzecz nie miła."
— „Czemu?" „Od tego są zwyczajnie sługi,
Wstyd by panienka wiaderka nosiła."
— „O moja córko, pan Bóg dał do trudu
Ręce każdemu człowiekowi w świecie,
Czy on potomek jest biednego ludu,
Czyli też książąt możnowładnych dziecię.
Na tem porządek światów się obraca,
Ten jest cel ludzi w każdej życia chwili;
Gdyby nie wszystkim daną była praca
Toby próżniacy bez rąk się rodzili.
Wstydzić się może panna która składa
Na sługi każdy trud zbyt uciążliwy;
Gdy zaś co robić samemu wypada,
A z tem się kryjem — to jest wstyd fałszywy!

LXLIX.

JAK SIĘ NAJLEPIEJ BAWIĆ?

Ze wszystkich zabaw, powiedział raz Jerzy
Najlepiej dzieciom bawić się w żołnierzy,
A ja rzekł Władyś, myślę, dla chłopczyka
Najmilej zawsze bawić się w konika;
Ja powie Zosia, przekładam laleczkę,
Ja, doda Mania, z bajkami książeczkę...
Dzieci, słyszycie cztery różne zdania:
Kto ma gust dobry?—Ja myślę że Mania.

C.

BABUNIA.

Jak ona was kocha, babunia ta droga,
Jak myśli swych wnucząt malutkich zgaduje,
Jak codzień się modli o los wasz do Boga,
Jak pieści, jak darzy, jak ściska, całuje!

Wasz uśmiech dziecięcy jest dla niej promie-
Co wzbudza do życia gasnące jej siły; [niem
W widoku gier waszych odżywa wspomnieniem
I czerpie rozkosze na brzegach mogiły.

Jak promień ogniska w krew ciała stygnącą
Rozlewa swem ciepłem moc dawniej nie znaną,
Tak wasze serduszka miłością gorącą
Skrzepiają w lat krańcu babunię kochaną.

W jej oczach jest słodycz, w jej dłoni pieszczo-
[ta,
W jej sercu się krzewią wszech uczuć skarbnice,
W jej duszy jaśnieje szlachetność i cnota,
A uśmiech pogodny rozjaśnia jej lice.

O córko ma droga, tyś matki nie znała,
Przy twojej kolebce grób powstał—lecz ona
Najpierwszą, najświętszą pieszczotę ci dała,
I drobną sierotę tuliła do łona!

O gdybym ja mógł mieć w swej chatce was obie
Gdy hydra sromoty stanęła u proga,
Niezaznał bym cierpień, ujrzawszy przy sobie
Obronę, w dwóch bytach zesłaną od Boga.

Kochajcie więc zawsze babunię dziateczki,
A kiedy śmierć przerwie dni pasma jej wątek,
Niech wasze wspomnienia jak złote niteczki
Oplotą tę postać w skarbnicę pamiątek.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

DWAJ TERMINATOROWIE.

(Powiastka.)

Pan Maciej Dęboradzki, szewc z Piwnej ulicy
Był sobie taki majster co się zwie nie lada,
Warsztat jego zasłynął w całej okolicy,
Każdy przytem w nim cenił dobrego sąsiada.
I ludzie go kochali, i odbyt miał wielki,
Ćma narodu doń lgnęła jak pszczoły do ula;
Bywało, po botynki, albo pantofelki
Zajechała do sklepu nie jedna damula,
Bywało że nie jeden elegant z Miodowej
Sam przybywał lakierki modne obstalować,
A nigdy marudziarstwem nie zaprzątał głowy,
Gdyż nie było zwyczaju w sklepie się targować.
Pan Majster w ryzie czeladź przy warsztacie cho-
[wał,
Nie pozwalał im pastwić się nad biedną dziatwą,

W razie braku rygoru nie politykował,
Lecz zwalił w łeb pocięglem, lub pogłaskał dratwą;
Kiedy wszedł do warsztatu jakby zasiał makiem,
I żaden ani mru mru, tak się majstra bali,
Lecz widocznie pan Maciej nie był strasznym takim,
Bo i czeladź i chłopcy, wszyscy go kochali.
A w terminie u niego dwóch różnej natury
Znajdowało sie chłopców: Piotruś i Ignacy,
Pierwszy dratwy smarował, albo klepał skóry,
Drugi zaś myślał tylko by się ustrzedz pracy,
Kiedy Piotruś się uczy jak obówie łatać,
Jak zelówki urządzać, jak podeszwy zbijać,
Ignacy tylko pragnie za posyłką latać
By wysłany na miasto mógł tam bąki zbijać,
A co on przy posyłkach zwykle dokazywał
Na wołowej by tego nie wypisał skórze:
Wiódł wojnę z przekupkami, budników wyzywał,
I dziadów niepokoił pod kruchtą przy murze.
Dwa razy siedział w ciupie, i coś z reszty dostał,
A kiedy go stójkowy do majstra odstawił
Pan Maciej Dęboradzki porządnie go schłostał,
I pocięglem na zydlu drugą łaźnię sprawił.
Lecz to nic nie pomogło, on wciąż fach swój hy-
[dził
A gdy znów wkrótce potem coś w warsztacie zwę-
[dził,
Majster, który choć dobry łajdactwem się brzydził,
Wziął urwisa za uszy i z domu wypędził.

Trzy lata od tej chwili minęło z okładem,
Piotra już wyzwolili i był czeladnikiem:
Pilny, trzeźwy, pozostał dla wszystkich przykładem,
A majster go swym pierwszym zrobił pomocnikiem.
Raz obadwa, w niedzielę było to kwietniową,
Korzystając ze słońca ciepłego promienia,
Opatrzeni koszykiem wiktu przez Majstrową
Na saską popłynęli kępę dla wytchnienia.
Pan Maciej który w kręgle nabył wielkiej wprawy,
I miał obok zręczności, szczęście nadzwyczajne
Poszedł, w partyję się w pisał, zawinął rękawy,
A wkrótce było słychać okrzyk: „alle neune!"
Piotr kazał dać cienkusza, zasiadł za stolikiem
I patrzał jak się bawią ludziska w około,
A choć się w tej kompanij nie znajomił z nikiem
Przecież wytchnąć po pracy było mu wesoło.
Gdy tak siedzi i patrzy na rozliczne dziwy
Przybliża się do niego jakiś człowiek młody,
A był to co się zowie elegant prawdziwy,
Wystrojony na urząd, wedle nowej mody:
Kapelusz miał na bakier, pąsową kokardę,
Zielone rękawiczki, ubior jak z żurnala,
Na wszystkie strony rzucał spojrzenie swe harde,
I cały pachniał wodą lewandową zdala.
„Jak się masz szewcze?" woła: „snadź że ciągle [biedzisz
Nad smołą i nad dratwą — licho z życiem takiem,

Ot i teraz jak ciura nad cienkuszem siedzisz;
Chodź ze mną, wypijem ponczyku z arakiem."
„Ja się w trunki nie bawię — lecz aspan kto taki?"
Zapyta Piotr. — „Jak widzę zapomniałeś w pracy,
O czasie gdyśmy oba u Majstra w chłopaki
Postąpili na termin — wszakcim pan Ignacy!
Lecz teraz jam nie głupi ślęczyć tam daremnie
Na zydlu, z szydłem w ręku—tfy, podłe rzemiosło!
Przypatrz się tylko trochę jaki galant ze mnie,
Jak lala! a i grosza w kieszeni narosło.
Wiesz co? tyś dobry chłopak — ja dam radę tobie,
Rzuć dratwę, rzuć pocięgiel — boć cóż szewc jest
[proszę?
Szewcem i niczem więcej — tymczasem jam sobie
Pan, i to całą gębą — boć z pańska się noszę."
„Nie hydź kunsztu, czy słyszysz? bo mnie łapa
[swędzi...
To szczęście że twej mowy nie usłyszał Majster:
On nigdy, z przeproszeniem, ręki swej nie szczędzi,
A gdy przyjdzie smarować, to zbije na klajster.
Miasto próżnych przechwałek, powiedz lepiej szcze-
[rze
Co robisz, gdzie pracujesz, jakim żyjesz fachem,
Boć przecię, na ten przykład, nigdy nie uwierzę
Byś za darmo się takim wygalancił gachem."
Ignacy spojrzy w koło swojem okiem kosem
I wyszepnie po cichu:" Co robię, to robię:

Nikomu nie dam wjeżdżać w me sprawy z swym
[nosem,
Mam pieniądze i kwita—jestem panem sobie."
„Odczep się od kompanij, i idź w swoję drogę,
Ze mną się, pókim dobry, nie zadawaj proszę,"
Rzecze Piotr gronźym tonem: „ja trzymać nie mo-
[gę
Za jedno z tym co niechce wyznać zkąd ma grosze."
Gdy to mówi pan Majster cienistą drożyną
Idzie ku nim. Ignacy który dotąd śmiele
Rozprawiał, i czupurną chciał nadstawić miną
Jak nie pyszny czmych zaraz między karuzele;
On oka majstrowego bał się jak zarazy,
Gdyż wiedział, że to oko bystre choć poczciwe
Rozezna różne sztuki nie raz, lecz sto razy,
Czy lisy farbowane czyli też prawdziwe.
Zaraz też wieczór nastał, i Piotr z pryncypałem
Powrócili do domu po Wiśle, na łódce,
I gawędy nie było o zajściu tem całem;
A Ignacy?.. oh o nim Piotr zapomniał wkrótce.

Pięć lat jeszcze minęło, a pięć lat nie chwile:
Ważne też w losach zaszły czeladnika zmiany,
Został majstrem, a pracą zarobił już tyle
Że swój warsztat otworzył w całem mieście znany.
Wszystko mu w tym warsztacie szło jakoby z płat-
[ka,
Miał czeladź pilną, trzeźwą, liczne obstalunki,

Bo w rzemiośle pomyslność nie jest rzecz tak rzad-
[ka,
Gdy obce łobuzowstwo, wagusy, i trunki.
Pan Maciej co za niego swą córkę wyswatał
Bywał u nich, i szczęściem młodych się lubował,
A mawiał: „Czy pamiętasz jakeś buty łatał
Wmym warsztacie, lub dziegciem dratewkę smaro-
[wał?"
I śmiali się wesoło nad czasy dawnemi,
I byli wszyscy w zgodzie jak jedna rodzina;
Bo Bóg nasz daje szczęście prawdziwe na ziemi
Każdemu „kto uczciwie żyć nie zapomina.
A Ignacy" spytacie: „co się z nim też stało?"
Przykro dzieci wam mówić o niecnym chłopaku:
Długo ludzką żył krzywdą i złe się wydało,
Dziś czekając Syberyj — siedzi na Pawiaku.

II.

MAŁA ŻEBRACZKA.

Czy lato, czy zima, czy słońce, czy słota,
Ja głodna i bosa, w podartym łachmanie,
Włoczę się za Mamą wśród mrozu, wśród bło-
Gdzie chodzą bogaci panowie i panie; [ta,

I rączkę wyciągam, i wołam ze łzami:
„O dajcie choć grosik na strawę na życie!"
A Mama powtarza: „Litości nad nami,
Bóg wam tę jałmużnę odpłaci sowicie."
Nie jeden nie spojrzy i zniknie gdzieś w tłu-
Nie jeden ofuknie, odepchnie spłakaną, [mie,
I powie: „tak mała a żebrać już umie;
Pfe, wstydź się włóczęgo—zaczynasz zbyt ra-
[no."
Lecz nam to powszednie, więc idziem wciąż da-
Toczą się karety, mijają przechodnie. [lej;
A w oknach u kupców co sukien, co szali,
A panie ubrane tak pięknie, tak modnie!
Gdym głodna, a bardzo, to czasem tak zrobię,
Że pójdę gdzie jedzą, skryję się za ścianę;
Gdy samej nie można, to spojrzę choć sobie,
Jak drugim smakują potrawy nieznane.
Wciąż slinkę połykam, gdy patrzę się na to
Jak jedzą łakocie z uśmiechem wesołym,
I myślę: O gdybym ja była bogatą,
To wciążbym siedziała przy jadle za stołem.
Pamiętam, panowie spostrzegli raz biedną,
A jedli w cukierni i pili do tego,
I rzucił pan piękny ciasteczko mi jedno:
Ja nigdy ciasteczka nie jadłam takiego!
Więc chwytam łapczywie--w tem wyżeł wysko-
I porwał przysmaczek, i uciekł do sali, [czy:

„O ciastko, wziął ciastko!...” zakryłam swe oczy,
I rzewnie płakałam—a oni się śmiali.
Raz znowu panienka śliczniuchna mych latek,
Stanęła, i ciągnie za rękę swą nianię:
„Tej biednej dziewczynce potrzebny jest datek,
„Bo ona ma takie nie ładne ubranie.”
Lecz niania zawoła: powalasz sukienkę,
„Czy można z żebraczką zadawać się lichą;”
I wzięła za rękę sliczniuchną panienkę ..
O długo dnia tego płakałem, ja cicho!
Raz widząc jak bawią z lalkami się dzieci,
Jak z niemi gadają, jak pięknie je stroją,
Znalazłszy rzucony gałganek wśród śmieci,
Zachciałam z gałganka laleczkę mieć swoją.
Zrobiłam jak mogłam: z pręcika rączęta,
Z patyków dwie nóżki, z bibuły główeczkę,
Okryłam to wszystko strzępeczką podjętą,
I miałam choć brudną, lecz własną laleczkę.
Na krótko, bo Mama porwała ją w szmatki;
„Żebraczki się nigdy nie bawią lalkami,
Grosza nam nikt nie da, gdy ujrzy dostatki:
Płacz!...” ja też rzewnemi zalałam się łzami.
Czasami gdy słońce wesoło świeciło
Gdy ptaszki śpiewały w Krasińskich ogrodzie,
To mnie się na sercu tak raźnie zrobiło,
Żem była wesołą, nie pomnąc o głodzie.
„I czegóż się śmiejesz: czyś sytą, szczęśliwą,
Czy suknią ci jedwab', czy łóżkiem ci pierze?

Chcesz by nikt nic nie dał... płacz zaraz a ży-
[wo!"
I ja też płakałem — Bóg widzi że szczerze...
A gdy się grosika nie wiele zebrało,
Gdy chleba nie było chociażby malutko,
To mi się noc całą tak bardzo jeść chciało,
Że choć nikt nie kazał, płakałem cichutko.
„I czegoż tam szlochasz? u ciebie łez mało,
A jutro ich braknie w potrzebnej godzinie..."
„O pozwól Mateczko popłakać noc całą,
A łezka gdy każesz, znów jutro popłynie."

III.

RÓJ PSZCZÓŁ.

Jest społeczeństwo żyjące swym trudem,
Silne jednością, zamożne w dostatki,
A nad tą gminą, niby drobnym ludem
Jedyna władza—władza wspólnej matki.
Tam praca bywa zawsze nagradzaną,
Wstrętne próżniactwo karanem okrutnie;
Tam robotnica nosi święte miano,
Tam życiem płacą podłość swoją trutnie,

Ów mały światek w tyle cnot bogaty,
Tak zgodny, piękny: to rój pszczół skrzy-
[dlaty.
Zrana zaledwie świt rozjaśnił zorze
A już robotnic tysiące, miliony,
Falując lekko w pól bujnych przestworze,
Leci plon zbierać na wsze świata strony.
Z pączka na pączek i z kwiatka na kwiatek,
Bujają brzęcząc w przestrzeni barwistej,
A mak i stokroć, róża i bławatek,
Dają im z siebie pierwiastek przeczysty,
Gdyż w pyłkach kwiecia, ostrożne na
[zdrady,
Zbierają słodycz omijając jady.
Brzemienne łupem skarbnicy kwiatowej
Który starannie z kielichów zebrały,
Wracają pszczółki do strzechy domowej
Niosąc ze sobą plon trudów nie mały;
A lot ich ciężki. — siadają co chwila
Na źdźble traweczki lub listku zieleni:
Nie im zrozumieć płochego motyla
Co nie pracując buja wśród przestrzeni,
Nie im co w pracy pędzą życie twarde
Pojąć do czynu bezmyślną pogardę,
A grono innych buduje już składy
Przeróżne skrytki, gmach wielki, bogaty:
Tam będą zbiory zimowe gromady,
Tam będą piękne pracownic komnaty,



Rycerz. (do str. 79).

Owce w nogi, więc zwycięztwem
Swym rozgrzany, z rzadkiem męztwem
Wzniosłszy szabelkę do góry
Pędzi gęsi, kaczki, kury,

Rzędy tych komnat proste, symetryczne,
Dzieląc mieszkania przejrzystemi mury
Łączą się z sobą w galeryje rozliczne,
I tworzą pałac wspaniałej struktury.
Tam każda celka podobna do drugiej:
Tam służbą pany, a panami sługi.
Niosąc ze sobą zapasy zebrane
Pszczółki na chwilę z ciężarem zawisną,
A przyleciawszy przed drewnianą ścianę
Ula—przez wązki otworek się wcisną;
I tam przebywszy woskowane schody
Do przeznaczonych zmierzają spiżarek,
Ażeby złożyć wyborowe miody
W wnętrzu w tym celu zbudowanych miarek.
Kto spełnił miarkę używa swobody,
Kto mało przyniósł odlata w ogrody.
Kiedy zaś ulom grozi przeludnienie,
Królowa-matka do gromady powie:
„Niech nową gminę młode pokolenie
Idzie, na starej budować osnowie!"
I młodzież tłumnie w świat Boży wytryśnie
Dążąc w obranej przewodniczki ślady,
Chwilę na drzewie swym rojem zawiśnie
A potem świeże zakłada osady;
I jak w koloniach nowe wstają miasta,
Krzewią się ludy—tak rój z roju wzrasta.
Nie wszyscy jednak pracą zdobią życie,
Są w świecie dzikie i złowieszcze hordy

Które marnując dni w próżniackim bycie,
Chcą cudze dobro zdobywać przez mordy.
Srogich szerszeni hufce niezliczone
Spadają z brzękiem na spokojne roje,
Wre bój zawzięty, a pszczółki skrzywdzone
Walczą o przyszłość i rodziny swoje;
Czasem najezdcy powracają z łupem,
Częściej walk pole licznem ścielą trupem.

I człowiek także nie syty podbojów,
Ufny w swe siły i władzę nad światem,
Wśród zbezwładnionych gęstym dymem rojów
Dzieli się mieniem pracownic bogatem;
Lecz kiedy grabił słodycze miodowe
Tknięty ostatnią iskierką litości
Nie wziął wszystkiego, zostawił połowę,
By biednych pszczółek nie zgubić przyszłości:
A niestrudzeni w swych znojach biedacy
Biorą się znowu usilnie do pracy.

I wciąż pracują: silne, niestrudzone,
Choć szerszeń gnębi, człek korzyści szuka,
Choć szumią burze dokoła szalone,
One pracują bo w pracy nauka;
Bo w pracy szczęście, radość i pociecha...
A choć czasami los im niedopisze
To wnet się do nich nadzieja uśmiecha
Dając byt życia i spokoju cisze.

Dzieci, pomyślcie—czyliż nam dla chleba
Na wzór tych pszczółek pracować nie
[trzeba?

IV.

PAJĄK I MUCHA.

Muszka w sieć wpadła, w tem z kąta komnaty
Zbliża się potwór obrzydły, kudłaty,
Wyciąga z wolna długie swoje nogi
By biedną pożreć: „Pająku złowrogi!
„Dla czego," „woła," chcesz dręczyć daremnie,
Dla czego pragniesz krew wysysać ze mnie,
Wszakżem ci nigdy nie wchodziła w drogę ?"
„Żalić się mucho na ciebie nie mogę,"
Odpowie pająk, „a jeźli zaduszę
To tylko z głodu—bo i ja żyć muszę."

To samo często dzieje się na świecie:
Lichwiarz jak pająk zastawia swe siecie,
Niedoświadczonych okrąża swą matnią
By wyssać z ofiar kroplę krwi ostatnią,
A gdy kto spyta czemu zgubę niesie
Powie: „żyć trzeba—a mnie wciąż jeść chce się!"

V.

OSADY DLA MAŁOLETNICH PRZESTĘPCÓW

(Rozmowa Ojca z Synem.)

S y n

Wczoraj pan Jerzy mówił mojej matce
O jakieś nowej dla przestępców składce.

Ojciec.

No i cóż z tego?

S y n.

zrozumieć nie mogę
Na jaką ludzkość wstąpiła dziś drogę;
Dość gdy już winnym daruje się karę
Lecz złych nagradzać, to przechodzi miarę.

Ojciec

Któż o nagrodzie występku powiada?

S y n.

Jakaż więc Ojcze jest składek zasada?

Ojciec

Chcąc czego słuchać, trzeba słuchać pilnie
Wtedy się prawdę pojmie nieomylnie;
Nie idzie o to by złych ludzi wspierać,
Lecz by dla małych przestępców otwierać
Osady.

Syn.

i tego także nie pojmuję;
Dobrego kocham, nad złym się lituję,
Ale daleko mam większą ochotę
Niźli występek, podtrzymywać cnotę.

Ojciec

Synu, pamiętasz gdy wczoraj o chłodzie
Poszedłem z tobą przejść się po ogrodzie,
I gdy minąwszy aleję lipową
Wstąpiłem w młodą szkółkę owocową?

Syn.

Pomnę, lecz nie wiem jaki z tym przedmiotem
Może mieć związek...

Ojciec.

pomówimy o tem.
Otóż widziałeś jak ogrodnik dbały
O wzrost swych roślin, rzęd ich przeszedł cały:
Jedne prostował, wyginał, podpierał,
Na drugie ledwie z niechcenia spozierał.

Syn.

Tak, bo te drugie szczęśliwszej natury
Same się prosto wznosiły do góry;
Rosną jak trzeba, więc nikt się nie trudzi
By je podpierać...

Ojciec.

to bywa u ludzi
Co widzisz w drzewkach. Dziecko jak roślina
Na wszystkie strony z wiatrem się ugina,

Przez złe przykłady jak przez wicher prądki
Krzewią się w dzieciach dobrego początki;
Młode przyjmują żądany kierunek,
Gdy pień stwardnieje już późny ratunek.

Syn.

Więc krzywe szczepy?

Ojciec.

to tłumy złych dzieci.

Syn.

A wszelką zmianę...

Ojciec.

opieka w nich wznieci.

Syn.

Ta zaś opieka są owe osady
Gdzie czeka praca...

Ojciec.

i dobre przykłady.

Syn.

Teraz już wszystko dokładnie pojmuję:
Kiedy ogrodnik każdy szczep prostuje
Miasto pozwolić by w złą wzrastał stronę;
Czyż społeczeństwo dzieci opuszczone
Może wystawić na próby złowieszcze,
I nie poprawić dopóki czas jeszcze?

Ojciec.

Oto myśl właśnie tych osad tworzenia:
Myśl piękna, wzniosła, godna uwielbienia.

O! bo nie dosyć jest występek karać,
Nagradzać cnotę—potrzeba się starać
By najmniej złego istniało na świecie,
A kto zbłąkane wyprowadzi dziecię
Na dobrą drogę, więcej dobra czyni
Niż ten co zdrożnych po niewczasie wini.
Wszak Chrystus wyrzekł w swej świętej nauce:
„Ja dziewięćdziesiąt dziewięć owiec rzucę,
I przez pustynie, przez pola, przez łany,
Pójdę wyszukać owieczki zbłąkanéj!”

VI

ANIOŁ STRÓŻ.

Kiedym jeszcze był dziecięciem,
Jakaś postać piękna, cudna,
Niby mara snów ułudna
Stawała nad niemowlęciem.
Niezbadana, nieujęta,
Wkażdej chwili przy mnie była,
I uśmiechem mnie darzyła
Takim błogim, takim świętym!
Kiedym wzrastał: krok za krokiem,
Dniem i nocą, zawsze ona
Nieustała, niestrudzona,

Szła cudownym lśniąc urokiem.
A gdy stałem się zazdrosnym
Względem brata lub bliźniego,
Gdym im nie dał serca swego
To jej uśmiech był żałosnym,
To tak na mnie spoglądała
Jakby w twarzy jej niebieskiej
Z ocz, bolesne trysły łezki,
Jakby o mnie płakać chciała.
Raz w szałości niepojętej
Strofowany o złe czyny
Miasto przyznać się do winy
Jam się wyparł prawdy świętej;
Spojrzałem na postać białą,
Ah! ona swą twarz zakryła
I ode-mnie odwróciła.
Jakby wstyd ją przejął całą!
Ten widok mą hardość złamał;
Wraz uczułem smutku tyle,
Żem pamiętny na tę chwilę
Nigdy odtąd już nie skłamał.
Ale za to gdym do Pana
Podniósł myśl co wiarą płonie,
I w modlitwie splótł swe dłonie
I padł kornie na kolana,
Światło jasne, promieniste,
Okoliło postać błogą,

I odkupień biegło drogą
Niosąc moje myśli czyste.

O Aniele, stróżu święty,
Towarzyszu lat dziecinnych,
Szafarzu łask dobroczynnych
W swej opiece niepojęty.
Broń mnie zawsze w złej potrzebie,
Wybaw przed grzechem obrzydłym,
Zastaw białem swojem skrzydłem,
I dań łaski wyżebrz w niebie!

VII

SZCZEKANIE PSÓW.

(z Rossyjskiego: Krylowa.)

Dwaj przyjaciele szli sobie drogą
Nie zaczepiając mową nikogo,
Ani też krzywdy czyniąc nikomu,
Gdy w tem z za węgła blizkiego domu,
Rozżarty brytan ku nim podleci,
A za nim biegnie drugi i trzeci;
Wkrótce psy całą wypadną zgrają
I wszystkie wściekle na nich szczekają.
Podróżny kamień podnosi z ziemi

Lecz drugi rzecze: nieskończysz z niemi
Gdy zechcesz drzaźnić, zapewniam ciebie
Najlepiej iść nam prosto przed siebie
Niezajmując się tym psiem hałasem.
Tak też zrobili —kundle tymczasem
Zmilkły, a potem zgiąwszy ogony
Wszystkie się w różne rozbiegły strony.

U ludzi, dzieje się nie inaczej;
Często zawistne tłumy krzykaczy
Napadną człeka zgrają złowrogą,
Ale najlepiej iść prostą drogą
I nie chwytając nigdy fortelu
Dążyć wciąż naprzód ku swemu celu,
A tłum krzykami swemi znudzony
Milcząc, rozbiegnie się w różne strony.

VIII
WIOSNA ŻYCIA.

„Czytałem w książce rzecz niezrozumiałą
O wiośnie życia— powiedz mi mój tato
Czyż to być może aby życie miało
Wiosnę lub jesień, zimę albo lato?"
—„To jest przenośnia, synu mój kochany,

Wiosna to młodość, jak rolnik w tej porze
Obsiewa ziarnem pól zoranych łany,
Tak człek plon nauk przyjąć wtedy może;
Gdy zaś wiek młody bezczynnie zmarnował
Puste zostawił wiedzy swojej niwy,
Gdy nic na zimę życia nie zachował,
To dni starości będą dlań straszliwe.
Przyjdzie chłód, niemoc i siwizny szrony,
Zmartwiała mrozem nic nie wyda rola,
A nędzny starzec wiekiem zbezwładniony
Spojrzy ze smutkiem na bezpłodne pola;
Spojrzy, zapłacze—bo on w życia wiośnie
Kiedy mu szczęścia jaśniała jutrzenka,
Kiedy świat cały śmiał się doń radośnie,
Nie umiał pracy zachować ziarenka.
Gromadźcie zatem póki starczą siły
Zasób nauki z skarbnicy wszech świata,
Abyście z czasem nad brzegiem mogiły
Na zmarnowane nie płakali lata.

IX.

BUKIET.

W piękny dzień wiosny, porankiem o chłodzie
Gdy najładniejsze rozkwitały kwiatki,

Emilka z ciocią chodziła w ogrodzie
By zerwać bukiet na wiązanie matki.
Do białych lilij dorzucała róże,
Astr znalazł miejsce blizko tulipana,
Koło kamelij były malwy duże,
Rezeda z maki została zmieszana;
A gdy już dosyć kwiateczków narwały,
Zniosły w altankę skarb zbiorów swych cały.
Składają bukiet, ciocia wtedy rzecze:
— „Czy wiesz Emilko że z każdym tym kwiatem
Wiążą się wady i cnoty człowiecze,
Których kwiat niemy stał się emblematem."
— „Ja nie rozumiem." — „Wytłomaczę jasno:
Patrząc na kwiaty nie trzeba zapomnieć
Że one barwą i postawą własną
Mogą moralne strony uprzytomnić,
Wtedy ich kształty niby żywe słowo,
Wmyśl ludzką prawdę wdrażają na nowo.
Oto jest róża, królowa przyrody,
Z podziwem wszyscy spoglądają na nią;
Lecz choć jej wdziękiem chlubią się ogrody,
Pod cudnym kwiatem ma kolce co ranią.
I między ludźmi najpiękniejsza postać,
Która swą krasą hołd tłumów wyzywa,
Nie zdoła nigdy czystej cnocie sprostać
Kiedy w jej wnętrzu cierń ostry się skrywa.
Wdzięk, krasa, zapach, przeminą zbyt wcześnie:
Zostaną kolce i zranią boleśnie.

Oto lilijka, niby śnieżny płatek:
Obraz prostoty, wstydu, niewinności,
Patrząc z współczuciem na ten biały kwiatek
Pragniesz się w szatę ozdobić czystości.
Oto tulipan co w górę spoziera,
Co się od innych kwiateczków wyróżnia;
Jakiż fanfaron! on z dumą zadziera
Głowę, wśród której widnieje wciąż próżnia.
Ah! ileż w świecie tych niemądrych panów,
Co dmą się pychą nakształt tulipanów!
Oto fiołeczek tak zakryty trawy
Że trudno dojrzeć wdzięczną jego postać,
Ale ma zapach, więc pośród murawy
Wynajdą tego co w cieniu chce zostać;
Tak samo ludzi z pięknemi przymioty
Którzy się skromnie kryją przed oklaskiem,
Świat znajdzie w cieniu, oceni ich cnoty,
I opromieni świetnym sławy blaskiem.
Bo cnota w człeku jest jak zapach w kwiecie:
Dla niej uczczenie, dla niej hołd na świecie.
Oto słonecznik który gardzi cieniem,
Niechce spokoju i cichej mierności,
Lecz wciąż za złotym gwiazdy dnia promieniem
Idzie, by poić się światłem wielkości.
Wieluż to między ludźmi słoneczników
Co samoistną pogardziwszy pracą,
Przyjmując nazwę pańskich zauszników,
W służalczym stanie godność swoją tracą;

Każdy z nich cudzej jest sławy czcicielem:
Blask im przynętą, a złoto ich celem.
Ot digitalis z złowieszczemi znaki:
To zbrodnia która jadów swych nie skrywa,
Ot żółty narcyz, barwą swą jednaki:
To zazdrość która cudzej krzywdy wzywa,
Ot maki pełne. bogate w nasienie:
To obraz skrzętnych w zasób gospodarzy,
Ot i stokrotka — to miłe stworzenie
Które stem drobnych skarbów cię obdarzy.
I wszystkie kwiatki w ogrodach, na łące,
Stawiają ludziom przykładów tysiące.
Tak więc Emilko kiedy zbierasz kwiaty
Na bukiet, uznaj wartość ich istotną:
Więcej ceń wonie niż krasy szkarłaty,
Więcej zasługi niż piękność przelotną.
Bądź skromnym fiołkiem, lilijką bielutką
Nie ukłuj cierniem jak róża pieszczotka,
Stań się jak goździk pachnącą, milutką,
Miej sto przymiotów jak drobna stokrotka;
A wtedy w pięknym bukiecie twej matki
Nad wszystkie inne zajaśniejesz kwiatki.

X.

SIŁA PARY.

„Stacya Radomsk... pięć minut... wysiadać panowie!"
Wołają konduktorzy—ludzie ludzi gonią,
Para szumi i syczy: tu krzyczą, tam dzwonią,
Wszystko mieni się w oczach, wszystko mięsza w gło-
[wie.
W czasie tego zamętu, wśród zgiełku i krzyku,
Kiedy tłumy narodu w różne biegną strony
Boleś patrzy i milczy, a siedząc w kąciku
Zdaje się być tem wszystkiem co widzi zdziwiony,
— „O czem myślisz mój synku?" Ojciec go zapyta:
„Czy się lękasz?—„Nie tato, lękać się nie sposób,
Lecz myślę jak to może ta ciężka kareta
Tak sama, bez koników, ciągnąć tyle osób?"
— „Ona sama nie jedzie, para rusza koła."
— „Czyliż to podobna mój kochany tato
By para, którą oko ledwie dojrzeć zdoła,
Która niknie w przestrzeni miała siłę na to?"
— „Wszak widziałeś Bolesiu żelazne naczynie
Z grubą ciężką pokrywą, wodą napełnione,
Które stojąc przy ogniu w kuchni na kominie,
Jest do zagotowania zupki przeznaczone?

Otóż, kiedy się para z garnka wydobywa,
Przytłoczona ciężarem który ją przydusza,
To parta przez nią w górę wznosi się pokrywa
Lecz waga znów na miejsce powrócić ją zmusza.
Tak samo jest w maszynie co ciągnie wagony:
Tłok parą idzie w górę, ciężarem opada:
Ruch ciągły, jednostajny, równy, ustalony
Nadaje obrót kołom—ot cała zasada."
— „A jeźli pragną stanąć?"—„To znów maszyni-
[sta
Ten którego tam widzisz w skurzanym kaftanie,
Odkręci kurek: para zaszumi, pośwista
Tłok spocznie, ruch się przerwie, i wnet pociąg sta-
[nie."
— „I to człowiek wymyślił, musiał myślić dużo:
Cały tydzień, lub więcej nim to przysposobił?"
— „Bez nauk i rok myśląc nie wiele by zrobił,
Bo myśli ludziom ciemnym nie na wiele służą.
Trzeba się zatem uczyć kochany mój synu,
Teraz bowiem tyś dziecko i dość być ci grzecznym;
Rosnąc w człeka iść musisz drogą pracy, czynu
Stać się chlubą krajowi--ludziom pożytecznym!

XI.

MASZYNY.

Pewien agronom, dla korzyści syna
Jął pokazywać różne ulepszenia,
Jakie w ziemiaństwie sprawiła maszyna
Zmniejszając pracę ludzkiego ramienia.
Więc obchodzili kolejno sieczkarnie,
Tartaki wodne, i młyny na stawie,
Żniwiarki, tłocznie, parowe młockarnie,
A chłopczyk wszystko, oglądał ciekawie;
Wreszcie zawoła: „dla czego my skąpim
Trudu dla ręki—wszak trud jej zadaniem;
Jeźli rąk pracę maszyną zastąpim,
To czyż w sprzeczności z naturą nie staniem?"
Ojciec mu na to, miasto objaśnienia
Podał orzechów. Chrupał syn dowoli
Jeden za drugim, wreszcie od gryzienia
Twardych łupinek ząbek go zaboli.
„Nie trudź się więcej—ot drewniany dziadek:
Włóż, zakręć śrubkę, i pęknie łupinka;
Choć ząb od tego, lecz lepszy wypadek
Gdy go zastąpi ta mała maszynka."

XII.

LENIWIEC.

Między ludzi roboczych leniwiec się wmięszał:
W pracy on się ociągał, w jedzeniu pospieszał;
Siedli jeść—„Komu kasza"? gospodarz zapyta:
—„Mnie, mnie!" woła leniwiec, i już łyżkę chwyta;
Zmiotł wszystko do kruszynki—„A komu kapusta?
—„Mnie!" powtórzy, i pełne napakował usta.
—„ Komu teraz do cepa?" A już pewno nie mnie,
Trzeba się nam we wszystkiem wyręczać wzajemnie;
Dwa zadania jam spełnił, słuszność każe przecie
Aby inny z kolei załatwił to trzecie."

XIII.

STROJE.

Po jarmarku na Barnabę
Wdział Jan na się buty nowe,
W chustkę odział swoją babę,
Córkę w sznurki koralowe,
I tak siedzą wystrojeni:
Chłop lubuje się butami,

Baba chustką co czerwieni,
Córka brzęka koralami.
Za to w izbie kupy śmieci,
O jadle nie myślą wcale,
Bo któż ogień z nich roznieci
Gdy siedzą wszyscy jak lale?
„Zamieć izbę! „kmieć zagada
Patrząc na swe buty nowe,
„Zamieć izbę!” odpowiada
Baba, strojąc w chustkę głowę;
Zaraz, zaraz, wnet dodaje
Córka ciesząc się ozdobą,
Lecz nikt z miejsca nie powstaje,
Bo każdy zajęty sobą.
„Dajcie strawę, no, a żwawo!”
Woła chłop siedząc na skrzyni;
„Biegaj mi dziewko za strawą”
Wtoruje mu gospodyni,
„Zaraz, zaraz” mruknie na to
Córka, powtarzając swoje:
I tak ład się rozstał z chatą
Odkąd do niej weszły stroje.

XIV.

PIES I KOT.

W pewnym domu pies z kotem swarzy się i dąsa,
Idą skargi do pana jak na pośmiewisko:
— „Niegodziwiec! „kot miauczy," w nogi wciąż [mnie kąsa"
— „Po nosie, „pies zawyje," drapie mnie kocisko."
— „Zjadł pieczeń, sam widziałem jak ogryzał ko- [ści,"
— „Wypił mleko, ot jeszcze na wąsach ma biało."
— „Szczeka na mnie" — „Gdy idę aż burczy ze [złości."
— „Trudno znosić tak wiele." — „Zimnej krwi nie [stało."
„Dość tego, precz mi z oczów — ja was winię obu!"
Krzyknie pan rozgniewany; bo wiem dobrze o tem,
Że żadnego do zgody nie znajdę sposobu
Gdy raz wszczęła się kłótnia między psem i kotem.

XV.

DZIWNE KURCZĘ.

Było to latem w wieczornej porze,
Sadziła kurę na jajach baba;
Lecz u staruszki pamięć już słaba,
I widzić także nie wiele może.
Z początku wprawdzie jej się zdawało
Że jedno z jajek różne rozmiarem,
Lecz któżby zważał na rzecz tak małą
Która się ludziom przywidzi starym.
Siedzi na jajach kura poczciwa
Siedzi wśród kojca sobie wygodnie,
A gdy minęły cztery tygodnie
Pod skorupkami ruch się odbywa;
Każde kurczątko kruszy ostatek
Swojego z nowem życiem przedziału,
Wychyla z jajka główkę pomału,
I wnet na Boży wychodzi światek.
Biegają wszystkie żwawo, wesoło,
Rozradowane życiem swem młodem,
Albo też trwożnie przed wiatru chłodem,
Pod skrzydła matki chronią się w koło;
Lecz z ostatniego wyszło jajeczka
Kurczę nie takie żwawe i zwinne,

U niego znacznie grubsza łapeczka,
A dzióbek także szerszy jak inne.
Kiedy zaś chodzi pośród podwórka
To przestępuje z nogi na nogę:
„Dziwny mój synek!” pomyśli kurka,
„Lecz przez to mniej go kochać nie mogę.”

Pewnego razu, matka zajęta
Szukaniem strawy dla małych dziatek,
Prowadzi nad staw swoje pisklęta
Bo tam robaczków znajdzie dostatek.
Gdy ujrzał stawek nasz krótkonogi
Buch zaraz w wodę — kura w rozpaczy
Biega, i skrzydłem trzepocze z trwogi
Nie mogąc pojąć co ten szał znaczy;
Inne kurczątka wśród wrzawy, krzyku,
Wołają: „tonie braciszek mały!”
Drobny kogucik dotąd nieśmiały
Pierwszy raz zapiał swe kukuryku...
Wybieży baba: „co się tu stało,
Czemu tak gdacze zgraja skrzydlata?”
Przeciera oczy — istny cud świata:
Na wodzie pływa kurczątko śmiało!
„Ah pomnę teraz — grzech na mnie biedną;
Jam między jaja w kojec u kury,
Zmieszała jakieś innej natury:
Pewnie od kaczki było to jedno!”

XVI.

ZŁOŚLIWA STARUSZKA

Staruszka zima pewnego czasu
Czy to z wybryków późnej starości,
Czy z właściwego sobie grymasu
Na świat się cały strasznie rozzłości;
Wiedząc jak wiele posiada mocy
By tworom zmienić życia ich losy,
Rozpuści na wiatr siwe swe włosy,
I idzie skrzypiąc z głuchej północy.
A przedewszystkiem ptaszkowie leśni
Słynni z swych lotów, piórek i śpiewu,
Co w gajach cudne rozwodzą pieśni
Stali się celem staruszki gniewu;
Przed swem przybyciem posyła szrony,
Wyprawia chłody, wiatry przyzywa,
Każdego ranka bieli zagony,
Na drzewach wszystkie listki obrywa.

Zbiła się w kupkę ptasząt gromada
Świergocze gwarnie tłum rozżalony;
Wreszcie stanęła ogólna rada
Aby w cieplejsze odlecić strony.
Frunęło ptastwo. Ona zawzięta

Widząc że ptasząt już nie dogoni,
Całą potęgę złości odsłoni,
I zacznie dręczyć inne zwierzęta.
Kryje świat płachtą śniegów, zawiei,
W zaspach drożyny leśne pogrąży,
Drzewa cyplami lodu obciąży,
I mróz za mrozem szle po kolei.
Lecz się nie zlękły zimy zwierzęta:
U lisa ciepłe futerko rośnie,
Wiewiórka chrupie orzech na sośnie,
Kret do ciemnego ukrył się kątka;
Wilk siedzi w jamie, pies warczy w budzie;
Zając jak zwinny szaleje skoczek
Koń w ciepłej stajni je swój obroczek,
Wołek w oborze spoczął po trudzie.
Zimie od gniewu zbielały lica:
Ptaszek odfrunął w dalekie kraje,
Zwierz z jej potęgi szydzić się zdaje,
Chce więc kaźń rybkom sprawić złośnica;
Znowu szle mrozy—te zimną dłonią
Jeziora, rzeki, kryją w swe lody,
Stawiają mosty, kryształą wody
Lecz rybki w głębi nurtów się chronią.
Pozostał człowiek. „Czekaj człowiecze!"
Woła zgrzytając zębem starucha:
Ten praw przynajmniej moich posłucha,
I przed wymiarem mąk nie uciecze.
Chce wejść do domów: piece nie dają,

Ciśnie się w szpary, wsuwa się w dziury,
Pisze po szybach różne figury
A ludzie w komin drew dorzucają.
Łapie za uszy, za nosy chwyta,
A człowiek czapkę głębiej naciśnie,
Czasem soplami u wąsa zwiśnie:
Człek idzie dalej—o nic nie pyta;
Co zaś najbardziej północną panią
Ukorza w dumie, to myśl że małe
Dziateczki nawet w grach swoich śmiałe
Zdają się wcale niezważać na nią.
Jedni bałwanów białych stawiają,
Drudzy kuleczki lepią ze śniegu,
Trzeci na zmarzłym wód rzecznych brzegu
W mróz się po lodzie raźnie ślizgają;
I tak w zapasach tych z całym światem
Upłynął Styczeń, Luty i Marzec,
A ptak i zwierzę, dziecię i starzec
Nic nie stracili dotychczas na tem.
O swą potęgę zima zazdrosna
Wybuchła w końcu gniewem starości;
Płacze i płacze w bezsilnej złości,
Łzy lecą... odwilż—nadchodzi wiosna!

XVII.

CUDOWNY DOMEK.

Znam cudny domek, misternej budowy,
W nim wszystko stałym idzie obyczajem,
Wszystko w pożytku dopełnia się wzajem,
Wiążąc szczegóły w porządek wzorowy.
Jest tam maszyna o ruchu niezmiennym,
Jest kuchnia z której bez obcej pomocy
W każdej dnia chwili, w każdej porze nocy,
Wychodzi strawa w pokarmie codziennym.
Niedostrzeżone, lecz wierne posłańce
Wśród przejść tysiąca cudownego domu,
W licznych szeregach biegną pokryjomu,
I niosą pokarm w wszystkie jego krańce;
Sługami znowu z jednakim mozołem
Rządzi gospodarz nigdy nie strudzony
Bacząc by wszystkie gmachu tego strony
Miały karm, napój i ciepło pospołem.
Jest tam i sala gdzie ciągle bezwiednie
Wchodzi powietrze ożywcze i czyste;
Są dwa okienka jasne i przejrzyste,
Zamknięte nocą, a otwarte we dnie.
A miejsca tego samowładna pani
Choć niewidzialna śmiertelnika okiem,

Samego bytu ożywia urokiem
Wszystko — bo wszystko żyje tylko dla niej.
Dla jej wygody gospodarz pracuje,
Maszyna idzie, i biegają sługi,
Przed jej rozkazem szereg członków długi
Wątek codziennych zatrudnień swych snuje;
Ona to zawsze patrzy na świat Boży
Przez dwa okienka jasne i przejrzyste;
Z niej biją blaski urocze i czyste,
Lub złość ohydna, co mrokiem swym trwoży.
Gdy wyjdzie z domu, wnet ożywcze tchnienie
Tej, która wszystkiem rządziła tak składnie
Zniknie, uleci, z ziębnie i przepadnie,
I wraz grobowe nastanie milczenie:
Nie pójdzie więcej maszyna swym chodem,
Ożywczy płomień cieplika zagaśnie,
Przystaną sługi i gospodarz zaśnie,
Zdrętwieje wszystko mroźnym śmierci chłodem.
A gdzież się uda? zapytacie dzieci:
Tam zkąd przybyła — w wieczności otchłanie;
A z opuszczonym co się domkiem stanie?
On z prochów powstał, i w proch się rozleci.

XVIII.

PRZEPIÓRECZKA.

Uwięziona wśród klateczki
Przepióreczka mała,
Nóciła nocą śpieweczki,
W dzień cicho siedziała.
„Siostro miła powiedz że mnie,"
Zapyta skowronek:
„Czemu śpiewasz w nocną ciemnię,
Milczysz w jasny dzionek?"
„Spiewałam ci w każdej chwili,
Ale chłopcy leśni
Podczas śpiewu mnie złowili,
Więc się strzegę pieśni."
Skowronek z powagą całą
Rzekł: „mądrość twa znaną,
Lecz to zrobić należało
Przedtem nim schwytano."

XIX.

ŚMIERĆ I SEN.

Anioł śmierci z snu aniołem przez ziemi przestrzenie
Szli razem, gdy w tem nocy skupiły się cienie:
Sen pobiegł w dwory, zamki, i ubogie chatki,
Uśpił starców zgrzybiałych, ukołysał dziatki,
I czy w złotych pałacach, czy też w biednych wios-
[kach,
Wszyscy w śnie zapomnieli o codziennych troskach.
„Ach bracie, oni jutro przy rannem ocknieniu
Błogosławić mnie będą za ulgę w cierpieniu."
„O czemóż," śmierć odpowie, „i ja z tobą wspołem
Nie zdołam dobroczynnym bydź ludzi aniołem!
Czemuż zamiast niweczyć ja wspierać nie mogę.
Czemuż miasto pociechy niosę tylko trwogę?"
„Nie smuć się—wszak my Boga dobroci synowie.
Zapomnienia szafarze, spokoju posłowie;
Oba ludziom strudzonym zwieramy powieki:
Ja na krótkie godziny—ty na długie wieki.
Mną uśpieni powstają do życia co rano,
Tobą, na odgłos trąby archanioła wstaną;
A wtedy połączywszy się z przedwiecznym w niebie,
Prawi będą w swej chwale błogosławić ciebie."

XX.

KOŚCIÓŁ.

Gdy przestrzeni błękity, gdy wyniosłe gór szczyty
Kryją w dali wsie, miasta i sioła,
Po nad sine mgły chmury, po nad gaje i góry,
Wystrzelają wieżyce kościoła.
Jako hymny pochwalne, jak ramiona błagalne
Biegną w Niebo modlitwą wszech świata;
Tam gdzie z piersi tysiąca, prośba czysta, gorąca
Do tronu Przedwiecznego ulata.
Ten dom, domem wszech braci — tam ubodzy, bo-
[gaci,
Idą niosąc dań modłów ofiarną:
A strapione zaś dziatki, do kościoła, do matki
Z pełnem wiary uczuciem się garną.
Tam dziecino cię chrzcili, tam wzrosłego wzmocnili
W czuciach wiary, nadziei, miłości;
A na końcu twej drogi, raz ostatni w te progi
Wejdziesz, stojąc w cieni wieczności.
Wszystko dobre nam zgoła, płynie z matki-kościoła:
Spokój, radość, cześć, szczęście i chwała;
Tam pociecha, tam rada — tam win naszych zagłada
Tam i przyszłość w zbawieniu jest cała.

Od przedświtu pojęcia, z pierwszym brzaskiem dzie-
Aż do mogił śmiertelnych pieczary, [cięcia
Niech kościoła ene syny—myślą, słowem i czyny
Nie śmią nigdy plugawić swej wiary.

XXI.

PROSTACZEK.

Czasem usiędę sobie pod płotem,
Głowę pochylę na dłonie:
Godziny płyną ja nie wiem o tem,
Bo myślą po świecie gonię.
Dziwne te myśli—lecą w przestrzeni
Jedna się z drugiej wyłania:
Raz promyk szczęścia błyśnie wśród cieni,
Znów mrok blask wątły pochłania.
Jam nie uczony; rodzice, kmiecie,
Zmarli już dawno przed laty,
A jam się tułał po Bożym świecie,
I w końcu do tej wszedł chaty.
Tu mnie przyjęto i strawę dano,
I kąt do spania w stodole:
Jestem pastuszkiem, a w każde rano
Pędzę me stadko het w pole...
Nikt mnie tu nie zna, nie znam nikogo,

Nie mam ni Ojca ni Matki,
Szedłem z daleka szeroką drogą
Wziął mnie gospodarz do chatki,
Dał kromkę chleba, pod żłobem kątek,
Ja mu owieczek pilnuję;
Zawsze sam jestem, lecz myśli wątek
Dziwnie się w głowie mej snuje.
Siedzę i dumam godziny całe
I nic nie mogę wymyśleć,
Bo nic nie znając nic wiem przyczyny
Którą by tajnie określić.
Czasem jam wesół, wygrywam pieśnie
Na mej fujarce wierzbowej,
Czasem me serce zadrga boleśnie,
I zła myśl przyjdzie do głowy.
Czemu się smucę, lub czemu płaczę
Wkażdej odgadnąć chcę chwili:
Owieczka nie wie dla czego skacze,
Nie wie ptak za czem wciąż kwili.
Jam nie zwierzątko: jadam, śpię, chodzę,
Za owiec śledzę gromadką;
Idę jak drudzy po życia drodze,
A życie dla mnie zagadką.
Nie wiem dla czego słońce nam świeci,
I gwiazdy błyszczą w przestworze,
Dla czego ptaszek wysoko leci,
A człowiek wznieść się nie może;
Dla czego mają dostatki jedni,

Wszystko im w rękę się garnie.
A drudzy głodni, nadzy i biedni
Srogie przechodzą męczarnie.
Po co noc czarna, a nie dzień zawsze,
Po co niedola gdy szczęścia trzeba;
Czemu dla jednych losy łaskawsze,
Gdy drugim skąpią kawałka chleba?
Uszami słyszę i oczami widzę,
A w duszy wieczne ciemności:
Ja nic nie umiem— sam sobą się brzydzę,
Sam z sobą jestem w sprzeczności.
Wciąż rwie się naprzód myśl nieskończona,
Wciąż szlaki zbadać chce jasne;
A przed tą myślą, niby zasłona
Stoi nieuctwo me własne.
Książek mi dajcie, wy nieuczynni,
Nie szydźcie nad mą ciemnotą:
Wszakże mam prawo być tak jak inni,
Wszakże jam ludzką istotą!
Bo gdy głodnemu chleba nie braknie
Jeżeli pracę swą daje,
Dla czego człowiek co nauk łaknie
Często w ciemnocie zostaje?
Dla czego takie nieszczęsne dziecię
Jak ja mam zostać prostakiem ..
Dla czego, pytam? O! bo na świecie
Ustrój społeczny jest brakiem.
Garstka szczęśliwych przez nauk plony

Zbiera karm żyzny i zdrowy,
Nas synów ludu: krocie, miljony,
Ginie w ciemnocie duchowej!

XXII.

STARZEC.

Przed chatki swej progiem, w odzieniu ubogiem,
Staruszek na ławce spoczywa;
On siada tam codzień, a każdy przechodzień
Swą głowę przed starcem odkrywa,
Obdarzy spojrzeniem i szepnie z westchnieniem:
„Doczekać dni takich daj Boże!"
On stary, o stary—lat jemu bez miary,
Nikt w wiosce ich zliczyć nie może;
Najstarsi bywało, rachują nie mało,
A każdy w rachubie się myli:
Na wiosnę i wlato, on zawsze przed chatą
Siadywał, jak siedzi w tej chwili.
Nie widzi, nie słyszy—a tylko wciąż w ciszy
Modlitwa z ust płynie mu błoga;
Czasem wśród pacierzy, w piersi się uderzy,
I westchnie gorąco do Boga,
A wtedy. o wtedy—nie czuje swej biedy..
Starości, choroby i znoju:

W powłoce tej starej, promieni blask wiary,
Blask szczęścia, zachwytu, spokoju.
A przyszłość?... wam młodzi, o przyszłość nie cho-
[dzi
Bo kres jej grobową jest deską;
Wam cienie cmentarne tak straszne, tak czarne,
Nie błyszczą jasnością niebieską.
Ten kraniec co widmem, straszy was ochydnem,
Dla niego wieczności jest progiem:
Latami znękany chorobą złamany,
Nie cierpi ów starzec—on z Bogiem!

XXIII.

WILK MORALISTA.

Podczas zabaw karnawału,
Pełen sztucznego zapału
Rzuciwszy lasy i knieje,
Zmienił się wilk w kaznodzieję;
A wlazłszy w skórę barana
Prawił owcom wieczór, z rana:
Że nie dobrze człeku służyć,
Że lepiej wolności użyć
Niż za strawy garści parę
Robić z swej wełny ofiarę.

Nie wiem co się stało po tem,
Różnie mi mówiono o tem,
Lecz to pewno: że na świecie,
Podobnych wilków znajdziecie
Co przybrawszy szczytną rolę
Pragną głupich wywieść w pole,
A zwabiwszy na manowce,
Zjeść, jak wilki jedzą owce.

XXIV.

P S Y.

Pewnego razu bezbronnego człeka
Psy pokąsały—miał karę wyborną,
Bo je zaczepiał i drażnił z daleka,
A kundle były niesforne.

Gdy się opędził, i cierpiący srodze
Szedł sobie dalej z myślami smutnemi,
Wypada mopsik, i nuże po nodze,
Kąsać zębami ostremi.

„Piesku nie kąsaj”—tak się człowiek żali:
„Ja tobie nigdy nie wchodziłem w drogę.”

„Tak" rzecze mopsik „lecz inni kąsali,
„Więc i ja kąsać też mogę"

I w życiu ludzkiem, kiedy człowiek w biedzie,
Gdy jego sławę złe języki gubią,
To ktoś nie wiedząc o co rzecz idzie
Skubie, bo inni już skubią.

XXV.

CZTERY JABŁKA.

Czterech Ojciec miał synów, młodzi byli, więc z czy-[nów
Znać ich nie mógł, lecz pragnął doświadczyć ich [chęci:
Cztery jabłka śliczniutkie, wyśmienite, słodziutkie,
Dał im w dowód Ojcowskiej swej dla nich pamięci.
Pyta z razu Pietruszka:—"co zrobiłeś z jabłuszka?"
„Zjadłem Ojcze, z pestkami rzuciłem ostatki;"
„Ah ty jeszcze malutki, ah ty jeszcze głupiutki,
Nic dziwnego, że robisz tak jak robią dziatki.
A ty Jasiu mów śmiało, co ci 'z jabłka zostało?"
„Zjadłem Ojcze, lecz pestki zasadziłem w ziemi,
Aby później przez lata, wzrosła jabłoń bogata,
I raczyła nas długo owocami swemi."

„Jasiu będziesz rolnikiem, —nie mówiłem przed nikiem
Lecz się często w tej mierze trapiłem niezmiernie,
Komu ziem tych dozierać, gdy mi przyjdzie umierać.
Teraz wiem, iż ty z czasem zastąpisz mnie wiernie.
A ty trzeci mój synku, mów z kolei Marcinku,
Czyli twoje jabłuszko smacznem ci się zdało?
„Tego nie wiem mój Tato, bom go przedał, a za to
Wziąłem grosze, i jabłek mogę mieć nie mało."
„Przemysłowcem ty będziesz, i dar handlu posiędziesz,
Ale strzeż się byś z czasem nie został kamieniem;
Byś chcąc miłe mieć grosze, nie zapomniał po trosze
Że miłość tylko jedna dla człeka zbawieniem.
Wreszcie powiedz Stefanie, o jabłuszku twe zdanie:
Czyli smacznem i dobrem się ono wydało?"
Lecz się Stefcio zapłoni, twarz ku ziemi wnet skłoni,
I w końcu wylękniony odpowie nie śmiało:
„Ah! ja jabłka nie jadłem, pestek w ziemię nie kładłem,
Ani z niego najmniejszej korzyści nie miałem,
Bo tam chora staruszka, tak pragnęła jabłuszka,
Że jej Ojca podarek z ochotą oddałem.'
„Pójdź w objęcie mój synu—pięknem jest życie czynu
Piękniejszem gdy na bliźnich miłości oparte:
To co dajesz dla braci, Bóg sowicie odpłaci,
Bo serce od rozumu stokroć więcej warte.

XXVI.

PIES I WÓŁ.

(z Rossyjskiego Kryłowa.)

Rzekł pies do wołu który wracał z pola:
„Czemże twa służba—pług, gumno i rola,
Rznąć ziemię w skiby, zwieść plon do stodoły
Po tem odpocząć —ot jak czynią woły.
Lecz ja chcąc mienie ustrzedz od złodziei,
Biegam, wartuję, dzień i noc z kolei,
Prócz mnie pan nie ma zaufania w nikiem:
Jestem podskarbim, jestem pomocnikiem,
Wszystko na mojej spoczywa tu głowie..."
„Prawda"—wół na te przechwałki odpowie:
Lecz gdybym nie chciał na polu pracować,
Nie miałbyś czego przy domu pilnować."

XXVII.

DWAJ PRZYJACIELE I NIEDŹWIEDŹ.

Dwóch przyjaciół idąc drogą
Niedźwiedzia spotkali,

Serca ich zabiły trwogą,
Bo się oba bali;
Jeden z nich na drzewo skoczy,
Po gałęziach bieży,
Drugi zaś zamruży oczy
Jak nie żywy leży.
Niedźwiedź podszedł do człowieka
Co trupa udaje;
Podszedł — przystanął z daleka,
Namyślać się zdaje.
Zwolna obszedł go w około:
Sapi, mruczy, wzdycha,
Wącha oczy, nos i czoło,
Coś barmocze z cicha;
Wkońcu pójdzie sobie przecie
Niedźwiedź w drogę swoją,
Bo niedźwiedzie jak to wiecie
Umarłych się boją.
Ten co uciekł, teraz zucha
Udaje wielkiego:
„Cóż ci niedźwiedź tam do ucha
Szeptał tajemnego?"
Drugi powie: — „on mi szczerze
Rzekł: kto w drogę idzie,
Niech przyjacioł tych nie bierze
Co opuszczą w biedzie."

XXVIII.

PSZCZOŁA I OWCA.

„Jest-li stworzenie, pszczoła człeku rzecze,
Co by ci dało kochany człowiecze
Więcej ode mnie?"—„Jest"—„A któreż proszę?"
— „Owca. Ty dajesz przyjemność, rozkosze,
Ona zaś daje prawdziwy pożytek:
Jej wełna korzyść, twój miód tylko zbytek;
A głównie ona z dobrej daje woli,
Ty z twojem żądłem, jak dajesz—to boli.

XXIX.

ZŁY PIES.

Pewien człek głaskał psa bardzo złego,
I z czułem doń się odzywał słowem,
I część mu chleba udzielał swego,
I do psich zachceń wciąż był gotowym.
„Człeku czyż nie wiesz," rzecze przechodzień:
„Komu pomagasz i pieścisz kogo,

To bryś niesforny, on prawie co dzień
Kąsa spokojnie idących drogą."
„Ten pies," człek rzecze: „jest mi dobrze znanym:
Ja jego głaskam by nie być kąsanym."

XXX.

RZEMIEŚLNIK I WYROBNIK.

(Rozmowa Ojca z Synem).

Syn.

Kochany Ojcze, obok przez ulicę
Murują dużą, piękną kamienicę...

Ojciec.

Tak, to nasz sąsiad za swe kapitały
Kupił nie dawno plac z ogrodem cały,
I chce dom stawić.

Syn.

ah ileż to ludzi
Przy tej budowie codziennie się trudzi!
Gdy na tę pracę patrzyć mi wypadnie
Widzę jak wszystko tam się robi składnie:
Jedni cegiełki wapnem pomazane
Równają w prostą, regularną ścianę,
Inni do wapna dokładają gliny,
A inni znowu na szczeblach drabiny

Stojąc, podają kolejno do góry
Te cegły z których mają stanąć mury.

Ojciec.

To jest mój synu połączenie pracy.
W rozmiarach trudu nie wszyscy jednacy:
Ten wie co znaczy w mularstwie grunt-waga,
Ów jeszcze uczeń, pierwszemu pomaga,
Inny nie znając mularskiego fachu
Dzwiga ciężary do budowy gmachu;
I tak się wszyscy połączywszy społem,
Wspólnym swych celów dochodzą mozołem.

Syn.

Rozumiem, każdy cząstkę daje małą,
I cząstki w całość wiążą się wspaniałą;
Lecz kiedy równą jest zajęć swoboda,
Dla czego równą nie jest i nagroda?

Ojciec.

Jak to pojmujesz?

Syn.

ja patrzyłem na to
Gdy robotników dzielono zapłatą:
Jeden brał dużo, a zaś drugi mało,
Ten kilka groszy, ów złotówkę całą;
A między niemi byli nawet tacy
Co brali rubla, choć w trudach i pracy
Nieprzewyższali kolegów..

Ojciec.

czyś o to
Spytał się majstra co rządzi robotą?

S y n.

Spytałem—on zaś na to odpowiedział
Że między nimi jest niezmierny przedział:
Dużo się płaci zwykle rzemieślnikom,
A bardzo mało prostym wyrobnikom.

Ojciec.

Lecz ty co mówisz na to objaśnienie?

S y n.

Dziwię się ludziom mającym sumienie
Dla jakiejś nazwy zmniejszać biednym zyski,
Taki postępek nawet nader bliski
Z krzywdą bliźniego

Ojciec.

ja sądzę inaczej,
I wnet ci Ojciec tę rzecz wytłumaczy.
Co jest rzemieślnik?

S y n.

człowiek co za młodu
Kształcąc się w kunszcie jakiego zawodu,
Nabrał z latami w swoim fachu wprawy.

Ojciec.

A co wyrobnik?

S y n.

człowiek dzielny, żwawy,
Który choć kunsztów żadnych nie rozumie,
Siłą rąk swoich pracuje jak umie.

Ojciec.

Dobrze więc oba pracują pospołem:
Jeden naukę daje wraz z mozołem
Drugi trud tylko—u jednego płyną
Zajęcia z myśli—drugi jest machiną;
Czyż się nam dziwić gdy patrzymy na to
Iż każdy inną nagrodzon zapłatą?
Wszakże architekt plany tylko kreśli;
A stokroć więcej za wynik swej myśli
Bierze, niżeli najlepsi majstrowie,
Bo trudy jego nie w rękach lecz w głowie.

S y n.

Pojąłem wreszcie: pracować potrzeba,
Lecz gdy kto więcej niż kawałek chleba
Chce mieć z swej pracy, niech nie zaniedbuje
Kształcić swój rozum

Ojciec.

a wtedy uczuje
Korzyść nauki—gdyż rzec można śmiało
Że trud bez wiedzy, to bez duszy ciało.

XXXI.

OSIEROCONY PTASZEK.

Słoneczko weszło na Bożem świecie
Tak lubo, pięknie, wesoło,
Łąka się stroi w rozliczne kwiecie,
Rój muszek brzęczy w około;
Pogasły światła, ubiegły cienie,
Znikły mgły śnieżnej tumany,
Złotem niw bujnych błyszczą przestrzenie,
Zielenią pola i łany.
A w gajach jakże śpiewno i gwarno,
Jakiż brzmi świergot i pieśni;
Jak się rozkosznie do życia garną,
Swobodni ptaszkowie leśni.
Z drzewka na drzewko, z krzaczka na krza-
[czek,
Fruwa wesoła drużyna:
U tego w dzióbku mały robaczek,
U tego słomki kruszyna;
Ten karmi małych, ten główką kręci
Szukając ziarnka do koła,
A wszyscy trudem pracy zajęci,
A wszędzie piosnka wesoła!

I tylko jeden na stronie ptaszek
Siedzi milczący, żałosny:
Ni się do wspólnych miesza igraszek,
Ni też raduje do wiosny;
Ni ziarnka szuka, ni pieśnią dzwoni,
Ni dzieli roszkosz w tej chwili,
Lecz tylko główkę ku ziemi skłoni,
Stłumionym głosem zakwili.
Bo mu z gniazdeczka rozpustne dziecię,
Wybrało drobne ptaszyny,
I on sam jeden został na świecie,
Utracił skarb swój jedyny!
I smutno jemu teraz na ziemi,
Smutno biednemu sierocie:
Za pisklętami on kwili swemi,
Niepocieszony w tęsknocie!

XXXII.

KURA I SROKI.

Kura dość licznej rodziny matka,
Domowe rzuciwszy sprawy,
Słuchała sobie jak srok gromadka,
Rozliczne wiodła rozprawy.

Głośno i żywo szczebiocą one.
O piórach, piórkach i stroju,
Wciąż wyśmiewają kruka lub wronę,
Z postawy i szat ich kroju.
Z każdego ptaka szydzą powłoki:
Gil zbyt jaskrawy, słowik zbyt szary,
Wróbel za mały, struś za wysoki,
Wszystkich nicują bez miary
„Zkądże," zapyta kogut zdziwiony.
„Przyszło ci teraz do głowy,
Przy twej powadze matki i żony,
Słuchać tak błachej rozmowy?"
„Wiem, to gawęda płocha i zdrożna,
Lecz ona dla mnie przykładem:
Mądremu głupich posłuchać można,
Na to, by nie iść ich śladem."

XXXIII.

GRAD I DESZCZ.

— „Ach jaka chmura idzie, pewnie grad nam nie-
[sie,"
Mówił Maciek do Kuby — „Gdzież u ciebie oczy?
— Toć to deszcz, już strugami sinieje po lesie,
Za chwilę całe niebo cieniem się zamroczy."



Muszki w nosku. (do str. 143).

— „Ah jak dobrze, że Staś zdrowy
Wielki kłopot spadł nam z głowy,
Mija epidemja wreszcie;
Zdrów i kucharz—zupkę nieście!"

— „Ależ grad, przecież słyszysz jak chrzęści na gó-
[rze."
— „Co chrzęści? chyba w twojej zachrzęściło gło-
[wie,
Deszcz powiadam, odrazu poznałem po chmurze,
Lecz ty zawsze się spierać musisz w każdem słowie;"
— „Toć ty taki uparty—w głowie wciąż ci świta,
Grad będzie niezawodnie" — „Deszcz będzie i kwi-
[ta."
— „Grad!"— „Deszcz!" — „głupiś!" „Mądrzejszym
[od Kuby,"
— „Masz za to!" „A ot tobie!" Wzięli się za czuby;
A tymczasem na niebie słońce zaświeciło,
I ni gradu, ni deszczu dnia tego nie było.

XXXIV.

PRÓŻNIAK.

Pewien włościanin zdawszy ojców rolę
Starszemu z synów, rzekł młodszym: „chłopa-
Nadszedł czas trudów, zostawiam do woli [ki!
Każdemu obrać dla siebie stan jaki,
Próżnować żaden dziś nie może człowiek,
Próżniactwo bowiem nie udzieli chleba;

Od lat najmłodszych do zawarcia powiek,
Wszystkim na życie pracować potrzeba.
Wszyscy synowie poszli za tem zdaniem:
Jeden był krawcem a kowalem drugi,
Trzeci się owiec trudnił chodowaniem,
Czwarty budował wozy, brony, pługi.
Najmłodszy tylko życiem czynu gardzi,'
Bo zasad pracy nie podzielał z nikiem,
Kiedy zaś Ojciec nastawał nań bardziej
Rzekł po namyśle: „będę ogrodnikiem;"
To stan rozkoszą przyrody bogaty,
Stan, co od ciężkich trudów mnie zasłoni:
Będę żył sobie otoczony kwiaty,
Wśród bujnych krzewów balsamicznej woni."
Poszedł, lecz w krótce do domu powraca:
„Nie chcę ogrodu z kwiatami wonnemi;
Jakże to przykra i niewdzięczna praca,
Wciąż grzebać w piasku, schylać się ku ziemi!"
„Czemże być pragniesz?" „Ja będę myśliwym:
Do polowania stosowny wiek młody,
Wśród lasów tylko można być szczęśliwym,
I bez trosk zwykłych używać swobody."
Poszedł, lecz wkrótce do domu powraca:
„Trudno wytrzymać—tną osy, komary:
Chłód, głód i deszcz... przy tem ciężka praca,
Przebiegać ciągle lesiste obszary."
„Czemże być pragniesz?" „Ja będę rybakiem;
Dziwnie żem jeszcze nie pomyślał o tem,

Żeby się zająć zatrudnieniem takiem
Co jest rozrywką nie próżnym kłopotem."
Poszedł lecz wkrótce do domu powraca:
„Więcej nie mogę—w wodzie po pas brodzić,
Przytem sieć ciągnąć to prawdziwa praca;
Co zdrowe rybom, ludziom może szkodzić."
„No powiedz wreszcie, stan obieraszjaki,
Czemże ty będziesz, grajkiem, kominiarzem?
W chacie się naszej nie rodzą próżniaki,
Czemsić być trzeba."—„Ja będę kucharzem.
Komar nie zetnie, nie oziębią chłody,
Nie trzeba w kniejach dni całe harcować,
Ni w ziemi pełzać, ani leść do wody,
Lecz w miłem cieple potrawy gotować;
Kunszt ten jest pięknym, świetnym, znamieni-
[tym,
Kucharz szczęśliwym zwać się może śmiało,
I głodu nie zna—bo zawsze jest sytym,
I trudów nie ma—bo roboty mało."
Poszedł lecz w krótce do domu powraca:
„Oh! nie stworzonym ja do gotowania,
Piec się przy ogniu to gorzej jak praca:
To są katusze nie do wytrzymania."
„Ziemia cię trudzi, powietrze cię chłodzi,
Woda zamacza, a ogień znów piecze;
Z czterech żywiołów każdy cię zawodzi,
Każdy dokucza!"—Ojciec na to rzecze.

Ponieważ jednak potrzeba pracować,
Znalazłem na to doskonały sposób:
Będziesz się w ciepłym pokoju zajmować,
Pod okiem zacnych lecz surowych osób.
Ten dom się zowie dom przytułku, pracy;
Tam posłuszeństwo z trudem się kojarzy,
Tam jak żyć trzeba uczą się próżniacy,
By z braku zajęć nie wzrośli w zbrodniarzy.

XXXV.

SPADAJĄCA GWIAZDA.

Stał szyldwach z bronią w ręku i nudno mu było,
Więc z nudów myśli sobie, co mu się zdarzyło
W życiu. Ile razy wartował na mrozie,
Ile razy miał dyżur, ile siedział w kozie;
Wreszcie nuż liczyć gwiazdy, lecz próżno się silił,
Liczył, liczył—aż w końcu w rachunku się zmylił,
Nareszcie wzrok obrócił, na mury i domy:
Tam wieża, a na wieży, mądre astronomy
Obroty gwiazd rachują—każdy z nich odgadnie
Choć daleko, gdzie której gwiaździe iść wypadnie.
Patrzy żołnierz na wieżę, w tem jeden uczony
Skierował swój teleskop w te sfer górnych strony

Gdzie najwięcej gwiazd błyszczy: „Czy on zwaryował?”
Myśli wojak—„gwintówkę w niebo wycelował,
Chce strzelać, jaki głupi! wszakże to nie zając..
Lecz jak długo celuje... no, nieprzymierzając
To tak jak nasz feldfebel,, który zwykle celi
Do tarczy z pół godziny zanim w nią wystrzeli,
W tem gwiazda spadająca przeleci błękity:
„Trafił!” zawołał żołnierz—„strzelec znakomity!
Nawet huku nie było, choć celował długo,
Jednak trafił—to dla niego nie małą zasługą.”
Zapytacie mnie może kochane dziateczki,
Jaki morał, cel jaki powyższej bajeczki?
Oto ten, że bez nauki człek zazwyczaj błądzi,
I wszystko co zobaczy powierzchownie sądzi.

XXXVI.

OSIEŁ I FUJARKA.

Osiołek nie jest zwierzęciem
Z zbyt muzykalnem pojęciem,
Gdy gammę ryków podniesie
To głuchną ptaszęta w lesie,
A od tej dzikiej muzyki
Milkną z swą pieśnią słowiki.

Pewnego razu pod gruszą
Osiołek pasąc się trawą,
Ujrzał fujarkę pastuszą
Co dziatek była zabawą.
Ciekawy na co się przyda
Ów sprzęt — wącha go w koło:
Dmuchnie, fujarka głos wyda
Aż osieł podniesie czoło;
I choć muzyki nie umiał
Nad dźwiękiem tonu się zdumiał.
Profan stojący przy ośle
Zawoła sypiąc mu brawa:
„Jak pięknie, czysto, jak wzniośle,
Co to za biegłość, za wprawa!”

Tak samo na świecie zgoła
Wśród grona artystów bywa,
Że jaki dudziarz, rzępoła,
Przypadkiem sławę zdobywa.

XXXVII.

POTĘGA BOGA.

Ledwie pierwszy blask słoneczka
Zawita do okieneczka,

Ja się z swej pościeli zrywam
Czystą sukienkę nadziewam,
I złożywszy ręcę szczerze
Odmawiam ranne pacierze.
Potem biegnę w pola gaje,
Do ogrodu nad ruczaje:
Jak tam cudnie, jak tam gwarnie.
Wszystko się do życia garnie,
Wszędzie taka radość szczera!
Pszczółka z kwiatów miodek zbiera,
Stuka dzięcioł, słowik kwili,
Fruwa zewsząd rój motyli;
A na listkach, na listeczkach,
Perli w drobnych kropeleczkach
Ranna rosa. Dalej w gaju
Nad strumykiem przy ruczaju,
Weseli ptaszkowie leśni
Rozwodzą swe dźwięczne pieśni.
A ja znowu ręcę złożę
Zachwycony, upojony,
I wzrok wodząc w różne strony
Myślę sobie—o mój Boże!
Jakże mądrość twoja wielka:
Czy zdźbło piasku, czy kropelka
Dżdżu wilgotna, czy też kwiaty
Barwne w krasę i szkarłaty,
Czy złocistych plonów pęki,
Wszystko dziełem twojej ręki!

Pod twej woli świętej tchnieniem
Słońce jasnem lśni promieniem,
Wietrzyk wieje, deszczyk rosi,
Pszczółka miód do ula znosi
Motyl fruwa, ptaszek śpiewa,
Szumią wzniosłe w lesie drzewa.
Wszędzie gdzie obrócę oczy
Twej wielkości blask uroczy
Lśni potęgą wiekuistą,
Taką jasną, taką czystą,
Że z radością niezrównaną
Wołam korne gnąc kolano:
„Boże w chwale niepojęty,
Tyś jest wielki, tyś jest święty!”

XXXVIII.

MIŁOSIERNY UCZYNEK.

Pewien nieszczęsny rybak u którego dziatki
Nie miały ani strawy, ani ciepłej chatki,
Wyciągnął z wody cięższe jak zazwyczaj sieci:
„Dzięki ci wielki Boże — nakarmię me dzieci!”
Zawoła: „przedam ryby i chleba im kupię;
Rozwija sznury siatek, a w nich ciało trupie

Obrzydliwe, zsiniałe, aż strach patrzeć na nie:
„Wieczny racz dać spoczynek grzesznej duszy Pa-
|nie!',
Szepnie rybak — „taka widać była wola nieba;
Straciłem dziś mą pracę, dzieci me bez chleba
Spać pójdą, ale trupa pochować należy:
Tak czyni, kto w zasady miłosierdzia wierzy."
Rzekł, a wziąwszy na bary to ciało przegniłe
Zaniósł je pod pagórek — i nuż ryć mogiłę.
Kopie, kopie, w tem rydel uderzy o ściany
Żelaznej skrzyni w ziemię głęboko schowanej,
Otwiera — a tam złota skarby niezliczone:
Będzie miał czem nakarmić swe dzieci, swą żonę
Ustali byt ich, przyszłość. Bóg ten upominek
Dał mu za miłosierdzia spełniony uczynek.

XXXIX.

KUKUŁKA.

(z Rossyjskiego, Izmajłowa.)

„Słuchajcie ptaszki," kukułka mówiła
Gdy raz z gęstego boru powróciła,
„Ja tam daleko słyszałam słowika:
Głos czarujący, cudowna muzyka,
A intonacyja, jak wdzięczna, jak czysta!
Jest to na świecie najpierwszy artysta.

Dawniej jam w sztuce umiała zbyt mało,
Dziś już przejęłam tę metodę całą:
Słuchając mistrza, stałam się mistrzynią,
I czynię wszystko, co słowiki czynią;
Oddaję wszystkie tryle, fiorytury,
A głos mój giętki i łatwy z natury
Przejął słowiczej metody odcienia...
Mogę wam próbkę dać cudnego pienia.
Tylko uwaga... no czajko, bądź ciszej,
Bo tak tam krzyczysz, że nikt nie usłyszy,
I ty dzięciole, nie rób tego stuku:
Teraz słuchajcie—kuku, kuku, kuku!

XL.

WILK I KOT.

(z Rossyjskiego, Kryłowa.)

Wilk gnany zgrają zawziętych ogarów,
Uciekał chyżo wśród dolin i jarów,
Wreszcie się schronił na wsi do sąsieka,
A tam kot siedzi — „Wiesz ty co mnie czeka?
Śmierć straszna, sroga—nie mogę biedz dłużej;
Powiedz, znasz chłopów—który mi usłuży,
Który ukryje?"—„Jan z dobroci słynie."
—„Ach! ja mu ciele zdusiłem w gęstwinie!"

—„No, i Macieja uczynność jest znana."
—„Nie mów—ja jemu porwałem barana!"
— „A w takim razie nie ma jak Protazy,"
— „Temu zrobiłem szkodę kilka razy."
— „Wreszcie Bartłomiej przyjmie do stodoły,"
— „Trudno! ja jemu zagryzłem trzy woły!"
— „Jeżeliś wszystkich ukrzywdził z kolei,
Zkądże ci zbawczej wyglądać nadziei?
Giń, kiedyś złego nabroił tak wiele:
Każdy się wyśpi jak sobie pościele."

XLI.

DWAJ WŁOŚCIANIE.

(z Rossyjskiego Kryłowa.)

—Jak się masz Bartłomieju?—Jak się macie kumie?
„A co tam u was słychać?"—Źle, choć przy rozumie
Człek przecież zawsze głupi: piłem z przyjacioły
Nocą, i myślę—trza nakarmić woły;
Wziąłem świecę, poszedłem, ręka mi się chwiała,
Świeca upadła w słomę, obora zgorzała
Z nią stodoły i chata—dzisiaj jestem w biedzie:
Źle kumie kto ze światłem do obory idzie.
A wam jak się powodzi?—„Dola moja płocha:
Przyszli do mnie sąsiedzi, piło się tam trocha,

Brakło wódki—ja po nią schodzę do piwnicy,
(By pożaru nie wzniecić, poszedłem bez świecy;)
Spadłem, nogę złamałem, i leżę w niemocy:
Źle kumie kto bez światła wędruje po nocy."
— „Ah!" przerwie stary Maciej — „oba narzekacie,
A oba swoich nieszczęść przyczyny nie znacie,
Pijaństwo tu powodem: kto raz zalał czuba,
To bez światła—nieszczęście, a ze światłem—zguba."

XLII.

DĄB I WIERZBA.

Po strasznej burzy, drzew pięknych tysiące
Złamane wichrem leżało;
I jako trawy skoszone na łące
Lesisty obszar zasłało.
„Dla czego dęby, ogromne, potężne,
Leżą tu z cielskiem strzaskanem:
A drzewko wierzby, małe, niedołężne,
Stoi nie tknięte orkanem?"
Pytał syn ojca. — „Bo dęby rozrosłe,"
Odpowie ojciec „drwią z burzy,
Szydzą z żywiołów, a dumne, wyniosłe,
Sądzą że wszystko im służy.

W stuletniej chwale nie mają już granic,
Korny im pokłon nie znany.
Siły wszech świata uważają za nic
Bóg też ich karze orkany.
A giętka wierzba gdy grom huczy w niebie
Gdy wicher gromom chce sprostać,
Zwija swe drobne gałązki do siebie
• Przed burzą chyli swą postać;
Straszne żywioły uciszą się skoro
Stos trupów zaczerni w jarze,
A biedna wierzba potężna pokorą
Żyje, gdy legli mocarze.

XLIII.

ORACZ.

Dalej wołki me drogie, idźcie naprzód niebogie,
Bo już słońce zapada za lasem,
Bo już dzionek ucieka, ciemna nocka nas czeka
A tu siejba wiosenna za pasem.
Sześć skib jeszcze zostało, czy słyszycie jak mało?
A no siwy przebieraj nogami;
Także i ty czerwony, rznij mi równo zagony,
I odwalaj porządnie składami,

Skończym, Bóg nam pomoże, a wieczorem w obo-
[rze,
Karm obfity wołeczki znajdziecie:
Co tam sieczki i siana—jeść będziecie do rana,
I na słomie mięciutkiej legniecie.
Wypoczniemy—a rano, znowu rolę obsianą
Stary gniadek zbronuje dokładnie;
Zrobię bruzdy jak trzeba, spuści deszczyk Bóg
[z nieba,
Poczekamy co dalej wypadnie.
Ziarno kiełkiem wypleni, i w kobierzec zieleni,
Całą niwę na wiosnę zaściele:
No wiu! siwy, czerwony—orzcie dalej zagony,
Już wam pracy zostało nie wiele.
Przyjdzie lato po wiośnie, żytko bujnie rozrośnie,
Wnet poprawiem się z całą chudobą...
Bóg pomoże nam w niebie—a ty siwku od siebie!
Widzisz kamień tam leży przed tobą.
Przyjdzie jesień, znów plony, zżółcą nasze za-
[gony,
Kłos się zegnie ku ziemi bogaty:
Będziem zżynać sierpami, będziem zwozić kopa-
[mi,
Wejdzie radość i szczęście do chaty.
Dziedzic sprawi dożynek, i po pracy spoczynek,
Według ojców starego zwyczaju:
A no k'sobie czerwony! trza zawrócić z tej strony
Zorać skibę ostatnią do skraju.

Przyjdzie zima a wtedy, otrząśniemy się z biedy,
Będą chleba pełniutkie sąsieki.
Jak bywało przed laty, kiedy kraj nasz bogaty,
Słał pszenicę za morza, za rzeki.
A ot słonko się chowa: piękna niwo bądź zdrowa!
Jutro w rannej zobaczym się porze,
A wy wołki hej z niwy: no czerwony, no siwy!
Czas wam spocząć po pracy w oborze.

XLIV.

SZCZUPAK.

W wodach Szprei przed laty, wyrosł szczupak zęba-
[ty,
Tak ogromny, że każdy wzrostowi się dziwi,
A miał gardziel nie lada, co się zjawi przepada:
Drżą mieszkańcy wód słodkich, ze strachu wpół
[żywi.
Leszczom, płotkom i linom, nawet własnym swym
[synom,
Nie przepuszcza ni wieku, ni rodu, ni wiary:
Kogo tylko spotyka, wszystkich łyka a łyka,
Nigdy nie syt, wciąż nowe pochłania ofiary.
Wnet się ryby na radę, w gęstą zbiły gromadę,
Co tu czynić? jak strasznej uniknąć opieki?

I stanęła uchwała, by gromadka ryb cała,
  Przed szczupakiem na małe chroniła się rzeki.
Co się rzekło, zrobiło: w Szprei ryb już nie było,
  Tylko drobiazg mulisty niesmaczny i miętki;
Szczupak uczuł głód taki, że połykał robaki,
  Aż z robakiem i haczyk pochłonął od wędki.

XLV.

KROPELKA WODY.

Prosi się słońce: kropelko wody
Pójdź do mnie droga w górne wyżyny,
W przestrzeniach wietrznych użyj swobody,
Opuść wód morskich ciemne głębiny.
Lecz morze mówi: córeczko miła,
Opuszczać swoich zawsze nieładnie,
Gdyś z siostrzyczkami tu się rodziła
Więc w nurtach moich żyj sobie na dnie;
  Na cóż ci górne przestrzenie mierzyć?
  Lepiej tu cicho wiek cały przeżyć.
Któż jednak wolę przemoże słońca?
Wabi wciąż ciepła potęgą całą;
Wreszcie jasnego posyła gońca,
Złocisty promień, po kroplę małą.

Kropelka widząc niebios posłańca
Zaraz się w lotną parę przemieni:
I do stref wyższych szybując krańca
Ciągnięta żarem, leci w przestrzeni.
  Wznosi się pośród eterów świata
  I za promieniem w górę ulata.
Jakżeby chciała wznieść się do słońca,
Jakżeby chciała zbiedz przestrzeń całą!
Ale ta droga zda się bez końca,
Ale jej dalej sił już nie stało.
Próżno się wznosi, próżno się pręży:
Drobne atomy wnikając w siebie
Zdradzają postać która jej cięży
Ciało, co nie da bujać po niebie.
  Wreszcie stanęła w górnym przestworze
  Brzemienna wodą, iść już nie może.
A tam jest dużo siostrzyczek takich,
Lekkich córeczek wielkiego morza:
Kropelek wody krągłych, jednakich,
Co chciały wietrzne poznać przestworza.
Zbiły się one w chmurze niebieskiej,
By smutną dolę wspólnie podzielić,
Osierocone tkwią niby łezki
Płaczą chcąc blasków słońca dostrzelić;
  Za swoją lekkość cierpieć im trzeba,
  Bo brakło ziemi—nie stało nieba.
Słońce litośnie spogląda na nie,
Żal słońcu sierot że szły tą drogą:

Trzeba je w morskie zwrócić otchłanie
Kiedy do niego wzbić się nie mogą.
Przyleciał wietrzyk, i łzy kropliste
Niby spłoszone stadko owieczek,
Pędzi przed sobą na niebo czyste
Aby spłynęły z deszczem do rzeczek.
  Spływają w strużki, robią się rzeką,
  Ale do morza-matki, — daleko!
Tocz wolno nurty—dalej, wciąż dalej,
Płyń rzeko w ciemne morza otchłanie;
Nieś ciężki statek siłą swej fali,
I twardych wioseł przyjmij chłostanie.
Naprzód, wciąż naprzód — niech cię nie zraża
Wicher przeciwny i mroźne chłody,
Niech grom straszliwy cię niezatrważa,
Niech burza czystej nie zmąci wody;
  Bo tam siostr krocie płynie twem łożem
  Aby się z matką połączyć morzem.
Jak grom, huk straszny zdala dolata
Modry krąg ziemskie barwi obszary:
Tam się bałwani olbrzym wód świata,
Morz patryarcha — ocean stary.
Zbiegła kropelka z pierwotnej toni,
Dąży w rodzinne nurty z daleka:
Za nią milijony siostrzyczek goni,
Milijony na nią siostrzyczek czeka.
  Leć! po za siebie próżno spozierać:
  Tam się rodziłaś—tam ci umierać.

XLVI.

P R A C A.

Jednego razu szedł Stefcio do szkoły,
A dzień był taki jasny i wesoły
I wszystko w świecie takiem życiem wrzało
Że mu się uczyć dnia tego nie chciało.
Spotkał brzęczącą wśród kwiatków pszczółeczkę:
„Chodź no pobawić się ze mną troszeczkę;"
—„Nie mnie zabawa lub pusta swawola,
Ja muszę słodki miódek zbierać z pola."
Szedł Stefcio dalej i spotkał ptaszynę,
Niosącą w dzióbku słomki odrobinę:
— „Ty baw się ze mną." —„Nie," odpowie pta-
[szek,
„Ja nie mam czasu do płochych igraszek:
Muszę budować gniazdka dla mych dzieci..."
I ptaszek z słomką do gaju odleci.
Stefcio zmartwiony odmową pobieży,
I widzi pieska który sobie leży:
— „Ty nic nie robisz, więc chodź się pobawić..."
Piesek odpowie:—„Nie mogę zostawić
Domu bez stróża; wszystko na mej pieczy,
Jam zaufaniec i sługa człowieczy."
Nakoniec konik przebiega przez drogę,
„No, choć z konikiem pobawić się mogę:

Dobry koniku, dziel rozrywkę ze mną!"
— „O nie, twa prośba jest całkiem daremną,
Ja nie mam czasu; muszę iść na pole
Świeżo obsianą zabronować rolę,
Inaczej ludzie nie mieliby chleba:
Nam nie swawolić, nam pracować trzeba."
Stefcio pomyśli: a mnie figle na co,
Gdy wszystko w świecie zajęte jest pracą?
Ja też jak drudzy chcę znieść trud usilnie."
I Stefcio odtąd wciąż uczył się pilnie.

XLVII.

PIJAWKA I ŻMIJA.

(z Rossyjskiego Dmitriewa,

„Nie równo każdy w świecie zostaje szczęśliwy,
Nie równo los dla wszystkich bywa sprawiedliwy,
Poważanie, znaczenie, to trafu zabawki;"
Mówiła z oburzeniem żmija do pijawki.
„Człowiek ciebie poważa, mnie potępia, wini,
Tobie zawsze pomaga, mnie tylko złe czyni.
Tobie własną krew daje, mnie często zabija,
A przecież tak pijawka kąsa go jak żmija."
„Prawda"—powie pijawka,— „ale cel nasz inny:
Twój nizki i szkodliwy, a mój dobroczynny;

Ja w dobrem rozkosz czerpię, ty w złem sią lubujesz,
Ja pomagam, ty gubisz—ja leczę, ty trujesz.

XLVIII.
Ź R Ó D Ł O.

Pod górą, gdzie parów, wśród gajów, wśród jarów
Wybiega zdrój wody daleko:
A po tem w dolinie strumykiem już płynie
Strumykiem, potokiem i rzeką.
W parowie cienistym, nad źródłem kroplistym,
Wyryto na skale przestrogę:
„Idź zdrojów tych śladem, niech one przykładem
Ci będą, i wskażą cnót drogę."
Trzech przyszło podróżnych — trzech razem, lecz ró-
I w wieku, i w myślach i w stanie: żnych
Napis ów zoczyli, a każdy w tej chwili
Wywodzi z wyrazów swe zdanie.
Rzekł pierwszy: „myśl wzniosła—jak rzeka wyrosła
Z potoku, strumyka i zdroju,
Tak człowiek powoli, dobija się doli,
I rośnie w bogactwa wśród znoju.
Źródełko kroplami, a człowiek groszami
Rozszerza działalność prac całą

Wiek płynie: i z laty staje się bogaty,
Był źródłem—jest rzeką wspaniałą."
„Tyś kupcem" rzekł drugi, „więc szukasz zasługi
W pieniądzach, bogactwie i złocie:
Nie taką przestrogę daje wam na drogę
Ów napis wyryty na grocie.
Zdrój czysty to wiedza, co wszystko wyprzedza
Gdy nauk podtrzyma go praca;
Źródełko kroplami, a człowiek księgami
Swą dolę w przyszłości wzbogaca."
Lecz trzeci podróżny, zawołał: „jam różny
Od tego com słyszał swem zdaniem,"
A był to młodzieniec, u niego rumieniec
Na licach kwitł wiosny zaraniem."
„Jak zdroje wód czyste, tak jasne, przejrzyste,
Powinno być życie człowieka,
By białej swej szaty nie skalał gdy z laty
Podąży w toń morza, jak rzeka.
Bogactwa, nauki, przemysła i sztuki
Są niczem, gdy kał je zabrudzi:
Nie w złocie, ni w księdze. lecz w cnoty potędze
Tkwi przyszłość i szczęście u ludzi.

XLIX.

ZIMA.

Opadły zżółkłe z drzew gaju listeczki
Ścieląc murawę warstwami swojemi,
Zwarzone mrozem przecudne kwiateczki
Smutnie swe główki zwiesiły ku ziemi.
Błękity niebios znikły skryte chmurą,
Wiatr zimny, ostry. zaświszczał po lesie,
A wszech-świat Boży tak straszny ponury:
To zima idzie i smierć z sobą niesie.
Nie brzęczą roje owadów w przestrzeni,
Nie słychać drobnych ptasząt świergotania,
W pięknych ogrodach nie widać zieleni,
Płowa powłoka naturę osłania.
Puchowych płatków tysiące, milijony,
Sypie się, kręci, ulata i wije,
Czarnych przestrzeni zalega wygony:
To śnieg, co ziemię w całun śmierci kryje.
Za nim z północy skrzypiący, zsztywniały,
Idzie mróz, wody kryształąc swem tchnieniem;
W uścisku jego świat martwieje cały,
I milkną twory zdjęte przerażeniem.
Ciągną w szlak długi ciemne kruków stada
Czarne ich skrzydła w powietrzu szeleszczą,

Na stepie wilków zgłodniała gromada
Wyje żałośnie swą pieśnią złowieszczą...
Napróżno biedne, zziębnięte ptaszyny
Kłują po śniegu zrozpaczone głodem:
Nigdzie ni muszki, ni ziarna kruszyny,
Ni roślinności, z swym ożywczym płodem.
O jeźli wtedy drogie me dziateczki
Przyfrunie ptaszek pod wasze okienka,
Rzućcie mu okruch chleba maluteczki,
I z darów Bożych posypcie ziarenka;
Nie stawcie sideł podstępnie i zdradnie
Biednym co od was pomocy żądają,
Wszak one proszą tak czule, tak ładnie,
Można-li zdradzać, tych którzy ufają?

L.

ZAGRANICZNE WYCHOWANIE.

Staś był to zgrabny chłopiec: wzrostem dość wysoki,
Wiekiem lat ośmnaście liczył sobie może,
Twarzy gładkiej i wdzięcznej; blondyn, modrooki,
Lecz co się w głowie działo, niedaj panie Boże!
Cała ta głowa w lokach jak strzecha słomiana
Stodoły na przednówku, kędy wróble żyją

Była pusta zupełnie choć ufryzowana,
I bezwzględnie za radą nie poszła niczyją.
Ojciec Stasia, ziemianin staroświeckiej daty
Miał folwarczek na Litwie nie wielki w zastawie,
I przy tem sporo dzieci—ale stryj bogaty
Obiecał losem chłopca zająć się łaskawie;
Wziął malca zagranicę, woził w różne strony,
Kazał uczyć rozlicznych języków na świecie:
Wreszcie gdy już osądził że chłopak skończony
Odwiózł bratu z tryumfem wykształcone dziecię.
Wlata Staś, rękę ojcu podaje: „Ah papa!
Bon jour, comment cela va?" „A to co za gapa?
Rękę do mnie wyciąga bez czci dla siwizny..."
„Verzeih' mir lieber Vater!"—„Dosyć tej niemczyzny:
Tfy do licha!"... – „Pardone il mio peccato"...
Znowu soli włoszczyzną; cóż powiecie na to?
„I speak very well dear father; how do you do!"
„Masz tobie! on wciąż gada, a ja ani dudu.
Dość tego, mów mosanie po polsku, wyraźnie;
A nie, mores nauczę—rozumiesz mnie błaźnie?
Czego się tam uczyłeś?" „Strzelać i fechtować,
Jeździć konno na steeple-chase, z chartami polować,
Tańczę polkę, kaczuczę, fandango, lansiera,
Umiem sztosa, bezika, wista et caetera..."
„Czy aż tyle? no proszę, a znasz gospodarkę?"
„Non, c'est par trop barbare."„—Dam ci ja Barbarkę...
A z książek co czytałeś?" — „Dumasa, Soulié'go,
Ponsona, d'Alincour'a, Beavooir'a, Sue'go,

Hegla, Kanta i Szlegla, Voltera, Darwina..."
„Horrendum! Panie bracie, coś mi zrobił z syna?
Oddając ci w opiekę mojego łobuza,
Nie sądziłem w nim ujrzeć Niemca, lub Francuza,
Lub Włocha który z małpą wędruje po świecie;
Ale to się poprawi, jesteś młody przecie.
Chodźże Aść—edukacyę rozpoczniem na nowo,
Nie będzie to przyjemnie, ale będzie zdrowo:
A naprzód zmień te pludry na szlacheckie szaty,
Wyrzuć z oka tę szybkę, uczesz łeb kudłaty,
Bądź pokornym dla starszych, uprzejmym dla gości,
I marsz!... a co masz robić, wskaże podstarości.

LI.

DORADCY.

„Powiedz miły sąsiedzie, czemu się to dzieje
Że w twej chacie tak wszystko idzie pięknie, składnie;
Moich losów też równe winny być koleje,
A przecież w gruncie wszystko inaczej wypadnie."
„Bo ja mam trzech doradców: psa, kura, i kota,
Pies szczeka — znaczy pilnuj dobytku i chleba,
Kur pieje—znaczy wstawaj, bo czeka robota,
Kot się myjąc powiada—czystym być potrzeba.

Trzy zwierzęta domowe dają mi przykłady:
Jestem zawsze ostrożnym, wstaję zawsze rano,
Wprawiam się do porządku zbawiennej zasady,
I przez to w chacie mojej bieda jest nieznaną.

LII.

MODLITWA DZIECIĘCIA.

Klęknij, złóż rączki i módl się do Pana
Który spraw ludzkich rządzi przeznaczeniem,
Którego miłość wielka, niezrównana,
Cały świat łaski ogarnia promieniem.
Proś go by zdrojem skrzepił cię miłości,
Zlał w twoją duszę pryzmat cnót bogaty;
A chociaż nie znasz czem skarby miłości
Proś go, byś białej twej nie zbrudził szaty.
O Boże! wołaj: daj Twemu dziecięciu,
Ufność i wiarę, pokorę i stałość:
Wspieraj je w każdem dobrem przedsięwzięciu
Do walki z życiem udziel mu wytrwałość.
Mów: niech myśl każda w duszy mej poczęta
Będzie odblaskiem twej woli niebieskiej,
Niechaj opieka Panie twoja święta
W każdem strapieniu osuszy me łezki;
Niech z lat upływem wzrosnę braciom chlubą,

Matce pociechą, rodzinie przykładem,
Niech żądz podszepty nie będą mi zgubą
Niech dążę zawsze cnót ojczystych śladem.
Niechaj stróż-Anioł o skrzydle śnieżystem
Wiedzie me kroki wśród świata bezdroży,
Niechaj w sumieniu swem wciąż będę czystym,
Niechaj mnie w dobrem oświeca duch boży.
Dzisiaj jam dziecię, nie znam bytu treści,
Cacko mi szczęściem, rozkoszą pieszczoty;
Lecz kiedy poznam ten żywot boleści,
Nie daj o Panie bym legł wśród sromoty.
Zostaw mi miłość, nadzieję i wiarę,
Zachowaj wiecznych prawd Twoich uznanie,
A gdy w mogile kości złożę stare
Spraw bym umierał czcząc Twe imie Panie!

SAMOLUB.

Komedyjka w jednym Akcie.

Osoby.

Pani Zaliwska.
Piotr } jej Synowie.
Jan }
Ambroży, brat pani Zaliwskiej.
Wędrowny Kuglarz.
Żebrak.

Rzecz dzieje się na wsi.

SAMOLUB.

Komedyjka w jednym Akcie.

Scena przedstawia małe podwórko. Z prawej strony skromna chatka, z lewej drzewo pod którem ławka. W głębi trakt publiczny.

Scena I.

Piotr, Żebrak.

PIOTR. (siedzi na ławce pod drzewem trzymając w ręku książkę — ŻEBRAK w pokornej postawie stoi przed nim.)

PIOTR.

Jesteście wszyscy leniwcy, próżniacy,
Lepiej jak żebrać pomyśleć o pracy.

ŻEBRAK.

Ale jam stary, słabe moje zdrowie...

PIOTR.

Znam tę wymówkę, każdy z was to powie,
W razie potrzeby—a chodzić po świecie,
Włóczyć się wszędzie to siłę znajdziecie,

ŻEBRAK.

Choćby grosiczek na kawałek chleba...

PIOTR.

Z Bogiem! słyszałeś? nudzić mnie nie trzeba,
Nie dam ni grosza.

ŻEBRAK

O Boże! o Boże!
Jam biedny, głodny—któż mi dopomoże?

Scena II.

Żebrak, Piotr, Jan.

JAN. (który przy ostatnich słowach Żebraka ukazał się we drzwiach chatki, przystępuje szybko ku niemu i mówi dając pieniądze).

Masz biedny dziadku...

ŻEBRAK.

Niech Bóg wielki w niebie
Zleje paniczu swe dary na ciebie
Za twą jałmużnę.

JAN.

Nie dziękuj mi proszę;
Ja sam ci jestem wdzięczen za rozkosze
Jakich doznaję wspierając twą biedę.
Teraz idź z Bogiem.

ŻEBRAK. (drżącym od wzruszenia głosem).

Tak, ja dalej idę
Żebrać pomocy u ludzi na świecie,

Ale ci powiem drogie, złote dziecię,
Iż twoja dobroć szczęście ci przyniesie!
(odchodzi powoli traktem, Jan rozczulony oczy ociera).

Scena III.

Piotr, Jan,

PIOTR.

Brawo braciszku! doprawdy śmiać chce się
Widząc to wszystko: dziad, łzy, rozczulenie,
Niby dramacik w teatrze na scenie.

JAN.

Fe, wstydź się Piotrze: to jest rzecz bezbożna.
Śmiać się z biednego....

PIOTR.

Pożartować można.

JAN.

Nigdy nad rzeczą która litość budzi.

PIOTR.

I ja nie jestem nieczułym dla ludzi,
Dam chętnie wiedząc na co i dla kogo;
Ale zważ Janie, tą publiczną drogą
Chodzą włóczęgi, a zaś takich wspierać
Grosz wyrzucony.

JAN.

Trudno jest wybierać
Nie znając ludzi.

PIOTR.

Ja już nie dać wolę,
Jak żeby oszust miał mnie wywieść w pole.

J A N.

O lepiej dziesięć razy się omylić,
Niż raz od nędzy dłoń bratnią uchylić.

PIOTR.

Dobrze, przypuszczam że jest wielka radość,
Gdy kto litości swej uczyni zadość,
Że serce nawet swobodniej zabije,
Choć dziad grosz dany w szyneczku przepije,
Lecz matka nasza, pomnij, nie bogata;
Kawałek pola, ten ogród, ta chata
Oto jej mienie...

J A N.

Alboż nie wiem o tem?
Widzę jej trudy, martwię się kłopotem.

PIOTR.

Jeżeli widzisz, to rzucać pieniądze
Bez celu...

J A N.

O nie! czuję że nie błądzę
Idąc za sercem. Wczoraj za pochwałę
W szkołach, dwa ruble dostaliśmy całe;
Z pieniędzmi które wam daję możecie,
Wyrzekła Matka, postąpić jak chcecie.

Ja obdarzyłem swym rublem biednego
I miałem prawo...

(PIOTR. pokazując rublowy papierek).

A ja chowam swego.

J A N,

Chowasz...

PIOTR.

Tak chowam.

J A N.

Lecz na cóż?

PIOTR.

Bo wczasie
Na coś lepszego ten rubel mi zda się.

S c e n a IV.

Ciż i Kuglarz:

(ubrany w jaskrawe suknie wbiega prędko, i staje przed Janem i Piotrem, w teatralnej postawie).

KUGLARZ. (deklamując przesadnie).

Szanowne Panie! szanowni Panowie!

PIOTR. (śmiejąc się).

Lecz tu pań niema...

J A N. (skromnie).

My tylko uczniowie,

KUGLARZ.

To wszystko jedno. Więc zacni panicze!
Pozwólcie że me tytuły wyliczę...

PIOTR (cicho do Jana).

Cóż to za dziwak?

J A N (podobnie).

Kuglarz jak się zdaje.

KUGLARZ (mówi prędko).

Jam drugi Bosko, zwiedzam różne kraje:
W nizkiem południu, w wysokiej północy
Gdzie noc jest bez dnia, a zaś dzień bez nocy
Wszędzie ja byłem. Jestem akrobatą,
Wykładam magię czarną, popielatą,
Białą, niebieską. Zagraniczne dwory
Dały mi krzyże i różne honory,
Mówię wszystkiemi językami ziemi,
A oprócz tego kilkoma innemi.
We Francyi zwią mnie Monsieur de la tonner-
[re,
W Turcyi Mustafą, a w Niemczech Herr Don-
We Włoszek jestem Sinior Vermicelli, [ner,
W Hiszpanii, Guzman di Medina Czeli.
Wiem wszystko w świecie, wszystko przewiduję,
Po wichrze, wodzie, po ziemi wędruję,
Zwiedzam świat jak jest szeroki i długi
I tu przyszedłem na wasze usługi.

J A N.

Co za szarlatan!

PIOTR,

Człowiek dość zabawny.

J A N.

Nie bardzo.

PIOTR.

Widać w różne sztuki wprawny;
Pokaż co umiesz.

KUGLARZ.

Czekam na rozkazy.

PIOTR.

Więc dalej.

(Sztukmistrz wyciąga rękę).

Milczysz.

KUGLARZ. (z wyciągniętą ręką).

Bo to bez urazy,
Ma ręka pusta: nic na niej nie widzę.

J A N. (do Piotra.)

Czelny!

PIOTR.

Nie, chciwy,

J A N.

Ja się takim brzydzę!

PIOTR.

Mnie bawi! Dobrze że rubel w kieszeni,
Bobyśmy sztuk tych byli pozbawieni.

J A N.

Nie pragnę widzieć.

PIOTR.

Bo nie masz czem płacić;
A co czy dobrze pieniądz marnie tracić?
(Jan nic nie mówiąc oddala się i siada na ławce)
No, ale ja mam.

KUGLARZ. (z wyciągniętą ręką)

Dotąd pustki w dłoni.

PIOTR. (dając)

Na, masz, bierz!

KUGLARZ. (z pokłonem)

Magija zaraz wam odsłoni
Wszystkie swe tajnie, i każdy z was przyzna...
(robiąc gest dawania pieniędzy)
Lecz drugi panicz?

PIOTR. (śmiejąc się).

U tego golizna.

KUGLARZ.

Zła słabość.

PIOTR.

Zacznij.

KUGLARZ.

(pokazując pudełko o dwóch dnach) [1])
Patrzcie w tę szufladę

---

1) Grający rolę kuglarza, może wszystkie sztuki pokazywać za pomocą pudełka o podwójnym dnie: każdy stolarz podług wskazania, takie pudełko zrobić jest w stanie. (*Przypisek Autora*)

Tu nic, i tu nic, i nic w nią nie kładę...
Zamykam. Prawda że w pudełku pustka?
Raz, dwa, trzy—patrzcie że tam leży chustka.

PIOTR (zachwycony).

Ślicznie.

KUGLARZ (robiąc wszystko co mówi).

A teraz w kawałki rozrywam
Chustkę, i pudłem jej części przykrywam:
Pik, pik, pik, fokus, pokus; ona całą...

PIOTR (jak wyżej).

Prawda zlepiona, lecz jak się to stało?

KUGLARZ.

Oto pałeczka natury magicznej.
Ta się na sposób przemienia rozliczny,
Zobacz ją panicz.

PIOTR (biorąc).

Dobrze.

KUGLARZ.

Jakaż ona?

PIOTR (obejrzawszy ją).

Z drzewa.

KUGLARZ.

Czy cała?

PIOTR.

Cała.

KUGLARZ.

Nie złożona?

PIOTR.

Nie.

KUGLARZ.

Proszę wąchać, nie miej Panicz strachu;
Czem pachnie?

PIOTR.

Drzewem.

KUGLARZ.

Czy nie ma zapachu
Kiełbasy?

PIOTR.

Wcale...

KUGLARZ.

Bo z mego rozkazu,
Pałka w kiełbasę zmieni się od razu.
(robiąc co mówi)
Kładzie się w pudło, szuflada zamyka,
Raz, dwa, trzy— fokus pokus...
(otwierając szufladkę)
pałka znika.

PIOTR.

Tak, a kiełbasa?

KUGLARZ.

W kieszeni spoczywa
Własnej panicza.

PIOTR (wydobywszy z kieszeni kiełbasę).

Oto się nazywa,

Wyborna sztuka—brawo! doskonale!
(wącha)
Jaki zapaszek, widać nie zła wcale.

KUGLARZ.

Tak, niezła, niezła.
(odbierając ją i chowając do swej kieszeni)
Zjem ją na śniadanie.
Teraz szanowni, panowie i panie
Szlachetnigoście, łaskawi widzowie!
Słuchajcie co wam w krótkiem powiem słowie:
Na zakończenie mego przedstawienia
Nastąpi obraz ludzkiego zniknienia.
Zaczynam—baczność.. jestem tu istotnie,
A w krótce z oczów waszych się ulotnię...
Teraz niech patrzy przezacna publika
Sztukmistrz was żegna, kłania się. .
(czyni to)
i znika.
(wybiega prędko za kulisy).

Scena V.

Piotr, Jan.

PIOTR.

Chwat chłopiec; zręczny, żwawy, i obrotny...
Ale cóż Janie siedzisz tak markotny?
Rozumiem, przykro gdy w takiej potrzebie

Braknie pieniędzy. Jam przestrzegał ciebie,
Słuchać nie chciałeś.

J A N,

(wstaje z ławki, i przechodzi na przód sceny.)

I on myśli jeszcze
Że ja w tych fraszkach szczęście swoje mieszczę!
Jeżelim smutny boleję nad tobą,
Żal mi że zgodzić nie możem się z sobą.

PIOTR.

Jakto?

J A N.

Rzecz prosta, ja cię nie rozumiem,
Ja pragnień twoich i pojąć nie umiem.

PIOTR.

W czemże myśl moja dla ciebie nie jasną?

J A N.

W czem? bo się mijasz z zasadą swą własną:
Kiedym dziadowi oddał swe pieniądze,
Tyś mi to zganił, tyś rzekł że ja błądzę
Dając włóczęgom ostatnie swe grosze.

PIOTR.

Alboż nie prawda?

J A N.

Teraz powiedz proszę,
Czyliż nie lepiej biedaka ratować,
Niźli tak płocho pieniądze marnować,

Jak ty przed chwilą? Jakiś akrobata,
Jakiś szarlatan, sztukmistrz z końca świata
Przechodzi drogą, a ty mu co prędzej,
Dajesz to co by ulżyć mogło nędzy;
Pierwszy nie znany, biedny, może głodny,
Tymczasem drugi to oszust niegodny.

PIOTR.

Oszust? być może, ale mnie zabawił,
Tymczasem żebrak tylko ckliwość sprawił.
Mów, na co pieniądz może ludziom służyć:
Czyliż nie na to by go dobrze użyć?

JAN.

Tak jest.

PIOTR.

Więc ja też dobrze go użyłem,
Bo się za swego rubla zabawiłem.

JAN, (ze smutkiem)

Piotrze, co słyszę, — twojeż to są słowa?

PIOTR.

No i cóż z tego?

JAN.

Mnie razi ta mowa.

PIOTR, (z szyderstwem)

Braciszek zawsze po obłokach lata.

JAN.

Nie, ale cierpi nad obłędem brata.

PIOTR,

Każda rzecz w życiu winna cel mieć jasny.

JAN.

Kto tylko szuka przyjemności własnej,
Ten chybia celu.

PIOTR.

Chybia kto się łudzi,
I miasto użyć darzy obcych ludzi.

JAN.

Bliźni nie obcy.

PIOTR.

A któż temu przeczy?
Wszak to powszechnie wiadome są rzeczy.

JAN.

Idę za sercem.

PIOTR.

Ja zaś za rozsądkiem.

JAN.

Brak uczuć zawsze jest złego początkiem.

PIOTR.

Zbyteczna ufność większą krzywdę zrządzi
Niżli ostrożność.

JAN.

Kto zimny ten błądzi.
Tyś na złej drodze...

PIOTR.

Nie, to ty mój Janie.

JAN.

Ja wiem co twierdzę.

PIOTR.

I ja mam swe zdanie.

JAN.

Moja rzecz słuszna.

PIOTR.

Moja ustalona.

JAN.

Nikt mnie nie przeprze.

PIOTR.

Nikt mnie nie przekona

Scena VI.

Piotr, Jan, Pani Zaliwska

PANI ZALIWSKA.

Cóż to za sprzeczka? Czyż można synowie
Prowadzić spory przy najmniejszem słowie?
Wszakże wy wiecie jak mi jest nie miło,
Aby was braci cokolwiek waśniło.

PIOTR.

To Jan powiada....

JAN.

To Piotr wciąż dowodzi....

PANI ZALIWSKA.

Nie, nie chcę nawet wiedzieć o co chodzi,
Chociaż was znając naprzód już zgaduję,
Kto szuka fraszek a kto sercem czuje;
No ręce sobie podajcie w tej chwili.

JAN (podając bratu rękę)

Gniewu nie było.

PIOTR. (podobnie)

My się nie kłócili.

PANI ZALIWSKA.

Tym lepiej — nic tak nie dotyka Matki,
Jak kiedy żyją w niezgodzie jej dziatki;
Lecz czy nie wiecie... spotkała mnie radość...

PIOTR.

Jaka?

JAN.

Niech wiemy...

PANI ZALIWSKA.

Mem życzeniom zadość
Stało się.

PIOTR.

W czemże.

PANI ZALIWSKA.

Dziś pocztową drogą
List otrzymałam.

JAN.

List Mamo?

PIOTR.

Od kogo ?

PANI ZALIWSKA.

Od mego brata który czasu kawał,
Najmniejszej wieści o sobie nie dawał.

PIOTR.

Ach! od Wujaszka co kiedyś przed laty,
Popłynął morzem, gdzieś w dalekie światy...

JAN.

Którego Mama tak często wspomina.

PANI ZALIWSKA.

Tak moje dzieci, bo nasza rodzina
Rozliczne losu przebyła koleje:
Było tam szczęście, były i nadzieje,
Był i upadek. Słuchajcie synowie,
Matka wam dzisiaj swą przeszłość opowie;
Smutną jest ona, ale w swojej treści,
Wielką naukę życia dla was mieści.

(po chwili przestanku)

Dom mych rodziców bogactwem się sławił,
I w dzieciach równie Bóg im błogosławił;
Ośmioro synów i córek pospołem,
Nas zasiadało za rodzinnym stołem;
Nagle, mój Ojciec przez złe interesa,
Niewiarę ludzi, pożary, procesa,
Stracił majątek. Przyszła dola smutna,
Głód, chłód, choroby i nędza okrutna:

Ośmioro dzieci, a tu nie ma chleba!
Brat mój najstarszy, widząc że potrzeba
Co raz jest większą, chcąc zmniejszyć kłopoty,
Jak prosty majtek najął się do floty,
I gdzieś daleko za morze popłynął.
Odtąd już znaczny przeciąg czasu minął,
Jedni z nas wiecznym snem śmierci zasnęli,
Drudzy się w różne strony rozpierzchnęli
Świata, jam tylko dziś wdowa została.

J A N.

O Matko, coś ty w życiu przecierpiała!

PANI ZALIWSKA

Tak, ale większe byłoby cierpienie,
Gdyby nie zacne brata poświęcenie
I jego serce. Przed naszym upadkiem,
On się z bliźniemi dzielił swym dostatkiem,
Pomagał ludziom w trudnym życia celu.

J A N

Ach jak to pięknie!

PANI ZALIWSKA

I z tych wspartych wielu
Wzrosłszy w zamożność, swą przeszłość wspo-
[mniało
A widząc biedną wdowę z dziatwą małą,
Oddali siostrze dobrodziejstwa brata;
Wszystko co mamy: te pola, ta chata
Od nich pochodzi. Alem żadnej wieści

O nim nie miała, przeszło lat trzydzieści;
Zginął, myślałam, gdzie w stronie dalekiej,
I łza mi cicha zwilżyła powieki.

JAN.

O tak pamiętam...

PANI ZALIWSKA

Teraz jam szczęśliwa:
Drogi brat żyje, i do nas przybywa.

(dając list)

Czytajcie...

JAN (przeczytawszy).

Prawda — Bóg na nas łaskawy.

PIOTR (podobnie).

Lecz nic nie pisze, jak mu poszły sprawy
Pieniężne. Może on jest w wielkiej nędzy,
A my zbyt wiele nie mamy pieniędzy.

PANI ZALIWSKA.

Tym lepiej dla nas; los nasz nie bogaty,
Lecz będzie miejsce dla niego wśród chaty,
I łyżka strawy.

JAN

Niech tylko w te progi
Zawita do nas ten Wujaszek drogi,
A co najlepsze chętnie mu oddamy.

PIOTR (na stronie).

Tak, niby sami bardzo wiele mamy!

Dobrze bogaczom w dom przyjmować gości.
Nie zaś nam biednym...

PANI ZALIWSKA

Przy takiej radości
Jaka nas czeka, pragnę byście społem
Ten dzień podwójnie uczuli wesołym;
Są u mnie w kufrze oszczędzone grosze,
Dam wam na ciastka lub inne rozkosze,
Chodźcie...

JAN

Ach Mamo tego nie potrzeba:
Na cóż nam ciastka, gdy nie braknie chleba.

PIOTR.

Owszem przyjmiemy — chleb dał się we znaki.
(cicho do Jana)
Bierz kiedy dają
(na stronie)
On zawsze jednaki!
(odchodzą wszyscy do chatki)

Scena VII.

Ambroży sam, (wchodzi zwolna opierając się na kiju w nędznym ubraniu.)

Miejsca nieznane, nigdy tu nie byłem,
Ale odrazu do chatki trafiłem,
Tak mi dokładne dano objaśnienia;
I instynkt także... zbudzone marzenia...

O serce nasze to nie zna co lata:
Ono wciąż młode.
(spogląda z rozczuleniem na domek))
Otóż owa chata
W której dni smutne pędzi siostra droga,
Ależ jak ona biedna i uboga!
(idzie ku chatce)
Pójdę, zapukam...
(zatrzymuje się)
O nie, czekać trzeba.
Czyż nie wyraźne są zrządzenia nieba,
Te dwa spotkania i te dwie przestrogi,
Które dał sztukmistrz i żebrak ubogi?
Jechałem właśnie prosto z zagranicy,
Ale nie znając wcale okolicy,
Kazałem stanąć by powziąść języka;
Wtem kuglarz jakiś do mnie się przymyka,
I kunszt swój chwaląc powiada, że w chatce
Gdzie dwaj synowie żyją przy swej Matce,
Jeden go rublem obdarzył wspaniale,
Drugi sztuk jego nie chciał widzieć wcale.
To nic, lecz w krótce za chytrym kuglarzem,
Przywlókł się żebrak mówiąc, że nędzarzem
Pogardził właśnie ten z dwóch młodych braci,
Który na liche sztuki pieniądz traci,
A drugi skąpiąc na rozrywki marne,
Złożył w dłoń starca swe grosze ofiarne.
Są to siostrzeńcy, z opisu zgaduję,

Lecz się przekonać słuszność nakazuje,
Czyli się różnią uczuciem tak wiele,
Bo mnie o bardzo ważne idzie cele.
Więc strojny ubiór na lichy zmieniłem,
Służbę i powóz w wiosce zostawiłem,
I do tej chatki przyszedłem cichaczem.

Scena VIII.

Ambroży, *Piotr* (wychodzi z chatki)

AMBROŻY (na stronie)
Otóż z nich jeden... lecz który? zobaczym.

PIOTR (trzymając w ręku pieniądze i nie widząc Ambrożego).
Znów mam dwa ruble, mogę się zabawić,
I nowe sobie rozrywki wyprawić;
Nie ma rozkoszy lepszej jak w zabawce...
(spostrzega siedzącego)
Cóż to, ktoś sobie siadł na naszej ławce?
Jakiś włóczęga...

AMBROŻY.
Kawalerze młody...

PIOTR (dumnie)
Co? jak? kawaler? — u nas nie ma mody
Tak się odzywać...

AMBROŻY.
Więc jak zwać?

PIOTR.

Paniczem.

AMBROŻY.

Przebacz biednemu. Choć dla was jam niczem,
Choć mnie nie znacie, lecz ciężka potrzeba
Straszliwa bieda, niedola, brak chleba,
Zmusza panicza prosić...

PIOTR (przerywając)

Abym drogę...
Wskazał ci stary. Uczynić to mogę:
Ot wprost przed siebie, im dalej tym lepiej.

AMBROŻY.

Jam biedny!

PIOTR.

Żal mi.

AMBROŻY.

Głodny.

PIOTR.

Bóg pokrzepi.

AMBROŻY.

Idę wciąż pieszo...

PIOTR.

I ja nie mam karet.

AMBROŻY.

Szukam przytułku...

PIOTR. (z gniewem).

U nas nie lazaret.

AMBROŻY.

Wsparcia paniczu!

PIOTR.

Czyś ty głuchy dziadzie?
Mówię, on swoje wciąż mi w głowę kładzie.
Nie mam.

AMBROŻY.

Pieniądze widziałem.

PIOTR.

Czyś taki?
Więc mam lecz nie dam. Jak czelne żebraki!
Siada na ławce—przychodzę, nie wstaje,
Jakiś przydomek kawalera daje,
A chcąc koniecznie obłowić się w grosze,
Męczy i dręczy.

AMBROŻY.

Nie, ja tylko proszę.

PIOTR.

Prosisz nie prosisz, nie dam ci pieniędzy,
I pókiś cały wynoś się czemprędzej.
Czy zrozumiałeś? bo ja nie żartuję,
Gdy nie usłuchasz psami cię wyszczuję.
(odchodzi z gniewem).

Scena IX.

Ambroży sam.

AMBROŻY.

Nic—próżnia w głowie, mrok w myśli, czczość
[w duszy
Serce się żadnem uczuciem nie wzruszy;
Zimny samolub, choć jeszcze młodzieniec,
Nieledwie dziecko... i on mój siostrzeniec!
Jak smutno!—o nie, to losu zrządzenie
Abym mógł łatwiej, spełnić zastrzeżenie
Tego, od kogo mam szczęście, dostatki....

Scena X.

Ambroży Jan.

AMBROŻY. (na stronie)

Otóż i drugi!

JAN. (nie widząc Ambrożego).

Z łaski drogiej matki,
Znowu posiadam pieniądze.

AMBROŻY.

Przepraszam
Jeźli nie znany z mą prośbą się zgłaszam;
Ale jam obcy, nie znam tu nikogo,
A idąc w podróż wśród skwaru tą drogą,
Osłabłem...

JAN.

Szczere dzięki tobie panie,
Żeś mi okazał swoje zaufanie,
Wszystko co można z przyjemnością zrobię:
Pójdziesz do chatki, tam odpoczniesz sobie,
A po tem....

AMBROŻY.

Lecz jam nieznany nikomu.

JAN.

Znać nie potrzeba by przyjąć do domu
Strudzonych bliźnich.

AMBROŻY. (na stronie).

O błoga radości!

JAN. (nieśmiało).

Panie... ja nie wiem... daruj otwartości
Z którą cię spytam...

AMBROŻY.

O cóż moję dziecię?

JAN. (jak wyżej)

Są czasem takie położenia w świecie,
Że człowiek radby dopomódz z ochotą,
A nie śmie. Wszak się nie obrazisz o to,
Co ja ci powiem?

AMBROŻY.

Mów śmiało.

JAN.

Dostałem
Od Matki pieniądz, i z początku chciałem
Dar ten zachować na Wuja przybycie,
I niespodziankę sprawić jemu skrycie...

AMBROŻY. (na stronie z rorzewnieniem)

O złote serce!

JAN.

Lecz chcę lepiej użyć.
Panie— tyś biedny, gdybym ci mógł służyć...
(chce mu oddać pieniądze)

AMBROŻY.

Co mnie?... mnie dajesz?...

JAN.

O nie odmów proszę!

AMBROŻY. (na stronie)

I jeszcze prosi.
(głośno)
Słuchaj: ty rozkosze
Dałeś mi takie, że pamięć tej chwili
Na zawsze życie wspomnieniem umili.
(ociera łzy)

JAN.

Boże! on płacze... jakaż łez przyczyna?..

AMBROŻY. (z uczuciem biorąc go za rękę)

Słuchaj—ja ciebie kocham... tak jak syna!

Scena XI.

Ambroży, Jan, pani Zaliwska, Piotr.

PANI ZALIWSKA. (mówi do Piotra wychodząc z nim z chatki, i nie widząc Ambrożego.)

Może podróżny?

PIOTR.

Alboż wiedzieć mogę!

PANI ZALIWSKA.

Trzeba go było opatrzyć na drogę.

PIOTR.

Nie warto.

PANI ZALIWSKA. (do Ambrożego nie patrząc na niego)

Panie!

(podnosi oczy)

Te rysy—o Boże!

Ta twarz, ta postać... czyliż to być może...

Bracie mój!

AMBROŻY.

Siostro!

(rzucają się wzajemnie w swoje objęcia)

PANI ZALIWSKA.

Ach jakżem szczęśliwa!

JAN.

Wujaszek drogi!

PIOTR. (na stronie)

Nie w porę przybywa.

PANI ZALIWSKA.

Osiądziesz z nami, będziem żyli społem,
Tem życiem cichem skromnym, lecz wesołem.

JAN.

I zaprzestaniesz podróży po świecie.

AMBROŻY.

Nie luba siostro, nie kochane dziecię,
Choć będziem razem, choć w kraju zostanę,
W zamiarach waszych pragnę zrobić zmianę.
Słuchajcie: kiedym przed trzydziestu laty,
Puścił się morzem w tak dalekie światy,
Dla swej rodziny chciałem zdobyć mienie,
Lecz mi nie dało szczęścia przeznaczenie,
Bieda i nędza były mym udziałem.
Nie chcąc cię martwić listów nie pisałem,
Bo na cóż wieści kiedy przyszłość mglista?
W końcu bogaty jeden kolonista,
Któremum kiedyś w burzy życie zbawił,
Umarł, i cały majątek zostawił
Dla mnie...

PANI ZALIWSKA.

Co słyszę!

JAN.

Ot radość...

PIOTR. (na stronie)

Przeklęcie,
Tom się popisał!

AMBROŻY,

Ale w testamencie
Dał za warunek stały, niewzruszony,
Aby majątek był niepodzielony
Na wieczne czasy. W tedy myślę sobie:
Mam dwóch siostrzeńców, jak z majątkiem zro-
Przyszła myśl zbawcza: zostawiłem sługi, [bię?
Liberyę, przepych, pojazdy i cugi,
Opodal w wiosce, i do tego domu
Przybyłem pieszo nieznany nikomu.
Wszak mnie rozumiesz?

PANI ZALIWSKA.

Nie, nic nie pojmuję.

AMBROŻY.

Dla mych siostrzeńców równą miłość czuję
Bo to twe dzieci, lecz cała dziedzina
Majątku mego należy do syna,
Dziecka mej duszy.

PIOTR. (na stronie)

W oczach mi się dwoi.

PANI ZALIWSKA.

Więc ty masz syna?

AMBROŻY. (biorąc za rękę Jana)

On przed tobą stoi.

PANI ZALIWSKA.

Jan!

AMBROŻY.

Tak jest siostro: gdym skrywszy dostatki,
Obdarty, biedny, przyszedł do tej chatki,
On się nad moją niedolą rozczulił,
Wsparł i pocieszył, do serca przytulił.
Teraz za własne go przyjmuję dziecię:
Kto bliźnich kocha, wart szczęścia na świecie.

KONIEC.

Spis Rzeczy.

CZĘŚĆ DRUGA.

TYGODNIK MÓD

I POWIEŚCI.

pismo tygodniowe illustrowane dla kobiet

Każdy numer obejmuje półtora arkusza dużego formatu i obok zwykłych artykułów mieści w sobie dwie powieści.

Do każdego numeru dołączają się dodatki, przedstawiające ubiory, kroje i roboty szydełkowe oraz haftu białego. W ciągu roku dodatki te obejmują.

a	Arkuszy z licznemi dzeworytami . . .	48
b	Rycin kolorowanych bardzo starannie wykonanych	16
c	Tablic z krojami i haftem białym . . .	12

Prenumerata wynosi.

w Warszawie kwartalnie .	rs.	1	kop.	80
Na prowincyi w Cesarstwie i Królestwie z ekspedycyą				
Kwartalnie	„	2	„	50
Półrocznie	„	5	„	„
Rocznie	„	10	„	„

Adres do J. K. Gregorowicza redaktora Tygodnika Mód Przyjaciela Dzieci w Warszawie ulica Żabia Nr. 956.

V
B S
G

Przyjaciel Dzieci

pismo tygodniowe illustrowane

Wychodzi w formacie arkuszowym z dodatkiem półarkuszowym, z których co drugi przeznaczony jest dla dzieci mniejszych dopiero rozpoczynających naukę.

Prenumerata wynosi.

w Warszawie kwartalnie .	rs.	„	kop.	75
Na prowincyi w Cesarstwie i Królestwie z ekspedycyą				
Kwartalnie	„	1	„	„
Półrocznie	„	2	„	„
Rocznie	„	4	„	„

Adres do J. K. Gregorowicza redaktora Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci w Warszawie ulica Żabia Nr. 956.

Cena Rs. 1. k. 20

Дозволено Цензурою.